

A handwritten signature in black ink that reads "AMax". The letters are stylized and connected, with a long horizontal stroke extending from the end of the "x".

Krystian Bala

chomikuj.pl/andrzej171717

Amok

Krystian Bala

Skład, łamanie: Tomasz Paczkowski

Projekt okładki: Adam Fyda

Copyright © 2003 by CROMA, Wrocław

Wydawnictwo CROMA

ul. Prądyńskiego 43a, 50-433 Wrocław

e-mail: wydawnictwo@croma.pl

www.croma.pl

Korespondencja: Wydawnictwo CROMA, 50-950 Wrocław 2, skr. poczt. 311

Dział handlowy: tel./fax (071) 780 66 08, tel. 0 604 54 14 21

Redakcja: tel./fax (071) 780 66 09

Sprzedaż wysyłkową książek Wydawnictwa CROMA prowadzi:

P.W. „ABSONIC”

ul. Nyska 59-61 pok. 206, 50-505 Wrocław

tel./fax (071) 336 73 10, tel. (071) 367 33 32 wew. 18

www.absonic.pl

e-mail: absonic@absonic.pl

Zamówienie indywidualne na książki powinno zawierać zgodę na wystawienie faktury VAT bez podpisu odbiorcy, numer NIP, adres, numer telefonu i ew. adres elektroniczny. Termin realizacji zamówień – 7 dni. Przy zamówieniu poniżej 50 zł doliczane są koszty przesyłki w wysokości 9 zł.

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny), włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez wcześniejszej pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 83-88978-40-3

Ja byłem kiedyś Dobroczyńcą
Ja byłem kiedyś też Złoczyńcą...

Nienawidziłem języka! To dlatego wyrwałem go i skazałem na męczarnię wśród obcych, niewysłowionych ludzkich mgieł – oto moja wina, wśród win najstraszniejsza. I nie ma przebaczenia. Opuszczam Dolinę Mgieł nie wykupiwszy win – dezercja doskonała...

1. Madame Melancholia

W larwariu książkowych wandalii wyklujęm się po milionach lat dojrzewania. Przeleżałem jakiś czas w inkubatorze wstydu. Późno zacząłem ssać pierś literackiej tradycji. Późno zacząłem raczkować. Późno zacząłem chodzić po ukwieconym ogrodzie zabaw przypadku. W ogóle byłem jakiś opóźniony. Martwiła się tym moja mama, *Madame Melancholia*.

Nie przeszkadzało jej to jednak wciąż odwiedzać warsztat kroju myśli i przymierzać w nieskończoność nie swoje sukienki. Przebrana, wtapiała się niekiedy w mój krwiobieg, udając zabójczego wirusa. To była jej szczepionka na moją nadwrażliwość i na moje opóźnienie. Działała. Nigdy nie włożyłem głowy do kuchenki mikrofalowej.

Śmiało mógłbym powiedzieć, że doświadczając jej, obcując z nią, przezwyciężałem strach przed zarobaczywionym stolcem uświęconej tradycji. Moje myśli szamocząc się, opadały w dziecięcą bezsilność, tu i ówdzie porywając się na wcale nieheroiczny bunt i zapytując po to tylko, by przywoływać wspomnienie utraconej siły, wywoływać z nie wiadomo czyich archiwów cienie przegranej sprawy. A sprawy w moim życiu zawsze przegrywały. Każdy mój krok bardziej oddalał mnie od celu, cofał ku nieopanowanemu przez niego początkowi, kazał mi wracać, nim wyruszyłem.

Saturn z kolei, mój ojciec, ów „bóg ciężkości”, przykuwał mnie często do nocnika codzienności, a jednocześnie wodził na pokuszenie moją wyobraźnię portretem Nieodgadnionego. Chciał mnie pożreć kilkakrotnie, jak minuta pożera sekundy, a tysiąclecia całe dekady, jednak uciekłem. Pokaleczony, przedarłem się przez granice wyznaczone cienką czerwoną linią, a on miał po tym zaburzenia gastryczne. Musiał strawić samego siebie.

Mój niedorozwój ustąpił. Wydoroślałem. Przejechałem się formułą jeden po półkach kilku bibliotek. Fantastyczne! Po tej wycieczce na długo zasnąłem w przytulnej wannie.

Obudził mnie zapach wytrawnego *martini*. Zanurzony w gorącej wodzie, tak gorącej, że wywołującej w mej głowie te omamy, przybywające z tak daleka i z tak dawna, że nie potrafię ich posegregować, odprężam się, sącząc mój ulubiony *joy juice*. Rozpoczynam moją opowieść. Nie mogę dopuścić, aby dopadła cię nuda. Nie mogę dopuścić też, aby *déjà* dzisiaj znowu *zavuiło*. To będzie w następnych rozdziałach. Już i tak mam zszar-

ganą opinię. Może rzeczywiście przesadzam w ostatnim czasie? Sidła starych przyzwyczajęń, mnemoniczne punkty odniesienia i odziedziczona genetycznie, autodestrukcyjna hulajnoga, wiodą mego nieokielznanego ducha po bezdrożach wyobraźni. Nie obawiaj się. Nikt nie skrzywdzi cię bardziej, niż ty mógłbyś to zrobić. Prawdziwego mordercę trzymam na smyczy.

Chciałbym na chwilę znowu zasnąć w tym oceanie pośrodku mojej łazienki. Jednoosobowa populacja tekstonurów tu czuje się najlepiej. Po mojej skórze przebiegają jednak mrówki na szpilkach. Ich różowe szaliki powiewają luźno, a oklapnięte czulki zdradzają zmęczenie wymagającą tego i owego rzeczywistością. Nie mogę zasnąć, więc z całym tym stadem wchodzę do sklepu sprzedającego sny. I marzenia. Samopoczucie na sprzedaż. Sny obłożone podatkiem VAT i to bez znieczulającej, obniżonej stopy. Półki aż się uginają. Nowoczesna apteka wypchana roztańczoną fabułą, opatrzoną kodem kreskowym, dostępną bez recepty. Większość ludzi biega za snami o szczęściu. O poukładanym życiu też są. Widzę, że popularnością cieszą się sny o tych kolorowych malutkich planetkach przy Mlecznej Drodze, do których zabiera Niebieski Ekspres. Planetki bez wczoraj i bez jutra. Promocja na sny o otwartych przestrzeniach międzygwiazdnych i ruchu bezwizowym na Ziemi. O sposobach unikania gadających głów. Nie mogę się zdecydować. Kupuję w końcu sny o dobrych znajomych i o poranku bez kaca, jakie kiedyś już śniłem, ale o których zupełnie zapomniałem. Uciekam potem wąską aleją do piwnicy akademika szkoły filmowej.

Szklanka z *martini* wpadła do wody. Zimno. Szybki prysznic. Czy mam jeszcze coś czystego i wyprasowanego? Plastikowy uśmiech symulujący dobre samopoczucie. Pozwijana skórka na paznokciach. Znowu stłukłem szkiełko zegarka...

Zastanawiam się długo, od czego zacząć. Przecież ludzie mają już dosyć fabuły i charakterystyki postaci. To nie składa się na obraz życia czy czegośkolwiek w zasadzie. Rozdygotane życie podpowiada mi jednak kilka historii. Prawdę i szczerłość zastępuje sposób opisu. Fabularny trawnik wymaga koszenia. Niczym kwaśny deszcz, przeciekam przez podszewki największych światowych aglomeracji, niemogących ustać w spoczynku i drżących jak galaretki na wadze. Poparzona skóra alergicznego czytelnika, idealnego czytelnika, bo cierpiącego na bezsenność, jest dowodem, że nie nie rozumiał. A ja bawię się w najlepsze, tylko czasami jakiś biust przeistacza się w tego dwugłowego robaka; wwiercającego się w mój mózg niczym jakiś rozwodniony, nieokreślony nowotwór złośliwy.

Pędzę do gmachu fikcji.

Zziębnięty przybiegam na miejsce. Patrzą na mnie wszystkie okna zamontowane w kamiennych oczodołach koloru orzechowego masła. Zdają się nie widzieć. Zachowują obojętność. A jednak w tych oczach słońce. I one takie jakieś groźne. Tłusty orzechowy kolos polyka mnie bezzębną paszczą. Oliwkowozielone ściany korytarza obmacują mnie, obleśnię się śliniąc. Czuję się jak glonojad w niedomytym akwarium, objadający się mchem, porastającym nieużywane pizdy. Nie ma tłoku. To dobrze. Guma do żucia piszczy pomiędzy moimi zębami. Muszę pójść do kibla.

Dwa papierosy.

Z geometrii grzechu pierwotnego obliczam pole niezbędne do zapelnienia Braku. Tegoż Braku, którego filozofia szukała na polach żyznych, ziemiach jałowych, na stepach i w lasach tekstów mieszanych. Metrem odjeżdżam na podziemną stację tygla potępionych. Moja siekiera niesie skrzepłą krew zaszlachtowanej nią nadziei. Myślenie zawraca przeciwko sobie, jego strumień płynie, wbrew wszelkim prawom, do samego źródła. Źródłem jest nowa architektura świata, wielkiego rumowiska niezrozumiałego losu. Szary piach, jak okiem sięgnąć. Pustynia to nie izometria, gdzie możemy sobie pofolgować w przekształcaniu przestrzeni niemetrycznej w metryczną i tak dalej. To hieroglify śmierci i oazy smutku. Ale o tym cicho sza! Takie opisy rozśmieszają mojego wielbłąda.

Na rozległej pustyni rozwijam wszelką wątpliwość i zwijam wszelką pewność. Na przygnębienie zażywam hostię imieniem *prozac*.

Bawię się w szarlatana. Symuluję taniec ujawnienia. Wędzone szczątki zburzonej świątyni zjadam z musztardą rozczarowania. Nieme wizerunki są moją publicznością. Mój mózg porzuca ten niebezpieczny zwyczaj chirurgicznej ingerencji w rzeczy, których ani nie może, ani nie chce zrozumieć. W końcu moje myśli nie znają swojej przyszłości. Wciągamy je w grę transpozycji pisma i razem dajemy się porwać oceanicznym prądom na plażowym materacu.

A ty z niecierpliwością czekasz na to, co się wydarzy. A ja nie jestem pewien, czy na twojej pięciolinii rozumienia jestem w stanie zapisać nuty mojej melodii. Chyba nie ma takiego wiolinowego klucza, od którego mógłbym rozpocząć.

Muszę ci o tym wszystkim zawczasu, bo boję się krytyki, jak ty boisz się nocnych koszmarów. Czasami budzisz się przecież, nie pamiętając nawet tabliczki mnożenia.

Wszystko, co zrobisz, będzie nieistotne. Ucierpi tylko twoja odpowiedzialność. Najlepiej wytryśnij ją za drzwi! I wróć do siebie.

Już cię zainfekowałem. Teraz nie zdołasz się ode mnie uwolnić. Będziesz do mnie powracać w nieskończoność, choćby czołgając się windą. W czołganiu się nie ustawaj!

2. Niby to tak

Siedzimy przy stoliku zastawionym ropiejącym alkoholem w omszałych, wilgotnych szklankach. Przedziwne zjawiska fizyczne na gościnnych występach w małej restauracji, o dźwięcznej nazwie *Troccadero*, której klienci w większości rozpoznają jeden drugiego i obmacują się czułkami konwencjonalnych powitań, na podobieństwo mrówek. Podniszczone mebelki przypominają nieudane wytwory kółka stolarskiego dla niepełnosprawnych, chyboczą się i skrzypią, ale starają się nie przeszkadzać. Obrazki zawieszane na przykurzonych ścianach przedstawiają nie wiadomo co, ale nie przejmują się wcale tym swoim niewiadomczym. Naprzeciw mnie Joanna. Wpatruje się chciwie we mnie, jakbym był co najmniej studolarówką.

– Pogubiłem się trochę ostatnio, wiesz... – zaczynam, aby przerwać tę skomlącą ciszę.

Ale przecież to nie o to chodzi. Kimże ja się stałem? Dlaczego siłę się na jakiś ekshibicjonizm? Czyż nie słyszałem wyraźnie, że to zupełnie inna relacja, do tego numerologicznie zaprogramowana? Po cóż burzyć porządek liczb? Zresztą i tak do niej nic nie dociera. Już dawno przedawkowała rzeczywistość. Mam dziwne wrażenie, że moje słowa lecą niczym ćmy do tej żółtej świecy pomiędzy nami i w jej płomieniu kończą swój żywot, miast dąć w trąbki Eustachiusza uszu Joanny, romantycznej tautologii, z zupełnie nieromantycznym dupskim. Niestety jej uszy zapomniały już o swej podstawowej funkcji, a mianowicie o słuchaniu. Jedyne do czego się jeszcze naprawdę nadają to delikatna pieśczoła wilgotnego arcymistrza, jak go nazwała.

– Ale w sumie to może mało istotne – urywa temat. – Przede wszystkim cieszę się, że jesteś. Myślałam, że nie przyjdiesz. Zmęczyłeś się trochę tym dzisiejszym wykładem. Widziałam.

Bzdura! Dobrze wiedziała, że obiecując jej to podczas ostatniego wernisazu Froga i jego znajomych malarzy z Moskwy, trzymałem się na tyle dobrze, iż byłoby drobnym nietaktem nie przyjść, i wiedziała też wspianale, że nie rozdrabniam się w nietaktach.

– Jakże mógłbym nie przyjść na spotkanie z tobą? Przecież wiesz, że jestem ci coś winny.

– Cóż takiego? Nie przypominam sobie – mówi, podnosząc puchar do ust. – Nie przesadzaj. Zaraz, jak to było? *Take it twice! Have a drink, sonny, and don't be such a murder to me.*

Nie mogę znieść tej jej głupkowatej pozy, tego słodkiego, zaczepnego głosiku. Moje rozdygotane łapki z przyklejonym od kilku minut nieśmiałym papierosem szukają chłodu anyżowego *pastisa*, anyżowej mgły, która miała być mgłą z założenia, w odróżnieniu od innych mgieł – niby-mgieł. Znalazły. Usiadł chłód na palcach, położył się na języku, wielofunkcyjnym arcy mistrzu. Płyn spłynął. Na pół etatu zatrudniłem kubki smakowe. Na mojej głowie pojawił się lupież. Kartagina z zasoloną, jałową ziemią. Szron na afgańskich wydepilowanych stepach.

– Chciałem cię przeprosić za wybryk Soni. Mam nadzieję, że zrozumiesz... – mówię i już czuję, jak ogromna ćma, słowo-owad, przeciska się przez gąszcz słów-rozładowywaczy. – Nie układało się między nami ostatnio – dodaję.

Joanna patrzy na mnie i dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że między moimi zębami trzepocze przykurzonymi skrzydełkami ostatnia ćma, której odgryzłem w porę kosmatą główkę. Polykam ją wraz z anyżową ambrozją. Dla rozładowania napięcia używam rozładowywacza.

– Ja już się przyzwyczailem – lżę starannie, lżę i dziwię się sam sobie, że to znoszę. – Ale najważniejsze w tej chwili jest to, że mogę ci podziękować. Uratowałaś tamtą noc. Nie chciałbym, abyś czuła się skrępowana, ale powinnaś wiedzieć, że jesteś piękna. I powinnaś wiedzieć jeszcze o tym, że ja wiem o tym od momentu, w którym cię zobaczyłem. Tylko że wtedy, na imprezie u Froga, wszystko było takie odrealnione. Wiesz, absolutnie kosmiczne... Zawsze tam odpływam, a jeszcze ci Rosjanie...

Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się.

– Ładnie powiedziane. Naprawdę ci się podobam?

A więc to chce usłyszeć... Idiotka! Kamil pękłby ze śmiechu. On jeden wie, że podobają mi się raczej brzydkie kobiety. Zawsze tak było. Nie ruszają mnie żadne tam blondonny-madonny ani *Barbie-style* panny z najnowszą parą silikonowych cycków. Nawet gdy w młodym wieku rozpoczynałem moją masturbacyjną eksplorację, jebałem w myśli dobrze mi znane, brzydkie sąsiadki, a nie gwiazdy telewizyjne. Później przekonałem się zresztą, że te drugiego sortu są bardziej realne, bardziej namacalne, są bardziej żywe. I to nie na zasadzie, że jest ich więcej lub że te brzydkie mniej tego mają i dlatego więcej tego chcą. O nie! Jebiąc taką zwykłą pizdę, wiem,

że mam do czynienia z istotą z krwi i kości, ograniczoną przez swój biologiczny wymiar, niemogącą zakamuflować się perfumami, muszącą przewyciężyć swoją samiczą nieatrakcyjność jakąś witalnością. W brzydkich kobietach naprawdę drzemie jakiś nieopisany *élan vital* i nigdy nie można im mieć za złe, że gdy liżesz ich chwoje, spuszcza ci się na twarz podczas szczytowania za dużą ilością zbyt gęstego śluzu, albo że podrygują jakoś tak nierytmicznie, nieudacznie nawet, w pogoni za tymi skurczami nieba, pojawiającymi się w momencie, gdy zanurzasz w nie swój jednooki wy-cior. Uwielbiam pierdolić brzydkie kobiety. Nie mógłbym znieść takich przypadłości u perfekcyjnie zbudowanej cipy. Pamiętam jeden taki przypadek, gdy piękne, uszminkowane usta jednej z najładniejszych studentek, jakie udało mi się wypatrzeć na moich wykładach, okazały się należeć do drewnianej lalki, do lepkiej martwej klody. Chędożyłem, jak mogłem, a nie usłyszałem nawet jednego westchnienia, nie wykonała najmniejszego ruchu, a gdy chciałem zalać jej włosy gorącą, żywą spermą, zaczęła się zasłaniać rękami. Boże!!! Najprawdopodobniej rozdziewiczał ją przede mną jakiś cherlawy kleryk! To było jak pierdolenie półżywej ryby! Prehistorycznej.

Ale Joanna nie jest zwykłą, przeciętną kobietą. W rzeczywistości mużę przyznać, że jest rasowa. Rasowa sucz! Smukła szyja z uczeponą na szczycie kształtną, choć niezbyt obszerną czaszką, pełne wargi, mięsiste niczym dojrzałe czereśnie, piwne oczy i te delikatnie zaznaczające się pod bluzką piersi, erogenne przynęty, od których nie można oderwać wzroku. Za to mogłaby nosić rodowód! Mógłbym ją często wyprowadzać na psi wybieg, skracając plecioną złotymi niemi smycz tak mocno, że ocierałaby się o moje nogi rozkołysaną talią. Tylko dlaczego ta suka jest taka drobiazgową? I kokieteryjna. Głupia, wечно flirtująca samicą w okresie permanentnej rui. Zrezygnowała, jak zresztą większość ze znanych mi kobiet, z drogi macierzyńskiej pokory i spełnienia prokreacyjnego obowiązku na rzecz niby to progresywnej autostrady komfortu psychofinansowego, ale przecież pod pozorem chęci samorealizacji. Tylko że ta samorealizacja przeistoczyła się z kolei w obsesyjną nimfomanię i przede wszystkim w nimfomanię wszelkich obsesji. I chyba za to drugie jeszcze odrobinę ją lubię. Ale w zasadzie wszystko mi jedno. Uwielbienie obsesji jest obsesją samą w sobie.

Nie za bardzo rozumiem, dlaczego takie kobiety mierzą swoją wartość ilością oglądających się na ich widok facetów? To cywilizacyjne pranie mózgu, któremu zostały poddane w ostatnich dekadach, wyrządziło im więcej szkody niż pożytku. Budują sobie zamki z kolorowych gazet, żeby potem

rozczarowywać się na każdym kroku. Skierowanie tej ich lęgowej energii na zupełnie inne przedsięwzięcia nie ma najmniejszego związku z naturalnymi prawami fizyki, w których energie kinetyczne i potencjalne, choć równoważące się, trzymają w ryzach całą materialną rzeczywistość, a jest właśnie czymś odwrotnym. Jest mianowicie pozbawieniem ich prawdziwej tożsamości. Jak to mówią, największy problem z mewami polega na tym, że same nie wiedzą, czy są psami czy kotami. Nie potrafią dogadać się ani z jednymi, ani z drugimi, chociaż jazgoczą na podobieństwo obydwu gatunków. Wiem, że z pewnością Joanna chciała, jak i inne tak zwane współczesne kobiety, być niezależna, chciała zachować ten mały rdzeń jaźni w stanie *constans*, ukryty gdzieś w piersi i pozwalający zachować jej dystans do tej sfery pośredniej, w której zachodzi specyficzna wymiana, towarowa interakcja, rodzą się relacje oddania i poddania, relacje seksualnych zależności. Kiedyś jednak musiała zdać sobie sprawę, że rozchylając swoje uda i poddając cipę penetracji penisa, za każdym razem traci coś z tego rdzenia, jakąś malutką cząstkę, niedający się uzupełnić element. Przestała z tym walczyć, gdy okazało się, że im bardziej próbowała stawić temu opór, tym bardziej puszczały jej hamulce. Nie potrafiła cieszyć się tylko przyjemnością oddania swego ciała, jak my potrafimy cieszyć się z brania, bo nie zdawała sobie sprawy, że ciało i to coś w nim nie dają się rozdzielić. Mam nadzieję, że wraz z moją zadowoloną spermą w jej ustach zakwitnie w niej szacunek do samej siebie i do tego, co tak lubi robić. Nie ma nic lepszego, niż zerznąć poddanego anioła w stylu Joanny. To jak rznąć Voltarine de Clayre po jej chicagowskim urazie mózgu. One pieprzą się z taką furią!

– Bardzo – odpowiadam.

– A ja się tak ciebie bałam. Pamiętasz wtedy u Froga...? Wydawałeś mi się taki niedostępny. Arogancki i cyniczny.

– Bylem po prostu zdrowo nawalony. To było ostre party.

– Widziałam, że miałeś luźny kontakt z rzeczywistością. Nie wierzyłam w te historie, które opowiadałeś, ale opowiadałeś świetnie. Chciałabym być twoją studentką.

– Żarty na bok – kończę tę pogawędkę, bo zaczynam się denerwować i mogę stać się znów arogancki i cyniczny. – Trujące komplementy! A dlaczego nie wierzyłaś? W którą nie wierzyłaś w ogóle? W historię bankructwa naszej radiostacji czy może w tę, jak zaszlachtowałem człowieka, który zachował się nieodpowiednio wobec mnie dziesięć lat temu? W sumie może i nawet nie zrobił nic takiego, ale najbardziej złośliwe diabły tkwią w szcze-

gółach. A przecież ja mam pamięć do szczegółów. Czemu nie uwierzyłaś? Wyglądam zbyt łagodnie czy może profesja tłumacza z definicji wyklucza możliwość takiego zajścia? Bawię się? Jasne! Do cholery z wami wszystkimi czasami... – muszę zakończyć kwestią otwartą.

Idiotka! Jak wszyscy. Wszyscy, którzy chcą zaśmieszyć moje życie, wyssać moje myśli, niczym szpik z żywej kości, aby ratować swoje zaraczone poglądy, kraść mój czas tak bezkarnie, jak kradnie się publiczne pieniądze i przeszukiwać bezceremonialnie moje najskrytsze zakamarki, jak gdyby to były wykopki w kopalni odkrywkowej. A kimże ja dla nich wszystkich jestem? Dajcie mi spokój! Już jakiś czas temu towarzystwo znajomych ograniczyłem do pretekstu. I to nie do blahaego. Na pewno nie pozwolę teraz na upokarzające gmeranie w mych trzewiach. Ciągłe tylko słyszę, że ktoś się chce ze mną spotkać, porozmawiać. Tylu ludzi codziennie niepokoi mnie tymi pytaniami, czy już wiem, co będę pisał, tłumaczył, oglądał... Czy wiem, gdzie się będę bawił, jadł...? Czy wiem, że ten lub tamten strzelił sobie w łeb, zakrztusił się śledziem, wpadł pod rozpędzonego *trucka*, zdechl w szpitalu z wyrazem bólu na ustach, bo nie miał ani jednego przyjaciela, który wstrzyknąłby w jego lydkę odpowiednią dawkę morfiny, aby dać mu szansę odejścia jak zwierzę z naczelnych, a nie zgnieć jak opuszczone warzywo w kompoście? A przecież jestem wolny. W każdym bądź razie na pewno od nich wszystkich. Tylko oni nie potrafią uwierzyć w to, co im opowiadam. Łatwiej im wierzyć, że Chrystus zamieniał mocz w piwo, niż że ktoś taki, jak ja, może wysłać do diabła jakiegoś dupka, zamienionego w skomlący o litość paszтет. Po prostu traktują to jak literacką fabułę. Ale może to i lepiej. Sam czasami w to, kurwa, nie wierzę!

Muszę tylko zrobić coś, by się pogodzić z samym sobą, oswoić czterdziestu sześciu mych niewidzialnych syjamskich braci, zrosniętych jakimiś niewidzialnymi komórkami nerwowymi, zerujących jeden na drugim, jak huby na starych konarach, niczym jemioly uczeplone jaźni drzew, i popisujących się przed sobą nawzajem jak początkujący cyrkowcy przed swoimi chlebobezmasładawcami. Odczuwam rzadką potrzebę wygadania się. Doprawiam sos nocy miną, o jakiej marzyłem wczoraj.

– Wczoraj nie zastałem nikogo w domu – uprzedzam jej pytanie.

– Ach, rozumiem.

Nic nie rozumie. Zastałem puste mieszkanie. Gościła w nim tylko Pustka, która od czterech lat w moim mniemaniu nie istniała. Taki gość to nie zwykła wizyta marnotrawnego kolegi z lat studiów. Taki gość to wielka

okazja. Piliśmy więc z Pustką noc całą, *gin* piliśmy, bo jak to zwykłem mówić: „od *gina* się życie od*gina*”. Odginałem je do południa. Potem uciekałem tylko przed kacem.

Uciekłem.

On się nie martwi, bo dobrze wie, że niebawem sam wpadnę w jego objęcia. Kac nigdy nie ściga wytrwale. Najślabszy gepard w przyrodzie pewny jest swoich ofiar, one spotkania z nim. Na każdym ciele jest miejsce na ranę, a każdy pazur ma opcję jej zadania. I wydaje się niezaprzeczalne, że każdy przynajmniej raz trafia na swego. Nikogo nic nie ominie. Taka karma. Świadomość tego nie pozwala mi czasami uwolnić się od owocowej przypowieści, tym bardziej teraz, kiedy czuję się osamotnioną na zawsze połówką platońskiej pomarańczy. Ta druga, która czyniła mnie całością, odeszła. Może jednak nigdy jej jeszcze nie było? Wydawało mi się kiedyś, że Sonia jest moim dopełnieniem. Zdecydowałem się nawet na zestarzenie się razem z nią. A przecież czasami myślałem o naszym małżeństwie nie jak o całości. Jeden mąż, jedna żona, a wszyscy oni opętani samotnością... Ale chyba jednak muszę stwierdzić, że nawet jeśli tak było, to w mojej obecnej bezdennej samotności brakuje mi ogromnie poczucia *tamtej*. To dlatego pogubiłem się ostatecznie. To dlatego dziś jestem zdecydowany na wszystko.

– Dlatego dziś jestem zdecydowany na wszystko – udźwignięm myśl okrojoną o cień tego „dlatego” i dodaję – na wszystko, na co ty jesteś zdecydowana.

Tak! Prędzej czy później powiedziałbym jej to. Tak przecież było zawsze. Niewolnicy wrodzonych słabości nie silą się na pokazowe nadnaturalne wyczyny. Ich wolność polega jednak na świadomości własnych ograniczeń i predyspozycji, a objawia się śmiechem, choćby i limitowanym bądź zakonspirowanym. Najbardziej niewolni są fanatyczni więźniowie idei wolności, tej logicznie uzasadnionej i politycznie artykułowanej, a dowodem na to jest najczęściej krew na ich rękach, i to w nieograniczonych ilościach, wśród fleszy i kamer. Kto by to jednak pojął...?

Ja na pewno nie zwracałem sobie tym głowy w tej chwili. Chciałem przymierzyć to jej przyszyte futro. Wykrochmalić jej opalone prześcieradło z trzema dziurami, porośnięte oczami, włosami i energetycznym zapachem piżma. Trochę to wszystko popieprzyło się teraz przez tę całą propagandę Frontu Wyzwolenia Kobiet. Faceci muszą się kontrolować, bo rozkładanie ud stało się dla tych rozjuszonych samic jakimś dziwnym miste-

rium, pełnym różnych ceregieli. Psychologiczne zapasy, psychologiczne *dziu-dziusu*, psychologiczne *sumo* albo psychologiczna wolna amerykanka. Trzeba tylko wybrać taktykę. Ten, kto robi to umiejętnie, jest, niestety, skazany na powodzenie. Niestety, bo one i tak nie potrafią samodzielnie wyczołgać się spod spoconego cielska bawołu, cuchnącego szowinistycznym gównem i chcą być płamione niczym śliniaki dla dzieci, plwocinami czerwonej, jak geranium, i zeszywniałej, jak prezydent elekt, larwy. Potrzebują owłosionych męskich rąk ugniatających te ich mleczarnie, w przeciwnym razie zapadają na najgorsze ze znanych chorób, jak na przykład to zapalenie przysznicy, na które cierpi czasami Joanna, czy przepuklina prezbiterium macicy, objawiająca się charakterystycznymi wypryskami na wymionach. Nie potrafią odmówić sobie kutasa w ustach, bo dostają polipów gardła wielkości śliwki, a ich zęby tracą blask i porastają brunatną bagienną rzęsą. Gdybym spotkał choć jedną kobietę, która potrafiłaby to zrobić, która potrafiłaby być nieczuła na męską adorację, sam zostałbym feministką, jak Richard. Ale to jest właśnie literacka fikcja! A tu jest życie. I soki naszych ciał. I konieczność wymiany płynów. I chemia. I feromony. I żal mi ich. I współczuję im łuszczycy uszu. Żal mi kobiet do tego stopnia, że zawsze marzę dla nich pod ręką charytatywny uśmiech.

I nie obwiniam o to nikogo. Koncerny farmaceutyczne wymyśliły feminizm tylko po to, żeby lepiej sprzedawała się *viagra*. Nikt nie przewidział jednak, że to się aż tak rozpleni. Nikt nie pomyślał o skutecznym *serum*. Nobel dla wynalazcy skutecznej szczepionki!

Czy Planeta Sonia jest inna? Jeżeli jest jakaś – inna od nich wszystkich, to tylko ona. Tu zasady są jasne. Udajesz, że niby to liczysz się z nimi, ale tak naprawdę to liczysz się z nimi tak, jak ktoś chcący się odlać za burtę statku, musi liczyć się z wiatrem i przejść na zawietrzną. Potem dajesz im szybko do zrozumienia, o co ci chodzi. One: nie, nie, ale bierz mnie. Nie, nie, a potem jeszcze i jeszcze. Więc okna zasłonięte ciała umyte głowy pijane kto kogo wsadź mi i jeszcze raz och już nie mogę zasypiają. Wszystkie chuje na świecie nie mogą się wyrobić z powodu ich stękających, rozciętych na pół i pomarszczonych ślimaków. Z powodu tych zamków, otoczonych fosą śliskich konwenansów, nad którymi nigdy nie podnosi się zwozdzony most poczucia własnej wartości. Przefiltrowany przez parę zapracowanych nerek mocz, obmywa słońcą twarz morskiej fali.

Nie mogę zrozumieć, dlaczego jest tak, że do każdego z tych zamków istnieje klucz. Jak nie wódka, to poezja. Znajomy Willi twierdzi, że penisy

w stanie erekcji wydzielają fluid, który przedłuża życie i wywołuje makabryczne uzależnienie, wszak wszystkie środki przedłużające życie wywołują uzależnienie, i to tym silniejsze, im skuteczniej działają. Ma chyba rację. Ale z Joanną to już w ogóle sprawa jest prosta. Ten jamochłon należy do rzędu tych kobiet, które prześpią się z każdym facetem, który im się podoba, a jeśli się nie podoba, to wystarczy upić je wystarczająco. Baba pijana to dupa sprzedana. Śluz wypływający z jej cipy zalałby wszystkie depresje Niderlandów, gdyby kiedykolwiek się tam zjawiała. Każda kobieta, jeśli ją dobrze podkręcić, pozwoli umieścić śpiewającego wzwodem ptaka w swej wodnistej klatce. Żadna z nich nie nosi przecież kuloodpornych majtek.

– Wiem. Będzie, jak zechcesz. Kocham cię. Musiałeś to wiedzieć.

– Nie, nie wiedziałem... Przecież dopiero niedawno się poznaliśmy – odparłem, chociaż wiedziałem, że zapadła na jakąś chemiczną chorobę, bo rzucano się to bardzo w oczy i bynajmniej nie wzbudzało mojego entuzjazmu. Jej oczy zmienione chorobową gorączką powłóczyły za mną na każdym kroku. Starła się znajdować setki okazji, aby tylko zwrócić na siebie moją uwagę, aby być w mojej już i tak przepełnionej innymi satelitami orbicie, abym musiał, chcąc nie chcąc, zatrzymać spojrzenie na niej.

– Ja zakochuję się szybko. Poza tym jesteś taki inny, że łatwo się w tobie zakochać. Wpadłam we własne sidła. W pewnym momencie miałam cię dość. Twoje historie wydawały mi się bredniami. Chciałam pokonać tę twoją pewność siebie, ale skutek był odwrotny. Gdy na końcu szepnąłeś mi, że jeszcze się spotkamy, miałam ochotę cię wyśmiać. Potem widziałam, jak z Sonią wyszliście na dach i... Nie, nie powinnam chyba tego mówić – prze-rwała jakby zawstydzona.

– Śmiało. Co, podglądałaś nas? – domyślałem się już wszystkiego.

– Nie! No dobrze. Tak. Ale nie myśl sobie, Bóg wie co...

– Chyba nawet ten kutas nie wie, co sobie mogłaś wtedy pomyśleć...

– Och, Chris! Przestań świętokradczyć!

– OK! Kontynuuj...

– Widziałam, jak rozłożyliście swoje ubrania. Kochaliście się, patrząc w gwiazdy. Miło było na was popatrzeć. Nie mogę jednak czegoś zrozumieć. Powiedz, naprawdę kochasz Sonię? Czy mogę na nią mówić: *ona*? Nie mogę *jej* zrozumieć... Jak *ona* mogła cię opuścić?

Kurwa, o co jej chodzi? Nie wytrzymam tego. Jej głos brzmi, jak denty-styczne wiertło w wypełnionej gazetową ciszą przychodni stomatologicz-

nej. Znowu zapaćkana rozsypanym *spaghetti* cerata zamieniła się w żłób dla głodnych, bezdomnych, wirtualnych karaluchów. Niektóre kobiety zostawiają wilgotne ślady bosych stóp na moim szlaku. A potem ta ich wilgoć rośnie w grzyba. A potem jeszcze ten grzyb zatruwa. Na całe szczęście żywię się trucizną.

– Przecież już ci mówiłem, że tak. Trudno mi dodać coś więcej. Najprawdopodobniej musiała sama sobie coś udowodnić. Poza tym chyba naprawdę niełatwo ze mną wytrzymać – kończę. Zamawiam kolejne drinki.

– To dlaczego powiedziałeś mi wtedy, że jeszcze się zobaczymy? W twoich oczach widziałam, o co ci chodziło. Jak mogłeś się umawiać z inną kobietą skoro *ja* kochasz? Jesteście wszyscy tacy sami. Też byłam kiedyś z facetem, nawet długo – dwa lata, który mi mówił, że kocha tylko mnie, a w końcu wylądował z moją psiapsiółką. Nie rozumiem tego. Jesteście chujami, a my i tak was kochamy.

– Ja też tego nie rozumiem. Ale wtedy spodobałaś mi się. Masz bardzo zmysłowe usta. Mówiąc szczerze – cha, cha, śmieję się w duchu, bo wiem, że fizyka Newtonowska już od dawna zna te przypadłości i już je opisała. Ciała oddziałują wprawdzie na siebie wzajemnie, z tym, że większe z nich mocniej przyciąga i mocniej też odbija, aniżeli mniejsze. Może się po prostu bardziej panoszyć we Wszechświecie – chciałem się bardzo z tobą pieprzyć. Poza tym odniosłem wrażenie, że przyglądasz mi się – gmatwam się teraz niepotrzebnie w swych wyjaśnieniach. I tak przecież jej tego nie wytłumaczę. Ona nie ma przecież pojęcia o przedmiotach ścisłych, chyba że ścisłniętych sutkach. Dobrze, że już dostaliśmy drinki. Zapalam papierosa. Mogę w końcu coś przelknąć.

– No, oczywiście zanim Sonia nie zrobiła awantury – dodałem.

– Istotnie, przyglądałam ci się. Przyglądałam się jak akademik robi z siebie idiotę, jak opowiada brednie, pajacuje. Nie wiem, jak *ona* mogła znieść to tak długo.

– To nie brednie, a działalność mitotwórcza. Po to, aby życie wydawało się ciekawsze i aby zachować anonimowość. Joanno, napijmy się!

Podnosimy do ust drinki, a ona dalej swoje:

– No już dobrze. Nie denerwuj się, Chris. Twoje zdrowie. A swoją drogą, ty zawsze potrafisz siebie usprawiedliwić. Działalność mitotwórcza!!! Czy chodzi o anonimowość, czy o fikcyjną tożsamość?

– Sonia mówiła mi to samo – przyznałem i zauważyłem, że nie na darmo nazywają ten drink *parrot*.

– Nie, nie o to mi chodziło. Po prostu zastanawiałam się nad kilkoma sprawami. Utkwiły mi w pamięci pewne sprzeczności. Na dachu kochaliście się tak romantycznie, jak młodożeńcy. A potem na dole, nad ranem? Co wy wyprawialiście? Cale to wasze towarzystwo narobiło takiego syfu, że szkoda gadać. Z łazienki, gdzie się z *nią* zamknąłeś, dochodziły takie odgłosy, że wszyscy się przejęli. I jeszcze ten wasz młody znajomy... chyba Kamil? Palant zaczął widelcem orać sobie klatkę piersiową, nożem przecinał opuszki palców... Jego krew była wszędzie. Pamiętasz? To jakiś desperat! Tylko ta pieprznęta Mary zlizywała tę ściekającą posokę i miała niezły ubaw. Wyglądali razem jak ludożercy na balu kanibali. No i oczywiście *prince Frog*y. Skąd wy znacie takich popierdoleńców? Ale oni chyba byli naćpani. A mówileś, że to filozoficzny talent... To są te sprzeczności?! Ale wiem, że nie powinnam była mówić o tym. Przepraszam, Chris...

– W porządku. Nie ma sprawy. Ale nigdy nie nazywaj Mary pieprznęta! To moja bardzo stara i dobra przyjaciółka. Ona jest trochę inna... A w ogóle to skończmy już drążyć ten temat.

Już chyba się upiła, bo słyszę miły szelest wulgaryzmów spadających z tej czterdziestodwujęciokilogramowej cipy o pojemności dwudziestu kutasów w roku. Jej gadka przestała być tylko zwykłą trutką na szczury, na którą zresztą jestem odporny. To arsenik interesującej konwersacji.

– Cieszę się, że się nie gniewasz. Kocham cię, Chris.

Może jednak jeszcze jest w niej odrobina strychniny, ale mam nadzieję, że niebawem wyparuje zupełnie.

– Obawiam się, że nie wiesz, co mówisz, Joanno – gaszę jej zapał, bo obawiam się, że ona wie, co mówi. Poza tym mam już jej naprawdę dość. Znowu te najmniej odpowiednie słowa. Czemuż ja mam tego słuchać? Oczywiście wiedziałem, że coś zaskrzyło między nami. Jakieś telepatyczne piktoqramy chuci. Ba! Wiedziałem, że prędzej czy później prześpię się z *nią*. Ale wtedy nie mogłem się na to zdecydować. Mieliśmy kryzys z *Sonią*. A liczyła się właśnie *Sonia*. A teraz? *Alubina kraksa, autosana luksa, bęc! Transzeja pospolita!* Byleby tylko miała wygoloną cipę, bo nie zdzierzę...

– Joanno, ja wciąż kocham *Sonię*. Wiem, co to znaczy.

– No to co? Ja może nie wiem, ale chcę cię mieć choćby przez chwilę. Myślę o tym od momentu, gdy cię spotkałam. Nie zależy mi na tym, aby to była miłość. Może to nawet lepiej, jeśli będziemy mieć dla siebie tylko chwilę. Nie znudzimy się sobą. Umówmy się wręcz, że bez zaangażowania... Z twojej strony oczywiście. Muszę mieć twojego fiuta w środku.

– Możemy mieć dla siebie tylko chwilę i ani odrobiny więcej – uprzedzam ją. – A mojego fiuta musisz bardzo poprosić, aby wszedł do środka. To lajdak! To lajdak i skurczybyk!

– Oj, poproszę go, poproszę. Powiedziałam ci. Chwila mi wystarczy. Mój orgazm zacznie się, gdy mi go tam włożysz. Już jestem mokra.

– Chwile się przypominają. To może boleć, może powodować strach. Człowiek musi poddawać się swojej skończoności. Ja kiedyś bałem się straszliwie powracających wspomnień, powracających chwil. Dopiero niedawno zdałem sobie sprawę, że choć przypominają się one to, tak naprawdę, mijają bezpowrotnie. Chciałem, jak wiesz, spowodować, abyśmy mieli to już za sobą, aby nasza rozpusta stała się wspomnieniem. Zepsułem tylko pierwszą okazję.

– To nie zepsuj drugiej! Trzecia może ci się już nie zdarzyć.

Joanna nachyliła się do mnie, aby mi pokazać, że jej usta nie są zasznurowane żadnym strachem, a wręcz przeciwnie, są wyważone łomem pożądania.

– A zatem nie mamy alternatywy, chodźmy stąd – rzekłem sakramentalnie, choć tak naprawdę to nie wiem, co znaczy powiedzieć coś sakramentalnie...

Sprawdzimy, jaką melodię gra ta *Ptaszyna*, w odróżnieniu od *Rybki*, bo *Rybka* się jest, a *Ptaszynką* się bywa. Grywa się różne melodie, melodie z *Ptaszyną* się grywa.

Joanna wstała i rzuciła z wyrzutem:

– Już wcześniej powinniśmy byli to zrobić.

W tej chwili pomyślałem dokładnie to samo, bo okazało się, że mam już problemy ze wstaniem. Zastanawiam się, czy o niczym nie zapomniałem. Szukam. Nie ma tu już nic. Smutek tej knajpy zabrałem w zeszłym tygodniu i od tej pory jedyne, co mogę z niej wynieść, to pożywka dla mego zwalczanego, niedającego się zwalczyć cynizmu. *Sierotka* ta, bliźniaczko zbratana ze złośliwą i chytrą myszą mojej ironii, przypałała się do mnie przed kilka laty i przygarnęła ją niby tylko na chwilę, aby ulżyć sobie, lecz to wystarczyło, żeby bezczelnie przyssała się do mojego rozrzuconego języka i okaleczyła moje serducho, wykroiwszy z niego wszystko, co miękkie, a zostawiwszy przepastne komory bez ścianek, w których rozszczękane przyśpieszonym pulsem sumienie i tak się nie mieści. Cynizm najlepiej kwitnie wśród mgieł. Ludzi-mgieł. Mgły dookoła mnie. Mgła najlepszą pożywką. Cynizm dużo żre. Cynizm lubi, gdy piję. Lubi, gdy taplam się wśród mgieł.

Pora wyjść. Joanna jest zadowolona. Wiem to. Ciesz się. Wreszcie jej hormony dostaną w dupę!

Przeciskamy się między stolikami.

– Hej! Chris! – woła do mnie mgła.

– *What's the matter?* – udaję zadowolonego, aby zdzierzyć tę mordę.

– Jutro już na pewno oddam ci te płyty – zapewnia mnie pewniak.

– Daj spokój – mówię, bo nie stać mnie na nic więcej. – Wiem, czego potrzebujesz, ale nie mam już pieniędzy.

– To cześć! Nie zatrzymuję cię. A może chcesz przypalić jakiś konkretny?

– Kiedy ty dorosniejesz? Rozedmy płuc dostaniesz, braciszku... Aha, gdybyś widział Kamila, powiedz mu, żeby wpadł do mnie. Niech chociaż zadzwoni.

Rozglądam się. Czyżby Joanna ze swymi długimi nogami i wiecznie zimnymi rękami przeistoczyła się w tę obleśną mgłę? Nie, jeszcze za wcześnie. Po prostu nie zaczęła, bo bardzo jej spieszno – próbuję, jak zwykle, usprawiedliwiać niepokornych pokornych. Nie lubię pośpiechu w tych sprawach. W ogóle nie lubię pośpiechu. A wbrew pozorom pośpiech jest wszechobecny. Z tego, co wiem, najbardziej śpieszy się zachodzące Słońce. Nigdy nie mogę zdążyć na spotkanie z nim.

Nie nadążam za nią.

Głupia idiotka nie widzi, że ciężko mi przedzierać się przez zbitą masę tej trzody przy stolikach, tym bardziej że jestem obciążony anyżowymi mdłościami, bulgotem w żołądku, czerstwymi znajomościami, słonym rachunkiem i duszą grzeszną... Świat złodziei i bandytów. A ja bankrutuję na paserstwie nieużywanym idei. Pełzną na oślep. Mgły dookoła mnie wywołują kolejny atak abulii. Nie jestem już zdolny czegokolwiek chcieć. Może runąć tu, na tym wolnym stołku, i pić, i pić, i pić...? Wcale nie chce mi się iść. Knajpiany zgiełk pęta mi nogi. Oto stęchła magia szaf grających zadymionych wielkomijskich nerek. A poza tym powstrzymuje mnie szczerą niechęć na artystyczny seks, mimo iż jestem ciekaw melodii, którą gra ta Ptaszyna.

Dopałem ją na korytarzu i... padłem. *„Znowu noc przesadziła / i zostałem, jak papuga w chlewie / Rozbrojony będę trwał do rana / Kiedy Słońce zawiśnie / Brwi uniosę, aż się zachłystnę / Stanę – choć na drżących nogach / Z wysoka wszystko wyda mi się małe i żałosne / Dobrze znam to uczucie / Splunę!*

3. Konsekwencja

I splunąłem!!!

4. On

Podobno nie odezwałem się ani słowem do taksówkarza, który pomógł mi wstać. Zabelkotałem coś tylko, gdy jego pojazd z brzuchem wypełnionym nami został połknięty przez tunel, dźwigający na swym garbie niezgrabną, wyjąca i spoconą lokomotywę ze stadem rozklekotanych wagoników. Podobno nie odezwałem się ani słowem do Joanny, która próbowała pomóc mi wstać, aby pomóc własnym hormonom... Biedne hormony wylły i ujadaly do rana.

Obudziła mnie rozdygotana wskazówka ściennego zegara. Byłem totalnie rozkalibrowany. Pulsujący pokój oblepiony był szklanymi oczami. Te oczy ropieją. Czuć smród gangreny.

Robak pływający we wnętrzu wozu asenizacyjnego pełnego gówna, zmęczonego długą podróżą od pachnącej tłustej dupy całej klasy średniej pierdzącej na *Montparnasse* do pozłacanego szamba, ukrytego trzy metry pod ziemią niedaleko jej siedziby, spociał się najpierw, a następnie zdechl z powodu braku ożywczej bryzy letniego monsunu i nadmiaru różowego papieru toaletowego, miękkiego jak aksamit.

Papierosy, które leżały obok łóżka, wylły się w pudełku niczym w węzowisku. Gdy zaczęły wypelzać w kierunku mojego przestraszonego serca, na całe szczęście zdążyłem złapać największego śmialka i podpalić. Zniechęciło to resztę do dalszych podrygów. Wyprostowały się i zeszywniały. Opanowywałem supertrzęsączkę. Ranek już zmierzchał i mrok południa spowodował, że ogarnęło mnie, wlokącego się w stronę łazienki, poczucie lęku. Smród dnia poprzedniego sięgnął nozdrzy mego prywatnego kronikarza, a ponieważ wrażliwy on i surowy zarazem, zatem wrzask jego dopadł mych uszu. Uszy moje wiele już doświadczyły. Kiedyś utopię kronikarza w siódmym śnie. Kronikarz jest pamiętliwy.

Tyle pamiętał, że wystarczyło, aby odwiedził mnie On – jak będę Go tu zwał. On jest wewnętrznym Nim. Mieszka zaledwie kilka centymetrów ode mnie, w tym samym owłosionym balonie, w którym chlupoczą pomyje wielowiekowej tradycji intelektualnej tak zwanego Zachodu. Wiem, że wczorajsze wczoraj nie było wcale dłuższe niż zwykle wczoraj. Nie było też wcale gęstsze. Poziom intensyfikacji w normie. Również poziom toksyfikacji. Więc czemuż przyszedł? Czy tym razem chodzi o tę krótkowłosą bru-

netkę, z uszami o smaku wieprzowiny, w moim łóżku? Przecież nie przysłali Go do mnie sąsiedzi, podsłuchujący świadkowie rannego, artystycznego chędożenia... Znowu rozpoczyna się ten cały cyrk z rozszyfrowywaniem mojej „czarnej skrzynki”, mojej fabryki wynaturzeń, wynurzeń poetyckich, barwnych fabuł bezbarwnych opowiadań, kłamstewek małych i nikczemnych łgarstw, mojego magazynu rozładowywaczy, akademickiej papuni, mojego silosu na paszę, paszę podżeraną przez tłuste, ciężkie ćmy, od których moja głowa pełna jest trzepotu i pragnienia uwolnienia, uwolnienia od myślenia. Wypuścić wszystkie ćmy! A każdej z nich odgryźć leb, kosmaty leb...

A zatem przyszedł On. Przychodzi do mnie czasami. Puka. Truchleję. To, że nie chcę otwierać, nie ma znaczenia, bo On zaopatrzony jest w ogromną brechę, rozkuwającą kłódki od mych mocnych nerwów. Wchodzi. Już widzę jego minę. Rozgląda się bacznie. Zbliży się. Podchodzi blisko i brudnym od skrępyłych matactw wiertłem dziurawi mi głowę. Wwierca się. Rana otwarta, głęboka, do samego mięszu. Takiego różowego mięszu. Wkłada tam rękę, potem drugą. Pazurami oblapia mózg. Ścisza go i miętosi. Próbuje rozgnieść ten bezwstydnny organ. I słyszę śmiech, Jego dziwny śmiech. I czuję ból. I uginam leb, gdy poniża mnie. Mózgowa papka kapie na zimną posadzkę. On krzyczy, żebym Go tym gównem nie ugównił. Już nic nie widzę, już jestem uglebion, uziemion, ucioran, zanurzony w Amoku – Królu Ponocnym, Cudotwórcy Zapomnień.

Nie wiem, kiedy odchodzi. Nie wiem, ile w mej głowie pozostało dżemu. Ukoi mnie tylko zabawa w dziecko.

5. Czekanie jest grzechem, bo obżarstwo jest grzechem

Czarny stolik, przy którym siedzę, denerwuje mnie swą chybottliwością. Kawa posłodzona starymi kawałkami *Led Zeppelin* również się denerwuje. Znudzone są jedynie papierosy. Znudzone są rolą, jaką przyszło im grać w tym przedstawieniu. Polega ona na odmierzaniu czasu, o który spóźnia się Kamil. Kamil lubi się spóźniać, ale wiem, że przyjdzie. Przyjdzie i znów odejdzie. Ulotni się, zapadnie w eremii swej. Czekam na moment przed jego odejściem. Moment warty dwudziestu wieków naturalnej hibernacji w głębokiej tundrze samotności maratończyka życia. Moment, w którym wydarzy się uścisk, uścisk naszych dłoni. Mam wielką nadzieję, że się wydarzy. Wiele mogę powiedzieć o uścisku dłoni, o mocnym uścisku – znaczy szczerem.

Zdarza się, gdy dwaj mężczyźni na drodze, napięte mięśnie, dłoń otwarta... Gdy dwie Dłonie na drodze – myśl podąża otwarta, ku drugiemu, ku bratu... Uścisk bratni. Wraz z bratnim uściskiem poczucie wzrasta porozumienia, spójności... Przeżyłem parę razy dwie dłonie splecione, gdy dwie otwarte spójności na drodze wypędziły wstyd spod paznokci. Dzisiaj ma dłoń otwarta, a jeszcze wczoraj pocałowałem kobietę... To też się zdarza.

Znowu czekam. Czekanie jest trudne. Nuda wali mnie po głbie. Często, gdy czekam, przypominają mi się historie, które najchętniej zapomniałbym, a które uparcie zapomnieć się nie chcą i wciąż ujadają stłumionym echem potasowanej przeszłości. *Jokery* nie brały udziału w tej rozgrywce, a reszta kart była naznaczona niespodzianką. Przez tyle lat odrzucałem własną przeszłość, jej porąbane niczym klocki na opał, porąbane niczym bydlęce gnaty na zupę dla bezdomnych, fragmenty. Pragnąłem, by ta cała składanka zniknęła, schowała się pod grubą warstwą nagromadzeń tak zwanych tu i teraz, by przypominała tylko zimny blok granitu, może nawet kamień nagrobny jakiegoś nieznanego ścierwa. A jednak ona ciągle porusza się w mojej głowie, jak niewyskrobany płód w łonie kobiety, jak opite wódą wymiona Mary podczas pierdolenia. I często, gdy czekam, skazany jestem na myślenie, a myślenie to nie Kamil. Myślenie się nie spóźnia. Myślenie zawsze jest przede mną. Ono czeka na mnie. Odkąd nie jestem z Sonią, tylko ono czeka na mnie. Myślenie jest wierne, wierne do bólu. Myślenie jest bólem. Myślenie jest też lekiem na ból. Ból jest lekiem na ból. Kobiety nie są bólem, ale są niewierne do bólu. Kobiety karmić bólem!

Każda minuta waży sześćdziesiąt sekund. Ciężka strawa. Połknąłem już wiele przyprawionych niepowodzeniem minut. Nie chcę już takiej strawy! Kalorie przeszłości powodem tycia żalu. Żal nie wchodzi w nowy garnitur. Obżarstwo jest grzechem!

Kaskady niedopalków wylewają się z trzech popielniczek. Przedawkowany czas. Przedawkowana próchnica zębowa i woskowina uszna. Bród zagnieżdżony między palcami stóp, laskocząc pod skarpetką, prowadzi cię na spacer do zakątka teraźniejszości, która uśmiechając się dobrotliwie, niczym rodzona babcia, wmawia ci, że kolejna szansa tuż przed tobą, tak jak samoobsługowa pralnia, tuż za rogiem, w której obmyślasz podczas linienia strategię natarcia na wrogie pozycje poukładanego życia.

Z sufitu pokrytego grubą warstwą nikotynowej, tłustej żółci i porośniętego mchem zaniedbania, karmionym wyziewami nieświeżych, przepitych oddechów, przecieka jakiś dziwny zapach. Niesie się na plecach melancholijnego dymku czarnego jazzu, który właśnie nastąpił. Tak, już wiem... To zapach mojej amerykańskiej młodzieńczej samotności, gdy zmuszony zostałem do spędzenia roku wśród drapiących chmury szklanych strachów i podgryzających ich korzenie *hippie*-barów. Niepodobny do niczego innego bukiet bibliotecznego, odczytanego kurzu, piwa, neonowych frytek i przesłodzonych naleśników, przyprawionych kapitalistycznym, zimnowojennym karmelem, który przypominał mi o potencjalnej niemożliwości osiągnięcia tego, co Ameryka oferowała swoim zaślepionym, fanatycznym wyznawcom. Zapach nęcący i odrzucający. Zapach, który zabił ostatnie duchy owadożernych Indian, które można jeszcze było spotkać kilkanaście lat wcześniej, ukryte w głębokich bagażnikach każdego *cadillaca*, w pojemnej walizie kontynentu zdrutowanego, jak klatka dla egzotycznych ptaków. Zapach, który pozostał po hipisach, którzy po stadium umysłu otwartego i penetrującego teleskopem LSD nieskończoną materię uniwersum, zamienili się w nieświeże preriowe błoto, porośnięte zeschniętą trzcina oddanych do lombardu życia idei. W sumie to i dobrze, bo te zarażone lewackim kwiatowym pyłkiem istoty, byłyby w innych szerokościach geograficznych, na przykład we Wschodniej Europie, tylko przodownikami komunistycznej partii. Jedyne, czego chcieli, to chodzenie na bosaka i nieposiadanie niczego. W Ameryce mieli szansę zostać przynajmniej bankierami. Czeki do dziś są tam w kolorach tęczy i pomalowane są w kolorowe kwiaty. Nie może być na nich tylko pacyfy, bo to nie byłoby zgodne z majestatem *political correctness*. Powrót do Europy był zatem najlepszym pomysłem dwudzie-

stoletniego stypendysty Fundacji Forda, o słowiańsko-francuskim pochodzeniu, o mocno lewicowym, politycznie poprawnym w owym czasie, skrzywieniu, które dzięki temu nie było wtedy skrzywieniem. A przynajmniej tak mi się wydawało. Znowu mogłem przecież wachać kwiaty europejskiej łąki, pozbawionej tego narcystycznego samouwielbienia. Znowu wróciłem do egzystencjalnej gorzkiej i czarnej. I papierosów *Gauloise*. Kawa bez papierosa jest jak bankomat bez pieniędzy. Bezużyteczna!

Zaczynam się dziwnie czuć. Znam co prawda te stany, bo nawiedzają mnie od lat, ale wciąż nie mogę się do nich przyzwyczaić. Przypadek, jak listonosz codziennie przynoszący pocztę, na którą niby to nie czekasz, ale której podświadomie wypatrujesz, pragniesz, pożadasz, karmi cię nowym ciastkiem zdarzeń, zapoznaje cię z nową instrukcją ogranej gry, wciska ci bilet do byle jakiego pociągu, do którego wsiadasz bez oporu, ściskając w rękę kamyk zielony. Trudno się do tego przyzwyczaić. Nawet jeśli ma się poczucie własnej przypadkowości, to coś szepcze ci na ucho, brzmiąc jednostajnie, jak wentylator komputerowego procesora, że może jednak za twoimi plecami stoi jakiś manualnie uzdolniony anioł, poruszający wszystkimi twoimi członkami, zgodnie z jakimś scenariuszem wielotomowego Dzieła Stworzenia. I myślę, że nie należy się tego wstydzić. To naturalne, jak nasza potrzeba podarcia sobie odbytu po porannym stolcu. Wyuczona w dzieciństwie i kultywowana przez całe życie potrzeba zachowania pewnego higienicznego konsensusu. Jednak musimy w pewnym momencie – nazwijmy go moment G jak gówno lub G jak groteska – naszego nieudolnego udawania życia, zdać sobie sprawę z tego, że wyjaśnienie, uzasadnienie czy usprawiedliwienie pewnych rzeczy stało się już niemożliwe. Odkąd prerią skończoności (jeśli byleś kiedyś w samym środku prerii, to wiesz, że sprawia wrażenie nieskończonej) zaczął władać *Gentleman Chaos*, wszystko się zmieniło. Stało się niemożliwe uzasadnienie rzeczy możliwych, o których tylko naiwnie myślało się dotąd, że są niemożliwe. Tuła się wprawdzie w naszej głowie „po co” i trzyma się mocno z „dlaczego”, ale „ponieważ” i „dlatego” wysiadło na stacji „okres dojrzewania” (ale nie bananów, tylko ludzkości) i do dziś nie wsiadło. Kamil powiedział kiedyś, że przez to zostało ludziom na zawsze odebrane prawo rozumienia świata. A to przecież bzdura! Ja dobrze wiem, że coś mi pozostało. Jest to przypadkowy obraz wytworzony w moim mózgu na skutek przypadkowych okoliczności. Tyle musi mi wystarczyć. Fatamorgana? Może. I jak tu żyć, nosząc w sobie pustynię?

Kamil jest jedyną osobą, której odpowiedź mógłbym potraktować serio. On jednak unika odpowiedzi na pytania tego typu, a ja, jako maniak eksperymentujący ze swym własnym myśleniem, tak zniechęconym, a tak nieustępliwym, że już chwilami nie wiem, czy to przypadkiem myślenie nie eksperymentuje ze mną, nie jestem w stanie go zadać. Nie zadam go również dzisiaj.

Pojawił się Kamil. Z tą swoją twarzą cherubina wydaje się, jakby zstąpił prosto z niebios. Okutany w zdefasonowany, czarny płaszcz nosi się Kamil na krzywych nogach, a krzywe myśli sinusoidalnie falują między jego skrońmi. Odżywia się filozofią. Popija literaturą. Deserzy, czym się da. Dziwny to nieco człowiek. Rzeczywistość ma luźny z nim kontakt. A może on z nią? To nieistotne. Kamil swe ścieżki zna.

Jego nawykiem jest, że często popołudniową drzemką ucina sobie kawałek dnia, aby zbudzić się o zmierzchu bożyszcz i móc potem buszować w zbożu prozy lub grać nocnego kowboja w podrzędnych knajpkach, latarniach zabłąkanych, do samego świtu istoczącego się jutra. Jutro przynosi mu porcję kawy o dziesiątej i gna po zagonach tekstu w stronę jasnej.

Najpiękniejszy wiek ma już za sobą, jak twierdzi. Po trzydziestce człowiek podobno staje się za stary na pewne rzeczy, ale nie przypomina jeszcze przegnitego do cna *dodge'a*, błagającego basowo-spalinowymi pomrukami o kolejne dni życia na etylinowej diecie, nie przypomina jeszcze ślepego wora pcheł, niemogącego wylegitymować się najsłabszym szczeknięciem przed ulicznym hyclem, mającym konszachty z upudrowaną na bladobiało damulką, wynajmującą Styks dla rekreacji i machającą na oślep laserową kosą śmierci, i dlatego musi jeszcze udawać, że żyje, spopielać się powoli w piekarniku codzienności. Co ja mam w takim razie powiedzieć?

Nie jestem pewien, czy Kamil jest zdolny czy nie. Wspaniały jest jako człowiek w pewien sposób przegrany. Wystarczająco wiele księżyców zgąsto już na jego niebie, by dorobił się ogromnego intelektualnego majątku, porównywalnego z pustą klepsydrą. Do czegoś kiedyś służyła i do czegoś mogłaby jeszcze pewnie posłużyć, ale nie ma nikogo, kto napełniłby ją ziarnem jej przeznaczenia. Podobnie jest z Kamilem. Wszystkie niemierzalne chwile przepuszcza w poczytalniach, poczekalniach, knajpach i innych bywalniach. Nie biega, nie handryczy się, nie zarabia na boku. Może i jest troszkę bawidamkiem, ale nie bardziej niż inni faceci w tym mieście. Zrezygnował z katedry, którą zostawił po sobie profesor Rinehart, o co wielu ma do niego pretensje do dzisiaj, a szczególnie ci, u których bywa niby to

przypadkiem w porze obiadowej lub przy kolacji. A zdarza się, że i na bardzo wczesnym śniadaniu, po całonocnej biesiadzie z zaprzyjaźnioną polską wódką *Belvedere*. Kto jada śniadania o piątej rano? On się jednak nigdy nie przejmuje gospodarzami. Nomad, kultywujący najlepsze tradycje handlu wymiennego! Powsinoga, pozbawiony najmniejszych filisterskich skrupułów! Płaci zawsze jakimś szatańskim wersetem, jakąś mądrością starożytnych, jakąś błyskotliwą ripostą. Często cudze słowa pozwalają mu zblęsnąć przy żarciu za cudze pieniądze. Zadziwiające, jak łatwo udaje mu się ślizgać po talerzach znajomych, zupełnie jakby dysponował jakimś telepatycznym czytnikiem kart magnetycznych, odcinającym kupony od ich drobniomieszczkańskich, przytłustych kont i hołdującym najlepszej szkole wielkomiejskiego *survivalu*. To zadziwiające, jak łatwo udaje mu się zdobywać środki na jego nieodgadnione potrzeby, jak łatwo ludzie na jego jedno słowo dają mu ostatnie banknoty, których nie zdążył pożreć portfelowy tasemiec wydatków. Przyzwyczał już niemal wszystkich do swojej pasożytницьkiej natury, przybranej w kostium życiowej nieporadności i oswoił z wampiryczną pazernością do tego stopnia, że gdyby poprosił połowę mieszkańców Paryża o nadstawienie szyi, to mógłby do woli chleptać świeżą krew, jak platforma wiertnicza chlepcze z garbu ziemi sfermentowane dolary.

Mógł być dobrym adiunktem na uniwersyteckim *ranchu*. Ale tak naprawdę to Kamil nie lubi uczyć się od innych. Uważa to nawet za hańbę i dlatego rzucił to wszystko, zanim jeszcze zdążył złapać akademickiego syfa nonszalanckiej, jak go nazywa. Jeszcze bardziej nie lubi uczyć innych. Nienawidzi gładzenia i tego całego pedagogicznego blichtru. Trochę go rozumiem. Nie na darmo chyba mówiono; obydwoje cudze dzieci uczył! Zresztą dzisiejsza szkoła jest niczym innym, jak tylko betoniarką. Sam coś o tym wiem...

Ze względu na rodzinne tradycje Kamil był zmuszony od najmłodszych lat kłaść się spać z Platonem lub Arystotelesem. Nietzschego musiał wchłoniąć w oryginale, podobnie jak Rilkego czy Hegla. Już w gimnazjum znalazł Dostojewskiego, Baudelaire'a, Whitmana, Becketta, Iksa, Ygreka i innych. Ojciec nie zostawił mu dużo czasu na masturbację i zabawę w Napoleona. Wcześniej zaczął tłumaczyć. Krytykował, eseje. Łacina i greka. Miał spore perspektywy na tak zwane urządzenie się. W pewnym momencie odjechał. Wydawało mu się chyba, że posiadał wszystkie rozumy, i zaczął rzygać na prawo i lewo tą swoją wiedzą i taplał się w tym, i taplał. Potem ten nieskuteczny projekt magazynu filozoficzno-literackiego... W końcu zaszył się gdzieś z jakąś Amerykanką. Rozpili się. Ćpali opium i kwas. Wege-

teriańska dieta. Dużo grzybów. Udławiła się własnymi rzygowinami, w wannie. Trumna z ciepłą wodą zmieszana z najtańszym szampanem. Samoczyszczająca się, zimna, sina pochwa z zasmarkanym dziewiętnastoletnim nosem, zeszywniała w apokaliptycznym skręcie kiszki żywiołu łaknienia niezwykłości. Czy on przypadkiem tego nie zaplanował?

Teraz zamieszkuje obszar permanentnej depresji. Mieć depresję i leczyć ją nadzieją i znów popadać w depresję, żeby nadzieją się z niej wygrzebywać, to jego główne zajęcie. Jestem pewny, że kiedyś jego lewą skroń ucałuje jednak *Kochanka*. Jestem pewny, bo wydarłem rok temu *okrucz* z jego *Bzdurnika*. Pisał Kamil o swojej *Kochance*. Wiem, że stać go na taką *Kochankę*. Oto trzewia wyrwane z *Bzdurnika*:

Od dawna o Niej właśnie myśleć nie przestaję... Smukła, gładka... Czemuż taka chłodna? Szukam sposobów, aby osiąść tę Damę... Ciągle żyję, zdaję sobie sprawę, że me serce bije dla Niej. Serce w kształcie pudełka, ukryte w nim wszystkie nieszczęścia. Odkupi je tylko Ona. Chciałbym Jej dotykać, godzinami z Nią rozmawiać. Przytuliwszy usta Jej do skroni mej – rozpocząłbym spowiedź. Cierpliwa, wyrozumiała. Niezawodna! Jeden Jej szept sprawiłby, że odzyskałbym spokój. Szept Jej już słyszałem, lecz nie był on dla mnie. Mimo to – czułem dreszcz. I czuję dreszcz. I pragnę Jej! Myśli me wynaturzone. Wołam:

– Pieść mnie! Jesteś piękna. Kształty Twoje – wymarzone. Całaś w czerni... Siła! Siłę masz ogromną. Jeśli zechcesz, możesz wszystko. Możesz zabić i ocalić. Potrafisz przebaczyć.

Szukam spokoju. Ty mi go dasz. Na kolanach będę prosił. Będziesz tutaj w moich dłoniach. Sami. Nie będę słyszał Twojego oddechu. Usłyszę szept, rozkoszy wyraz, gdy pocałujesz mnie i przedziurawisz mi głowę, mózg rozpryskując po ścianach pokoju. I znajdę spokój. I zakończę historię szaleństwa mego na Twoim punkcie. Wtedy już mi nie będziesz potrzebna... Poszukasz sobie nowego Kochanka.

Moja Kochanko – imię Twe: Magnum

Szept Twój – nieznośny

Oto Kochanka Kamila.

Wolne krzesło naprzeciw mnie ucieszyło się, że znajdzie zatrudnienie. W tym lokalu wiele krzesłek jest bezrobotnych. Dupa to gratka i nie zdarza się tutaj często.

Kelner usłużnie podszedł do stolika. Krzywe zwierciadło zmęczenia i rutyny uczyniło z jego twarzy rybi pysk. Szproci zapach musnął mych nozdrzy. Spojrzałem w jego czerwone oczy pozbawione powiek, a on spał się i zawachlował skrzelami.

– Słucham panów – odezwał się.

– Jeszcze jedną kawę i dużą wódkę, tylko polską proszę – powiedziałem i spojrzałem w stronę mojego sąsiada. Sprawiał wrażenie zakłopotanego obcokrajowca.

– Dla mnie to samo – wyszeptał w końcu.

Gdy ujrzeliśmy plecy i ogon odpływającego kelnera zapadła, a raczej spadła, cisza. W całym tym zgielku, wśród rechotu grubych mężczyzn, wśród piskliwych odzywek młodzieńskich dziewcząt z filologii, które nie wiadomo, czemu upodobały sobie to miejsce, cisza.

– Co nowego? – serwuję.

– Bez zmian – odbija Kamil. – A do tego jest *cold like a witch's tits and the breast bra!*

– To fakt, jest *fucken cold!* Ale to nieprawda. Sonia mi mówiła, że pełniasz powieść.

– Sonia? Ach, dałem jej kwiaty...

– Pisziesz powieść, a przecież brzydziłeś się bzdurnymi opowiastkami, brzydziłeś się przysranymi interpretatorami zdarzeń, opisywaczami spod Uwiedłego Jęzora. Mam ci przypomnieć? O co chodzi? Myślam, jesteś gdzie indziej... Myślałem, że pisarze mają zawsze gotową odpowiedź na wszystko. Nie masz ochoty na rozmowę? A może boisz się usłyszeć, że nie będziesz drugim Dostojewskim? Bo nie będziesz! Słuchaj, znamy się tyle lat. Nie wierzę, że to robisz. Po co? Chcę z tobą pogadać. Może w końcu wrócisz na katedrę. Mogę ci pomóc.

– Pierdol się, Chris. To jest *past thing*. A najważniejsze, to żebyś pamiętał przykazania! Pierwsze mówi: nie używaj imienia mistrza swego nadaremno! Ja też do dziś nie wierzę, że to robię. Ale znalazłem wyjście. Przetargalem ze śmietnika duże lustro, które stoi teraz obok biurka. Siadam, piszę i patrzę, co robię. Nie wiem, czy to krzywe zwierciadło czy może tylko jakiś złośliwy rak mózgu? Nie wiem, czy to sen czy może zgniło już coś w mojej głowie. Bóg umarł. Język umiera. Chris, co to będzie? Jak nazywał się ten zakon ślubujący milczenie do grobowej deski? Wittgenstein powinien był mi powiedzieć... *à propos* Soni... Dałem jej kwiaty, bo kobiety potrzebują kwiatów, jak mężczyźni kobiet. I pamiętaj, że najbardziej popieprzona książka jest lepsza od popieprzonego życia.

W to na pewno ci nie uwierzę, jak sam zresztą czasami chcesz. To ty mówiłeś, że powieść nie przystoi filozofowi. Nie pamiętasz?

Ja pamiętałem dobrze, jak mój przyjaciel opowiadał, że żał mu facetów, którzy urodzili się pisarzami, jak drwił z nich, z ich niepokojem i niezadowolenia, ich kiepskich narzędzi i małej pamięci operacyjnej. Dlatego staram się to wywalić prosto z mostu. Pisanie dzisiaj to już gra niewarta świeczki. Może jednak trochę mu zazdrościłem nowego przyodziewku, bo przecież sam nie byłbym w stanie sklecić nawet jakichś wspomnień starego świntucha... Kiedyś spróbowałem, ale nie mogłem dogadać się z moim podmiotem lirycznym.

– Oj, Chris. Nie mówiłem też nigdy, że jestem filozofem. To wy sobie coś ubzduraliście. Nie wierz nigdy w nic, co mówię, i nie wierz też w to, co ty mówisz. Sam nie wiem, która z mych osobowości jest prawdziwa. Ta książka to dobra śmierć, wiesz, to będzie eutanazja kwiczącego ze strachu i wyjącego z bólu języka. Ktoś to, kurwa, w końcu musi zrobić! Nie mogę patrzeć na to, co dziś się dzieje z Jedynym Prawdziwie Nienarodzonym. Czy możesz patrzeć na te męczarnie, na te bezsensowne reanimacje, syntaktyczne kroplówki, semantyczne rehabilitacje zmiążdżonych pojęć, połamańnych stawów frazeologicznych? Tu, do cholery, trzeba teleologicznie zawiesić naszą mizerną etykę wycieńczonych osłów, zbaraniałych do reszty baranów! Wziąć się w karby i dobić! Ale jest jeszcze coś istotnego... Wiem, że ty przysyłasz jej jednak kwiaty co miesiąc. Mówiła mi. Pewnie ci trochę żał. A może nie? Czyżbyś uważał, jak Henry, że prawdziwy facet musi spalić dom, wyrwać drzewo i wpierdolić własnemu synowi? A kobiecie kwiatki dawać wachać przez podwójnie zbrojoną, hartowaną szybę? Przecież tak nie myślisz. Nawet ten twój szowinizm jest jakiś taki nadmuchany. Zgadza się, że są rzeczy, których ograniczony umysł kobiety nie jest w stanie objąć, ale są też rzeczy, jak to mówią, które i filozofom się nie śniły. A kobiety mają to coś! Coś czego jeszcze nikt nie potrafił nazwać.

– Mają cipę! Tak to się nazywa! Kamil, posłuchaj mnie choć przez chwilę i odpowiedz raz sensownie. Czy to...

– Widziałeś nowy kryształ? – przerwał mi. – Mózgowy, elektryczny pięciominutowy orgazm. Spróbuj. Unosi jaja ku światłu. Światło z akumulatorów rozkoszy. Wektor, rektor, superdetektor...

Dopiero teraz zauważyłem, gdzie jest Kamil. On szperal w swej sakwie. Odwinął z aluminiowej folii coś, co wyrzucił na smolisty blat. Były to dwa malutkie złote kamyczki.

– Chris, wpadnij jutro do Froga. Będzie małe *acid party*.

– Nie, nie wpadnę, bo zamierzam się nieco odpartyjnić w najbliższym czasie. Poza tym, jestem chyba za stary na te wasze eksperymenty. *Prince Frog* to był dobry człowiek, ale teraz to za duża mieszanka pokoleniowa. Nie rozumiem was czasami. A ty masz też niezły etap Kamil – wycedziłem i machnąłem ręką. Moja dłoń już nie jest otwarta. Nie wydarzy się uścisk. Mam ochotę wyjść stąd.

W tym momencie Kamila znów ugryzły halucynogenne robaczki. Załamała się czasoprzestrzeń. Ukrył się w czarnej mgielce czasu. Opatulony przyjemnością, porośnięty owadzią obojętnością, mamrotał tylko:

– Total, total...

– Kurwa, Kamil, daj spokój. Idziemy do domu.

– Idziemy – zdziwił mnie swą uległością.

– Błękitne kapsuły komunikacyjne już na nas czekają – dodał.

6. Frog

O tej porze ulice są już i jeszcze puste. Ludzie dopiero co wrócili do domów lub jeszcze nie wyszli. Musiałem wyjść z mieszkania. Szwendaczek włączył mi się niespodziewanie. Od południa grzebałem się w swoich zaległościach. Tłumaczyłem ostatni artykuł Michela. Jak, do cholery, zdefiniować odrębnie akty odnajdywania, znajdowania i najdywania, aby nie popaść w jakieś odchylenie nietzscheańskie i uciec od banalnego koła fortuny, zamieniającego przyszłość w przeszłość Heraklitemskim zaklęciem zmienności substancji?

Po przejrzeniu poczty dodzwoniłem się w końcu do wydawnictwa. Umówiłem się z redaktorem i z Leonardo. Umówiłem się też z Geraldem. Przypomniało mi się, że to dziś u Froga odbędzie się jakieś ostre party. Jego urodziny, czy coś tam. Ach tak, urodziny jego szczura. Bo przecież nikt nie wie, kiedy urodził się Frog. Nawet jego matka, zawsze pijana i ubzdryngolona akwarelami, twierdziła, że wypadł jej spod spódnicy, gdzieś na jesieni i tylko dlatego, że nie nosiła majtek, gdy nie miała okresu. Nie przypuszczała, że ten mokry, wrzeszczący przybłąda mógł się zagnieździć w jej cipie, potrafiącej podobno rozgniatać orzechy wiele lat temu.

A zatem party u Froga. W zasadzie nie miałem na nie ochoty. Ba! Utwierdzałem się ostatnio w postanowieniu odpartyjnięcia. Pracowało mi się dzisiaj całkiem dobrze. Już od dawna nie miałem takiego tempa. Jeżeli Leonardo to przyjmie, to zarobiłem dziś co najmniej trzy skrzynki *bourbona*. Ale nadeszła noc. I znowu czytałem przeciwko nocy... Aby ją zniszczyć, zdeptać, rozetrzeć na proch, kosmiczny pył, zamienić w lekką, różopachnącą pianę, mrugającą milionem tęczy i gasnącą niepostrzeżenie kawałeczek po kawałeczku. Pomyślałem, że nie ma najmniejszego sensu wybierać się do tego czubka Froga, spotkać znowu tych samych, zabytkowych gości z epoki palenia herbaty i chmielu, a potem dochodzić do siebie przez kilka dni. Jednak, gdy zabrakło mi papierosów i zacząłem chodzić po domu nie mogąc już dłużej skupić myśli, wiedziałem, że pójdę tam. Zawsze tam chodziłem. Wielokrotnie obiecywałem sobie, że muszę z tym skończyć. Ale tam nigdy nie było wiadomo, co może się zdarzyć. Wszystko było dozwolone i to właśnie mnie tam przyciągało.

Uwielbiałem chilijskie wino chlone u Froga z dużych piwnych kufli. Nie mogę jednak powiedzieć, że uwielbiałem bóle głowy po tym winie. Lubiliśmy tyłać się po tym wińsku w rozgrywkach literackich i filozoficznych olimpiadach. Jak u Dostojewskiego – kto zgadnie, co, kto wołacz o!? Beznadziejni gladiatorzy słów na dopingiu. I te niewyżyte fiuty ciągle obmacujące harem okololiteraturnych dziewczeczek. Byliśmy komediantami, odgrywającymi intelektualną farsę na ich durnych, krowich oczach.

W młodości wydawało nam się, że na tym ma polegać przewyciężenie literatury, czy coś tam... Teraz to już wręcz przyzwyczajenie. Sidła starych przyzwyczajzeń wciąż jednak, jak się okazuje, są skuteczne. Epistemologiczne akrobacje. Wystawiamy swoje oczy na szypułkach i obmacujemy czasoprzestrzeń, a swoimi strzygącymi uszami wychytujemy odgłosy z niej dochodzące. Tak pewnie będzie i tym razem. Zatem potasowałem talię dni – tych przeszłych i tych jeszcze bardziej niemożliwie przeszłych – i wybrałem się... Muszę przecież wiedzieć, co jeszcze jest możliwe, jak daleko można się jeszcze posunąć... Tu teoremat *limit experience* krwawi, rzyga, trzęsie się, jak galareta, wydziela cuchnącą ropę z wiecznie otwartej rany samoopodlenia. Niemal za każdym razem okazuje się, że permanentne granice nie istnieją. Rzeczywistość, aż po horyzont, usłana jest sprzecznościami. Zarządcą owego dialektycznego chaosu jest przypadek.

Aby dotrzeć na miejsce, uwięziłem się dobrowolnie na piętnaście minut w podmiejskiej kolejce. Niewielkie, żółte, dygoczące wagoniki. Siedzenia oparte na kurzych nóżkach, jedynych, których nędzarze Paryża nie obgryzają do szpiku. Miałem ze sobą małą piersiówkę *Gold Wasser*. Pomogła mi przepędzić czas. Jest w tym lepsza ode mnie.

Pociąg pełny był dupków, takich, co to chętnie klepią się nawzajem po ramieniu, a z każdym nieznanym są od razu na „ty”. Na wprost mnie siedział jakiś stary bezzębny Murzyn. Z pewnością narkoman. Jego czarna jak smoła krew wypaliła dziury w mózgowej tkance i smród przepalanej kalafonii zawisł pod sufitem nakrapianym żółtymi mrugającymi lampkami. Jedna z nich nie wytrzymała tej żenady i spaliła się ze wstydu – mam nadzieję, a nie z rozpacz. Było jeszcze dwóch takich, co to muszą klepać non stop w te swoje laptopy, aby nie wypaść z torów na niebezpiecznej trasie *public relations*. Droga jednokierunkowa.

Na stacji okazało się, że wysiadłem tylko ja. Uff! Przeskoczyłem przez bramkę, zbiegłem dwa piętra żelaznymi schodami w dół i ruszyłem wzdłuż kanału w stronę Mostu Ludwika. Minąłem faceta w czarnym kapeluszu, który

właśnie z pieskiem. Spieszyłem się. Chyba nieco za bardzo, bo odniosłem wrażenie, że dogoniłem samego siebie. Czy nie przyjechałem tu przypadkiem wcześniejszą kolejką? A przecież myślałem dotąd, że to niemożliwe. Żółt i Achilles. Wizyta na grobie Parmenidesa w dniu zaduszek. Niestety właśnie spostrzegłem, że przegoniły mnie moje własne oczy, te same, które patrzają na mnie codziennie spod moich własnych przyciężkich, długowłosych powiek, i przyglądają mi się teraz z drugiej strony ulicy. Oczy, które należało wcześniej wyłupać, za to, że patrzają bezczelnie z głębi lustra, którego używam tylko po to, żeby się nie zaciąć przy goleniu, które zawsze ryczą do mnie, gdy kolejne małe *faux-pas* obciąża moją nieskazitelną osobę, które za dużo wiedzą o tym, co to są lzy, aby móc jeszcze płakać. Mój wszechobecny *Doppelganger*, ujadający na łańcuchu rozdwojenia jaźni, pałający żądzą nadziania ich na widelce, wlaź jednak do budy potwierdzonej prostym kodem PIN tożsamości, co spowodowało, że na całe szczęście, szybko się odnalazłem. Oczy uniknęły rzeźni. Jatka odprowadzona do przedszkola przyszłości zasypia w zakamarku oczekiwania. Nieco stonowana euforia pokropiła mnie świętym entuzjazmem. Nagły atak minął. I teraz tylko błotnista, wezbrana woda poprzecinana światłami, która była tak mętna, że wydawało mi się, jakbym poczuł jej gorzki smak. Minąłem przycumowaną barkę. Słyszałem jakieś pijane głosy, które dochodziły z jej pokładu. Pewnie to samo słyszała ta czternastoletnia dziewczyna, zanim zgwałciło ją pięciu barkowych smoluchów, o czym pisał przedwczorajsze gazety. Ogarnęła mnie nudna ciemność. I nudny smród wielkowiejskiej rzeki. Krótkie spotkania z moimi długimi cieniami. Długie spotkania z moimi jeszcze trzeźwymi myślami.

Dopałem kolejnego papierosa, gdy skręciłem w tę ciemną uliczkę, *rue Courbet*, na której znajdowała się owa meta. W mieście każda ulica ma własny bar, sklepik, aptekę, monopol. Ta ulica ma tylko dwie rzeźnie. Jesteśmy w krainie króla przemytu cieląt. Befsztykowy dealer. Regionalny rzeźnik. Mijam zabudowania pierwszej rzeźni. Mój nos wyczuwa zapach zepsutego, zgniętego w letnim skwarze, czarnego mięsa. Szczekają psy. Na końcu ulicy, zza ceglanego muru odzywają się ich pobratymcy z drugiej rzeźni. Ten psi dialog rozszarpuje pozorny spokój tego miejsca. Szybko jednak się uciszają. Atomy wszystkich gazów, tych odkrytych i tych nieodkrytych jeszcze przez chemików, uspokajają się i powtarzają dobrze wycuczone figury taneczne. Obzarte, wyliniałe kundle pewnie legły znów na rozgrzanym jeszcze asfalcie. Psi łupież kwitnie na ich sierści. A ich kutasy ropieją od tych zagrybionych, kulejących suk, którym penetrują oślizłe macice i wstrzy-

kują psią ropę, z której rodzą się kolejne małe szczury, podlegające jakiejś dziwnej transformacji i przeistaczające się w śmierdzące i jazgoczące bez sensu becзки pcheł. Czy psie kutasy mają w sobie atawistycznego gnata? Koreański rarytasik.

Dochodzę do miejsca, gdzie pomiędzy dwoma żelaznymi, ogromnymi bramami dwóch rzeźni znajdują się małe drzwi. Żadnych domofonów. Żadnego oświetlenia. Oto trzecia strefa. Trudne przedmieścia. Bliżej stąd do miejskiego śmietniska niż do centrum, które majaczy z oddali światłkami biurowców, wypchanych elektronicznymi pierdólkami, zapewniającymi hodowanym tam na uwięzi krawata, ufryzowanym gogusiom poczucie bezpieczeństwa i zamykające ich światopoglądy w *chipie* grzecznej popkultury. Już tu na dole słychać jakieś krzyki i dziką, sproksenetowaną muzykę. Serce zabiło mi mocniej. Muszę się jak najszybciej wdrapać na to czwarte piętro, rozplnąć się jak najszybciej w burroughsowskiej mizerii, tym energetycznym koktajlu galopującej stepem parkietu impresji.

Drzwi z wizytówką: *Sir Frog*. Pod nią wygrawerowane litery: *aut bibet aut abeat*, co oznacza chyba, że niepijący są tu obcy. Wchodzę. Znam dobrze to miejsce. Cztery ogromne salony, jakaś kuchnia pełna walających się odpadków, całkiem przyjemna łazienka i ekscentryczne wyjście na dach, zastawiony doniczkowym buszem i udającymi antyczne ławeczkami. Manufaktura odjazdów, zejść, odlotów i wzlotów. Mozaika bezsennych nocy. Wieczny parking „zasady przyjemności”. Schronisko „Permanentnej Rui”. Ejakulat lub Analpolis, jak lubił mawiać Kamil.

Rozglądam się i postępuję dalej. Kilkanaście osób tańczy. Dobra muzyka podwodnej Ameryki. Fioletowe ściany, żółty spermanent i zajebisty, zdelowany neon ukradziony z jakiegoś hipermarketu, który wisi tu ordynarnie, jak struga gęstej spermy z ust Monik, żony Ludwiga, która nie lubiła jej polykać, choć zawsze powtarzała, że ją odmladza. Pulsował czerwonym światłem, niczym serce wyrwane zaledwie parę sekund temu z gorącego ciała szczytującej kurtyzany.

Nikt prawie nie zauważył mojego przyjścia. Impreza dopiero się rozkręca, ale kilku gości jest już nieźle sfazowanych. Kokainowe robaczki rozlały się po pokoju, gryzą chłopców po jajach, liżą cipy dziewczętom z najnowszymi modelami silikonowych cycków. Takie cycki możesz kupić dziś nawet w kiosku z gazetami. Są darmowym dodatkiem do *Playboya*. W załączeniu nożyczki, igła i nici. Podpis: zrób jej to sam! Świat powinien udać się do psychiatrii.

W sąsiednim pokoju widzę grupkę starych znajomych. Jest kilku jazzmanów, filozofów, aktor, dziennikarz, jacyś dwaj krytycy i sam już nie wiem, kto. Starzy opoje, językowi majsterkowicze, narzecznicy ble ble. Wśród nich musi być i Kamil. O! Ten stary był przecież kilka lat temu recenzentem jego doktoratu. Dialektyczny akrobata. Musi być już tak stary, że data jego urodzin z pewnością wypisana jest hieroglifami na glinianym dowodzie osobistym. Kamil nigdy go tu nie przyprawdzał. Pocziwy profesor załame się po tej imprezie, szczególnie w tym towarzystwie. Większość z nich nosi zawsze przy sobie aluminiową folię i zapalniczkę. Chyba że wcześniej sam się urznie i niewiele z niej zapamięta. Albo zapamięta tylko orgazmiczny *gold piss*, którym być może uraczy go Mary. Mary lubi pomarszczonych starszych panów z zanikami podstawowych mięśni i tą geriatryczną żółcią wylażącą na opuszkach trzęsących się palców, na poplamionych starością plecach, zbierającą się pod niedopasowanymi sztucznymi szczękami, zatrważającą swym odorem otoczenie bardziej niż konwencjonalne szamba. I pewnie jutro jakaś stuletnia mamusia będzie musiała głaskać wychudzone drzące rączki profesora i uspokajać rozdygotane sumionko, podając ziołową herbatkę w butelce ze smoczkiem. Och, mamusiu, jak ci współczuję... ♣

– ...nie to nie możliwe. Na ostatniej płycie tego nie było...

– ...te dzieła Marii z epoki „czaszki niedźwiedzia” i wcześniejsze są naprawdę...

– ...przekonałem się, że człowiek tkwi w masie sprzecznych reakcji behawioralnych i emocjonalnych...

– ...mają tam naprawdę dobre żarcie...

– ...w przyrodzie zderzamy się poznawczo z jakimś typem mądrości. Podstawowe pytanie filozofii jest pytaniem o transcendencję przyczyny tej rozumności względem materii, nie uważasz...

Strzępy dyskusji pomykały we wszystkich kierunkach i nie sposób było nie zderzyć się z którymś z tych meteorytów myśli.

To zadziwiająco, jacy ludzie przychodzili na party do *Sir Froga*. Każdy dotknięty jakimś skażeniem, jakąś dewiacją. Brak dewiacji jest tu przecież powodem do wstydu. Oprócz wszędobylskich młodzieńców i napalonych wszy są tu Sporyszowi Bracia (towar na telefon), Jody, który szmugłem peyotlu, *szuwaksu* i mariana zajął się w wieku dwunastu lat, aby zarobić na operację zmiany płci swojej mamy, druidyczni druidzi wszelkiej maści, przemierzający to wyschnięte jak pustynia miasto wzdłuż i wszerz, na swych artystycznych spalinowych aspiracjach, których nie sposób zaparkować

w centrum zainteresowania w godzinach jego szczytu, i na przykład anarchista Willi... Jego anarchizm polega oczywiście na bezładzie jego życia i braku jakiegokolwiek zależności pracowniczej. Ot, po prostu zamożny utracjusz. Z laptopem służącym do przechowywania danych o ludziach, których eliminacja mogłaby przywrócić plemienną równość i sprawiedliwość!

Główne nurty marksizmu nie potrafiły w swych proroczych wizjach opisać tego zaułka, w którym dziś znalazł się świat. A tylko one miały szansę. Reszta to propaganda.

Może zdumiewać, do czego zdolny jest człowiek, gdy puszcza mu hamulce. Tu zawsze puszczają wszystkim. Frogę chwali się, że to zaleta jego osoby, no i tej jego podniebnej nory. Dobrze zainstalowana maszyna absurdalnych zdarzeń, przypadkowych skojarzeń i atomowych wrażeń. Może ma rację. Ale to szajbus. Prawdziwek – szajbus.

Znajomi nazywają go Żaból, albo zwyczajnie Frogę, bo pamiętają jego dziecięce hobby. Frogę łapał żaby w wodnych oczkach parkowych lub na niskich łąkach na przedmieściach, a potem w tej swojej komórce wkładał je żywe do starej kuchenki mikrofalowej. Twierdził, że owe kuchenki, zanim się upowszechniły wśród zabieganych społeczeństw niewolniczych, były tajną bronią supermocarstw i cieszył się tylko z tego, że to nie naziści je wymyślili, bo musiałby pewnie posługiwać się teraz językiem niemieckim, którego wymowę porównywał do terkotu karabinów maszynowych. Nie przepadał za nią. W każdym bądź razie żaby gotowały się od środka, wpadały w konwulsje, przez chwilę syczały i wybuchały. Ich gorące wnętrza rozpryskiwały się wewnątrz kuchenki i ściekały po zajebanych skrzepami ściankach. Nawet lekarz sądowy wyrzygałby się na ten widok. Żabie oczka ze strzępami zielonej skórki poniewierały się po całej komórce. Frogę tak się napatrzył na to gotujące się żywe mięso, że przeszedł na wegetariańską dietę. Jednak do dziś nie je zielonych roślin. Sałata, ogórki, kiwi, arbuzy... Brzydzą go. Generalnie, jak twierdzi, odżywia się żywnością zsyntetyzowaną. *Coca-cola*, tosty, amfetamina, frytki, fasola z puszki, sery, kokaina, benzyna, czekolada, ropa, kawa, kasza gryczana, proso. W komórce Frogę panował straszliwy smród. Nie wiem, jak mógł tam nocować. Ale mówiłem, że to szajbus. No, przepraszam... Teraz to artysta, a przynajmniej symuluje artystę. Bo ta cała sztuka dziś tylko symuluje samą siebie. Przecież jego matką była „babcia awangarda”, pijana i zawsze upaprana farbami Sophie. „Obraz Dźwiękonaśladowczy” i „Obraz Naddźwiękowy” to jego dzieła, podobnie jak „Wystawa nienamalowanych obrazów i ich kopii”.

Niedawno przeszedł jednak samego siebie. Było to jakieś dwa miesiące temu. Na swoim happeningowym wernisażu nasrał na płótno, rękami rozsmarował to po całości i powiesił na najbardziej eksponowanym miejscu w *Galerii galerii*. Nie tylko on zresztą to zrobił. Nie był w każdym bądź razie pierwszy. Cały świat dziś uwielbia ekskrementy! Purytańska prasa nazwała jednak skandalem to, że na otwarcie wystawy, na której powstawało to чудо, zaprosił grupę niewidomych starszków. Prezesa ich Związku przekonał, że taka integracja ma sens, że przed artystami plastykami otwiera nowe możliwości, a niewidomi będą mogli poznawać dotykiem formy przestrzenne oraz bogate faktury jego płócien. Przyszli. Gdy dzieło Frogę wisi już na ścianie, poprosił ślepych, aby podeszli i dotykiem sprawdzili, jak bogatą fakturę i jak delikatną materię ma jego dzieło. Sztuka eksperymentalna? Nie, sztuka ekskrementalna... Śmiał się, skurwysyn, pod nosem... To, co się później działo, trudno opisać.

Zresztą ten facet, chociaż jeszcze młody, jest już chyba na wykończeniu. Przeczuwa to. Coraz częściej wspomina o wyjeździe do Meksyku. Umrze na pewno utytlany w *tequili* lub *mezcalu*. Zaśnie gdzieś pod kaktusem. Słońce wypraży jego żebra. Sępy oskubią pijaną padlinę, a w jego czaszce zamieszka stuletni skorpion. A może dwustuletni...

Oto i Frogę. W upiętych *dread-lockach*, z twarzą koloru wypalanej do cna szarej szlaki, na której wyraźnie odznaczają się uszmińkowane węglem usta, obejmując w pół Joannę, zbliżał się do mnie. Spodziewałem się, że i ona tu będzie. Nie wiedziałem jednak, że z nim też jest w tak zażytych stosunkach. Okaze się pewnie, że to zupełnie inna relacja, do tego numerologicznie zaprogramowana i chemicznie spotęgowana. I kto tu się, kurwa, zawsze potrafi usprawiedliwić? Ale w sumie nie obchodzi mnie to. Jest tu kilka kobiet, które różniły się nie tylko ze mną. Jest ich pewnie więcej, niż myślę. Ale na całe szczęście o to nie potrafię być zazdrosny. Nie urodziłem się przecież psem ogrodnika. Jak już obszczekam, to mogę się dzielić. Niemal wszystkie kobiety to i tak rynsztok. Niemal wszystkie kobiety to i tak kurwy. A najważniejsze, że wcale nie trzeba ich robić kurwami. Same się nimi robią.

– Do wszystkich śniętych, kto przyszedł... – powiedział, rozkładając ręce, mistrz słowotoków bredniczych, w których zawsze potrafił zakamuflować, przemycić, przeinaczyć, przekulbaczyć, przesobaczyć, co się dało w stek obmówień i pomówień. Był w tym dobry. Skurwysyństwo płonęło na jego twarzy jak różowe perwersyjnie potargane podwiązki na tle opalono-

nego ciała śródziemnomorskich okoleczonego małowat, rosnących na plażach Korsyki i Sycylii. Wszak w jego czasce zamieszka kiedyś stary meksykański skorpion posługujący się dialektem *pachuco*, pełnym przezeń typów *chinga* i *maricon*.

– Witam – odezwała się także Joanna. Jej polakierowane paznokcie zamieniały się w moich oczach w huragany wiśniowych ostrzy do wyciskania krwi na plecach.

– Kobito, odyndź, mówię ci! Dzisiaj nie wciśniesz mi lipnego orgazmu.

– Chris!!! Ty ciągle marzysz, abym codziennie ponosiła klęskę. I najgorsze jest to, że to ci się, kurwa, udaje!

– Przestań, podarujmy sobie pieprzenie farmazonów. Co słyhać Froggy? – widok jej na granicy załamania bardziej mnie uspokajał, niż rozczulał. Froggy był zresztą wyraźnie tym rozbawiony.

– Dziękuję, jak zwykle przejebane. Rozgość się. Wyluzuj...

– OK.

– Pij! *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti* – pobłogostawił mnie Froggy.

Zakręciłem się szybko obok trunków. *Tequila* czy *gin*? Nieznośne pytanie. Nigdy nie potrafiłem wybierać z takiego zestawu. Czy potrafiłem w ogóle wybierać z jakiegokolwiek? *Tequila!* *I viva amba!* Zaczęło się wsączenie.

Party naokoło mnie przechodziło już w ten samobieżny pojazd. W końcu ludzie zaczęli się chwiać, pocić, przekrzykiwać. Jeden gość pochrapywał wytrwale z otwartymi ustami, rozwalony piersią na stole. Zaczynał się już ślinić jak rozochociona cipa. Obrzydlistwo. Ilu z nich skończy tak dzisiaj? Ile pomarszczonych ślimaków zostawi dziś ślady mokrych stóp na zimnych, lastrykowych posadzkach podziemnych archiwów, wypełnionych szybkimi, skomlącymi oddechami nieposkromionej, pijanej chuci?

Wszy rozgrzane alkoholem wystawiły na pokaz swoje czerwone wargi, podkreślone kontrastowym zarysem świecowej kredki, której małe dziewczynki użyłyby z pewnością do wyrzeźbienia serca na laurce z okazji Dnia Ojca. Poruszały się pewnie i z dużym wyczuciem rytmu, a ich gadzie postacie skręcały się jak łaskotane brzuchy niemowląt. Wiem, że w tym całym polowaniu międzypłciowym dzisiaj one będą górą. W końcu pomalowały dziś nogi rajstopami. Przybrały swoje pizdy koronkami. Do rana jednak wiele może się zmienić. Fafarafa może połamać sobie nos. A zapach ich wilgotności może poskręcać wnętrzności. I gorąca sperma rozlana na ich mleczeniach ku chwale wybuchu Supernowej stanie się tylko usypiającym balsamem do ciała, wtar-

tym pośpiesznie czterema zmęczonymi rękami, śpieszącymi się tylko po to, aby usta nie zdążyły zadźwięczeć jałowym: „dobranoc!”.

Rozmowy mieszały się z piskami tańczących. Latające mózgi rozpoczęły już tę swoistą orgię. Znajomy gwarek, w którym twoja jaźń zaczyna się rozplywać, zamieniać się w babie lato, polyskujące w promieniach ostrego jesienno-słońca i tańczące wśród bilionów cząsteczek schłodzonego, jak szampan, powietrza. Gwarek, w którym nurkujesz aż do dna.

– Sutek to czy falbanka? – pyta ktoś kogoś o reprodukcję fotografii Marilyn Monroe w odcieniach sepii. Spór ten ma już długą brodę i zwolennicy żadnej opcji nie są w większości. Ale z pewnością sutek! Ale z pewnością falbanka!

Pod stołem chybotze się koślawa szubienica. Kolejka chętnych ustawia się przed szafotem, na którym udekorowany fioletami kat zaciera ręce. Jutro sprzeda ich mięso na miejskim bazarze, na którym te brudne budy tworzą misterną geometrię popytu i podaży.

W terrarium wąż zwija się w kłębek, ale już dopadają go dwie pantery w stanikach od *Triumphy* i szarpiąc się, próbują przeciągnąć go na swoją stronę. Połknięty wąż przeciska się przez rurociąg jelit, aby na samym końcu jednym haustem połknąć bryłę kału i wypaść wprost do kałuży wina, wyzwalaając analny orgazm pantery przeistaczającej się w antylopę. Niejeden kat zamienił się w ofiarę.

Wzdłuż ścian całego pokoju stoją książki, po lewej francuskie, po prawej angielskie, hiszpańskie i jakieś tam, w których schronienie znalazły barwne fabuły i czarne karaluchy. To wszystko wypełzło sobie znanymi otworami na świat, który tego nie zauważa, bo jego szklane oczy przysłonił smog.

Tańczące kobiety chlupoczą. Śluz przybrał barwę wiśni. Podłoga cała ubryzgana dywanem rozartowanych owoców. Z porozrzucanych pestek wyrastają domy, jeden na drugim, niczym polipy, a pomiędzy nimi mosty na ugiętych lokciach, schroniska bezdomnej miłości.

Szafirowe elektrody wydają dźwięki harfy, od których drze się papier toaletowy, klejąc się niczym lep na muchy do ciał konających ludzi. Żaden księżyc, nawet ten fluorescencyjny, nie posrebrzy ich agonii.

Moje stopy są rozpoznawane i masowane przez omszałą posadzkę. Skąd się tu, kurwa, wzięło tyle detektorów? Przyroda płata figle, zmutowała samą siebie. Rodzą się starzy ludzie w gipsie i ropuchy z rozgadany łupieżem. Rodzą się kundle sprzedawane na *rue Chagal* przez lepkich od brudu katechetów nowej mitologii.

Z sera *President* schodzi pleśń, aby rozłożyć się wygodnie na cipie pewnej siedemdziesięcioletniej poetki, laureatki Nobla, której cnota wypadła do błotnistej kałuży na wiejskiej drodze, kiedy ojciec wioził ją domowej roboty rykszą, zawiniętą w becik, prosto ze szpitala. W co to ci ludzie już dziś nie uwierzą?

Kołujące pod sufitem mózgi szukają bezpiecznego lądowiska. Nie przycupnęła tu jednak żadna wieża kontrolna. Będą musiały spadać, jeden po drugim w bezkresną otchłań przejrzystości, tonąć w słodkawym dżemie lśnienia.

Nawet się nie zorientowałem, kiedy przysiadła się do mnie Margot. Jedna z tych kobiet, które zawsze wiedzą, kiedy znaleźć się obok ciebie i musnąć cię swoimi obwisłymi warzywami, ukrytymi pod nieskromną bielizną. W młodości uprawiała trochę poezji, ale zbyt intensywnie i bez plodozmiannu, więc wyjalowiło. Ocuciła mnie ta jej nieco przepita twarz z pięknymi niebieskimi oczami, w których od zawsze dźwięczał ognik destrukcyjnego nieszczęścia. Może nie od zawsze. Może od momentu, gdy oddała swoje dziecko dwa dni po jego urodzeniu do jakiegoś terrarium. Stwierdziła bowiem, że te beczące kości, które jej podali, i ta pierwsza sraka, która smrodem o mało jej nie zabiła, to nie jest towar, który zamawiała. Zaskroniec skulony pod liściem paproci, na wilgotnym mchu. Krople rosy przyklejone do ocienionej skóry drzew. Przeklęła kilka miesięcy ciąży i tę noc, gdy myślała, że jakiś potwór chce ją rozerwać od środka. Powycierała swoją ogoloną i jeszcze obolałą cipę i uciekła ze szpitala wprost do „Szalonego konia”, ażeby upić się i zapomnieć o wrzodzie, którego miała zamiar pielęgnować. Już go nie wyciśnie na studia. Ma to z głowy. Teraz ubrana w kostium niezdrzonych rumieńców i niewyprasowany uśmiech kręci się tu i tam.

Przede mną odsłonił się świat jeszcze bardziej dziwaczny niż halucynacje, od których dopiero co się uwolniłem. Muzyka, boleśnie znajoma, brzmiała jednak obco dla moich uszu. Basy łaskotały podbrzusza tańczących plastikowych dekoracji podłączonych jakimś niewidzialnym przedłużaczem do dwufazowego prądu życia o bardzo niskim napięciu. Ślizgały się po lodzie posadzki niczym wodne pająki wykonujące ultraszybkie, dzikie pętle tańca pijanego szamana w transie. Z trudem mogłem odróżnić miotające się po pokoju ciała od podrygujących ospałych cieni teatralnych marionetek, biorących udział w spektaklu, na którym jednak nic się nie wydarzy, nudnym spektaklu śpiącej pantomimy. Nie ma bajki bez penty...

Wyrzucony z normalnej orbity zachowałem jednak dość przytomności, aby w porę złapać za stery, i już po chwili uszeregowałem wszystkie te zja-

wiska, układając na podręczny użytek własną systematykę gatunków zasiedlających tę krainę, tworząc pamięciowy indeks do atlasu moich impresji i moich natchnień.

Lesbijska przeszłość Margot zawsze mnie rozczulała. Kobieta, która wierzy w kobiety, to wręcz tragiczne. A przynajmniej doprawdy rozczulające, niczym widok turlających się bezładnie kul bilardowych, wprowadzonych w ruch przez niedoświadczonego gracza i sprawiających przez to wrażenie zagubionych turystów stołu. Nie wiadomo tylko, dlaczego wiara ta jest aż tak dzisiaj popularna. I to jej niekwestionowane uwielbienie własnego ciała, czym niewiele kobiet może się pochwalić, bo one przeważnie chore są na jakiś defekt... Wiem, że kiedy ta szmata staje przed lustrem nago, sama nie może się powstrzymać, aby nie wypieprzyć się własnymi paluchami albo świecznikiem albo nie wybiec na ulicę i nie oddać się pierwszemu z brzegu przechodniowi i zabić go potem własnym zapachem, zapachem zużytego śluzu zmęczonej maszyny do tasowania. Teraz nie potrafi przecież nawet spojrzeć na faceta, żeby nie napytać sobie biedy, żeby nie zwilgotnieć pomiędzy nogami, żeby nie chcieć wymiętosić jego organu skurczami wszystkich swoich dziur. A potrafiła wycisnąć cytrynę do herbaty siłą mięśni swojej cipy.

Dzisiaj też miała na sobie skórzaną spódniczkę tak krótką, że jej krocze wciąż myślało, że jeszcze nie zdążyła się ubrać. Bransoletki na łydkach przypominały kajdany niewolnic butików. Luźno zwisające cyce, kołyszące się, niczym ochlapy mięsa na hakach straganów koszerne targu, były wystarczającym wyzwaniem, abym pogrążył się w kolejnych fantazjach.

Byłem już wystarczająco pijany, ażeby wyobrazić sobie, jak przymierzam ją od tyłu swoim kutasem, niczym nową koszulę w dyskretnej przymierzalni, jak wstrzykuję w nią odpowiednią porcję spermy, z której oby wyrosła w jej piździe rajska jabłoń, i jak zrzucam ją ze zmęczonego konia, jak brudną i śmierdzącą skarpetę ze stopy. Myśl o tym, że mógłbym ją tak potraktować, nawet mnie podnieciła.

– Hello, Chris. Jednak się zjawileś. Dawno cię nie widziałam. Co u ciebie? Słyszałam, że rozstałeś się z Sonią... Zaskoczyliście wszystkich... – zażywana przez dziesięć lat koka zrobiła z jej głosu tarkę.

– Prawda. Ale może nie rozmawiajmy na ten temat. Czy dalej uczysz języka Germanów? Jak długo się nie widzieliśmy? Dwa lata? Zobacz, jak płynie ten czas. Ale ty w ogóle się nie zmieniasz. To znaczy, wyglądasz nawet lepiej niż kiedyś. Napijesz się czegoś?

– Chris, znam cię. Przestań. Wiedziałam jednak, że tak kiedyś się stanie. Nikt nie jest w stanie utrzymać cię długo. Ty, kurwa, poszukujesz czegoś, czego nigdy nie znajdziesz. Wymagasz od życia więcej, niż można od niego wymagać! Dlaczego nie potrafisz żyć tu i teraz. I, do nędzy, cieszyć się tym!

– O co ci chodzi? Upiłaś się? Kto tu, kurwa, z obecnych żyje tu i teraz i nie buja w obłokach? Kto z nich chce zejść na ziemię? A ty co tu robisz?

– Chciałam ci tylko powiedzieć, żebyś się nie przejmował... A co sądzisz o dzisiejszej bibce? Nieźle, co? Coraz więcej ludzi zaczyna tu zaglądać... A pamiętasz te stare czasy, jakie imprezy wtedy były... Coś w tym jeszcze jest, ale to już nie ten klimat. Chyba masz rację, mówiąc, że należy my do tego gatunku uciekającego gdzieś bez przerwy... sama nie wiem, gdzie... ale z pewnością tu nam się nie podoba... Tak, uczyć jeszcze, nawet na całkiem niezłych warunkach. Pracuję dla telewizji. Poza tym, niestety, wpakowałam się w reklamowy biznes i rzygam tym! Myślałam, że to będzie bliższe sztuki, a to czyste rzemiosło. Kramarstwo. Zlecenia, produkt, wyrób. Widzimi się tych tłustych biznesiaków. Cholera, nie mogę się z tego wypłatać... Ale naprawdę, mówię ci, mam tego dość!

Ona ma tego dość. Ja mam też już dość tego jej biadolenia. Chwyciłem ją za rękę i poprowadziłem w stronę schodów kończących się wyjściem na dach. Jakiś pijany dialog szedł z nami, ale nie pamiętam go prawie zupełnie.

W pewnym momencie dyskusja podnosi nogi i zadziera i tak zadartą spódniczkę, a moje ręce dotykają wilgotnej i gorącej puenty. Wyszukanym językiem aforyzmów zlizuję treść jej owłosionego tomiku poezji. Śluz z jej cipy wycieka, jak zdanie ze źródłosłowa. Wypruję z niej elektryczne nici i oddam do krawca słowa. On zrobi z tym wszystkim porządek! To kto kogo? Ja, ciebie, dobra, zgoda, tylko się wygodniej ułożę, szybciej, tak mi rób. Już trzy razy ile razy pierwszy raz. Gramatyka zamknęła oczy, a liczebniki zostały zamieszane w obyczajowy skandal. Drżące przydawki uciekają ze zdań złożonych z obręczy nóg i obręczy palców. Bezwstydne upodobnienie obnaża pierś. Rozbiór z dania kobiety dokonany biernym czasownikiem od „chcieć”. Opis sytuacji zanudza czytelnika, więc tylko wspomnę, że nie wiem, dlaczego ona się powstrzymuje i przedłuża *plateau*, nie chcąc jeszcze uderzyć w dzwon, rżąc, że dobrze i w ogóle coś tam, gryząc moje palce, żłobiąc na moich plecach krwawe płaskorzeźby nocy piętnastego czerwca. Nabrzmiałym słownikiem napieram z całej siły, aż wreszcie wybuchła i tryska nowym wszechświatem Supernowa doznań.

Przelatująca kometa ściąga mnie na ziemię.

7. Na pieprzeniu się świat nie kończy, Mary

Kazałem jej się umyć. Nie lubię przechodzonych pizd. Kąpiel regeneruje je jednak tak, jak zasilenie konta, nadaje karcie kredytowej cechę używalności, a nie tylko portfelowej ozdoby.

Mary usiadła na brzegu wanny, oceanu piany. Kokosowym wybrzeżu chłodnej, ceramicznej łazienki.

– Chciałabym być fontanną, jak mój ojciec...

– Tak? Twój ojciec był fontanną?

– Oczywiście. A matka królową rynsztoka.

Wszedłem do wanny, przykucnąłem u jej rozwartych ud. Miała wspinałą cipę. Skręcony, śliniący się ślimak z pionowym owłosionym uśmiechem. Doskonale wygolony po bokach muszelki, z wywiniętymi na zewnątrz różanomlecznymi płatkami. Musiała poświęcać jej wiele uwagi. Zanim mnie poznała, był to zwykły, zaniedbany ogród, z nieprzystrzyżonym żywopłotem hipokryzji. Ale to było całe lata temu. Wyobraziłem sobie, jak z ogromnym pietyzmem dobiera się do niej maszynką zaopatrzoną w potrójne ostrze, jak rozsmarowuje piankę do golenia i przygląda się jej w lustrze, ustawionym na marmurowej posadce ekskluzywnej łaźni. Jej wielkie piersi zafalowały przed moimi oczami. Cóż za sutki. Nabrzmiałe, purpurowe i zachęcające. Wyciągnąłem rękę, aby dotknąć tych różowych alchemicznych receptorów. Naprężyły się bezwstydnie. Mary, z rozwartymi nogami, opartymi o brzeg wanny, była otwarta jak przyszłość. Rozwarła swoją cipę palcami. Przedawkowała sokami. Ściekały po kolumnowych udach, wypolerowanych jak szlachetne kamienie, które błyszczwały, niczym nowy samochód namaszczoney tą czarodziejską pastą, ukrywającą wszelkie ryski, powstałe na skutek uderzeń w małe żyłtka zamieszkujące ciemność, ubrane w chitynowe pancerzyki, krusze skorupki.

– Zaczynam, och, Chris, och, tylko z tobą mogę to robić! Ooooh...

Jej mocz spływał po mojej szyi, plecach, piersi. Miała półprzymknięte oczy. Oddychała szybciej. W końcu usłyszałem jej arię mruczenia. Kiedy ostatnia kropla tego strumienia spadła na mój język, włożyła palec w swój otwór i zaczęła się drażnić. Coś zaczęło mlaskać i chlpać do tego stopnia, że zachciało mi się rzygać. Delektowałem się jednak słodko-kwaśnym smakiem. Flora bakteryjna jej cipy produkowała naprawdę unikalny bukiet.

– Teraz ty. Zalej moje piersi. Niech ten twój pieprzony kutas obleje mnie gorącym deszczem...

Wstałem. Wziąłem go do ręki. Chciałem usilnie skupić się, żeby ją w końcu oblać żółtawą Sekwaną mojej szczawicy, ciepłym strumieniem mojego niepokoju. Nie było to łatwe, bo już zaczynałem się jednak podniecać. Wyrzygam się czy uda mi się jednak zdzielić konia batem? Obraz Nietzschego złożonego chorobą w skromnym pokoju alpejskiego kurortu. Udało się. Mój chuj stanął na wysokości zadania. Najpierw nieśmiało rozlewałem urynę po jej włosach, szyi i tych bezwstydnym sutkach. Potem naląłem do jej szeroko otwartych ust. Jeszcze nie skończyłem, gdy wstrząsnęły nią dreszcze i osunęła się do spienionej wody.

– A teraz chcę wysssać twojego kutasa. Chcę się upić twoją spermą. Chodź do mnie, tu, bliżej...

Wzięła go w usta. Pomagając sobie dwoma rękami, zaczęła go ssać. Szybciej i szybciej. Musiałem oprzeć się rękami o ścianę, bo zaczęło mi się kręcić w głowie. Nie wiem, jak długo to trwało, ale było intensywne, jak trzęsienie ziemi tysiąc dziewięćset szóstego roku w San Francisco. Intenzywne, niczym deszcz monsunowej pory deszczowej. Pada do ostatniej kropli.

Trysnąłem strugą spermy na jej włosy i twarz. Resztę spiła, dokładnie oblizując mojego ptaka. Mary zawsze odżywała od nowej spermy. Spermę zmieniała częściej niż majtki.

Po południu wybieraliśmy się do kina na film jakiegoś popieprzonego jankesa. Zafundowaliśmy sobie wcześniej pizzę i dwie sałatki kalifornijskie. Stos pustych butelek urósł już, jak świąteczne ciasto mamy.

Za oknem słońce rozpoczęło codzienny ceremoniał kąpieli. Szamporem krwi ubabrało już koronę nieba, a czerwona piana bezszelestnie spływała wyścigowym potokiem na dno czary upokorzeń i wypełniała po brzegi ulice pełne zmęczonych pracą rdzennych mieszkańców oraz turystów, polujących, wśród nich, na chronione okazy świetnej przeszłości Paryża. Wiatr oplukiwał zmęczoną twarz miasta i nucąc prastarą kolysankę, układał do snu obolałe ciała nocnych śpiochów. Cierpiące na bezsenność owady, wylatywały na żer. Cierpiący na bezsenność ludzie wtykali pod języki chemiczny ekwiwalent naturalnego znużenia, albo uciekali z pola nocnej bitwy w kierunku źródła jutrzeńki, tryskającego alkoholowym koktajlem *Margherita* na każdym skrzyżowaniu, w okolicach każdej fontanny, na każdym deptaku. Dobowy cykl układał nad miastem kolejny letni wieczór, ciepły, wilgotny, ciężki i nieruchomy niczym kąpielowy ręcznik.

Przykurzony sznur leżał nieniekpokojony pod łóżkiem, jak zwykł to robić od kilku lat, od nocy pachnącej *Jamesonem*, gdy pomyślałem, że lepiej się napić i pożegnać na dwieście dwudziestej czwartej stronie z jakimś kryminałem, ociekającym literami krwi, niż trzeźwo dojść do końca historii. Rozwiązanie zagadki nie jest zagadce niezbędne. Ono ją spopiela.

Obok niego japoński nóż, zakupiony w antykwariacie za jedną dziesiątą pensji otrzymanej za cykl wykładów poświęconych transgresji podmiotu, oczekiwał spełnienia, jak wierzący przyjścia Mesjasza. Sznur i nóż w jednej spały historii.

W tak zwanym międzyczasie umówiliśmy się z Ludwigiem i Monik, starymi przyjaciółmi. Musisz czasami odświeżać stare znajomości, żeby móc sobie odpowiadać na pytania typu: *skąd przychodzisz, Adamie?* Warto liczyć mijające lata na liczydło zmarszczek znajomych. W sumie lubilem nawet tę parę. Monik to dopiero była kiedyś szmata. Kochała wszystkie kutasy w swej okazałości. Częstowała się nimi bez opamiętania. Uwielbiała ich wycieki, ale nigdy ich nie spijała. Pluła spermą na swoje małe cucky, przypominające worki z groszkiem do gimnastyki korekcyjnej, i wmasowywała w skórę, cuchnącą jak moje prześcieradło. Nawet wyselekcjonowane szaty Orientu, broszki *tantry* i jakieś innej seksualnej gimnastyki, nie potrafiły zamaskować jej szmacianego pochodzenia. Ciągnęła wspaniale. Ludwig nawet nie wiedział, że to koledzy ze studiów dali mu tak wspaniałą *cum-loving girl*. Nie wiedział też zapewne, że byłem pewnie jedynym facetem, który wyrzygał się na jej osłuzioną i nabrzmiałą lechtaczkę. Byłem wtedy zalany, jak niedoświadczony, wibrujący atom helu, niezdający sobie sprawy nawet ze swojej szczególnej pozycji w hierarchicznej sadze atomowej Mendelejewa. A ten jej ślimak był tak pomarszczony i śledziomokry, że nie mogłem, niestety, tego znieść. A taką wspaniałą ma lechtaczkę... Wielkości kciuka!

Po filmie mieliśmy wstąpić do *Galerii galerii* czy do jakiegoś innego klubu. Znowu jakiś wernisaż. Znowu darmowe wino.

Ale z nimi to nigdy nic nie wiadomo. To stara, jak Babilon, para. Owszem po przejściach. Wszystko, co stare, jest po przejściach. Oni mają jednak jakieś swoje paranoje, pomimo że najprawdopodobniej się kochają. Niektóre małżeństwa zawierane są w niebie, jak to mówią, ale ich zostało zawarte w Hongkongu, podczas niby-praktyk studenckich i to zupełnie przez przypadek. Monik, wiecznie pijana niewolnica bulimii, często wszczyna awantury z byle jakiego powodu, a Ludwig zupełnie nie potrafi zareagować

wtedy odpowiednio, to znaczy olać jej lamus utyskiwań i puścić mimo uszu *repty* żalonych ujadów. Przeciwnie. Igłą rozczarowania wstrzykuje w jej żyły wysokooktanowe paliwo kompromitacji. Widowiskowe rajstopy w lakierkach na szpilkach, uciekających do spóźnionej sypialni, zaczynają wtedy rzewnie płakać. Zgniłozielony płaszcz schodzi z wieszaka i przytula czule Ludwiga, postanawiającego już nigdy więcej. Tak kończy się spektakl amatorskiego teatru pożycia. Oni nie mogą za dużo pić. Często jest z nimi niebezpiecznie. O, ludzie! Żebyście wiedzieli, jak potrafią sobie skoczyć do łbów. Dobrać się do mózgow... Plują czasami na siebie brunatną, śmierdzącą ropą, tą wydzieliną chorej tkanki pamięci.

Ludwig to bardzo ciekawy facet, którego poznałem całe wieki temu na jakimś happeningowym froncie batalii o zlikwidowanie kilku elektrowni atomowych, które zaczęły się panoszyć w okolicy. Zbliżył nas do siebie entuzjazm i ta jego niespotykana spontaniczność. Młodzieńcza wiara w możliwość powalenia ograniczającego jednostkę systemu. Kurwa, jakież to rzeczy nas kiedyś ruszały... Aż trudno dziś w to wszystko uwierzyć. Piskłeta są takie naiwne! Wychylają głowy z uwitych specjalnie dla nich gniazd i próbują udowodnić swoją dorosłość, łamiąc sobie kark lub wpadając w łapy kota. Drogie ptaszki! Paszportem do świata jest odpowiednie upierzenie się i zapoznanie z prawami, które w nim obowiązują. To da wam szansę na odbycie ceremoniału tokowania i poznania miłosnej ptasiodorosłej serenady. To da wam szansę na codzienne napełnianie swojego wola ziarnem udawanego życia. Tymczasem wasze popiskiwanie niczego nie zmienia, jak nie zmieniły dotąd barykady wznoszone przez każdą nową generację marzycieli. Dobrze, że jest też brydż, i wino, i *Café de Noir*...

Jego ojciec, też Żyd, znany głównie z tego, że w czasie wojny brał tajne lekcje tanga, był przewodnikiem w Luwrze, co po części może tłumaczyć młodzieńcze aspiracje Ludwiga zostania artystą. Niemal każdą niedzielę spędzał z odprasowanym tatkiem, oprowadzającym turystów i maglującym akapity plotek o europejskim malarstwie, dzięki czemu zdobył dość gruntowną wiedzę z zakresu historii sztuki, a także z życia co niektórych nawiedzonych jej dzieci. Picasso, Bonnard, Soutine, Cezanne, Renoire, Monet, Degas, Matisse. Ta cała banda, zapuszkowana w konserwie Luwru jak ławica ryb na dalekomorskim trawlerze, była jego ulubionym towarzyszem, które przedkładał nad rówieśników ze szkoły. Wyrósł z tego po pewnym czasie i został dermatologiem. Ze sztuki pozostał mu tylko kubistyczny nos. Gdyby choć stał się chirurgiem plastycznym, mógłby porzeźbić na sobie.

Niestety, osiągnięcia dermatologii tradycyjnej, jak i tej homeopatycznej, nie dają mu możliwości przypodobania się otoczeniu zgrabniejszym organem węchowym. Mineta zrobiona przez mrówkojada chyba może być jednak przyjemna w pewnych okolicznościach, skoro Monik podaje mu ciągle do stołu.

Jedynie, czego mu kiedyś zazdrościłem, to obrzezany fiut. Nawet podczas kilkudniowych wędrówek w górach nie zbierał mu się pod napletkiem śmierdzący ser. Poza tym, to nie zamieniłbym się z nim na nic. Aż tak bardzo zawistny nie jestem.

Mam nadzieję, że dzisiaj będzie to jednak kulturalne i miłe spotkanie.

Mary zapaliła kolejnego papierosa. Miała na sobie mojego *t-shirta*. Patrzyłem na nią z drugiego pokoju przez otwarte drzwi. Była nawet ładną kobietą. Niedbale rozsunięte na kanapie nogi odsłaniały mały kłębek przystrzyżonych włosów. Wiem, że w środku była mokra. Mary zawsze była mokra. Mięsz, którym była wypełniona w środku, puszczał soki jak dojrziała śliwka. Tylko odbył Mary był nie do dotknięcia. Nie można nawet przyłożyć tam palca. Podobno ojciec Mary wsadził tam swojego chuja, gdy miała dwanaście lat. I ten skurwysyn jeszcze żyje! A jej analny kompas zawsze odwraca się w kierunku ucieczki. †

Delikatny chłód panujący w mieszkaniu ożywił jej sutki. Wychylały się spod koszulki. Nie patrzyła na mnie. Czytała jakiś kolorowy magazyn, który przyniosła ze sobą. Czy ludzie mogą się czegoś dowiedzieć z kolorowych magazynów? Poczulem, że wzbiera we mnie pożądanie. Mój penis najwyraźniej zaczął się prężyć. Prawą ręką pomogłem mu wstać. Zbudzony otworzył oko.

Patrząc tak na nią, zacząłem robić to, co tak często robię, gdy jestem sam i myślę o tych wszystkich soczystych brzoskwiniach, które wylizałem i z których zrobiłem perłowy dżem wspomnień. Serce zaczęło mi bić mocniej. Mary, której chyba zaczęła przeszkadzać cisza, nie odrywając się od lektury, zawołała:

– Chris, czy mamy tu, do cholery, jakąś muzykę?

– Ależ tak, kochanie. Właśnie zamierzam jej posłuchać.

Odwróciła się. Zobaczyła, jak stoję prawie nagi z wyprężonym kutasem w rękę.

– Chcę go! Daj mi go w tej chwili.

– Zaraz, zaraz. Pokaż mi ją. Czy jest już gotowa?

Mary odrzuciła magazyn, usiadła na skraju kanapy i rozchyliła nogi. Jej ręka spoczęła na piersi. Szybkimi, mocnymi ruchami zaczęła ugniatać swe

olbrzymie sutki. Druga ręka zesłała niżej i rozchyliła wejście do tabernakulum. Jeszcze raz ścisnęła sutek i oblizwała wyschnięte wargi. Masowała swoje łono, jakby to było ciasto na kluski. *Wrota zaufania* zaczynały się otwierać. Rosnące w jej kroczu orchidee dymily jak kominy elektrociepłowni.

– Mary, zaraz zagramy moją ulubioną muzyczkę.

Już nie słuchała. Zapamiętała się w sobie. Patrząc mi prosto w oczy, masturbowała się. Ja robiłem to samo. Ale zapragnąłem zobaczyć to z bliska. Podszedłem i uklęknałem tuż przy niej. Złapała mnie za jądra i przygryzła wargę. Widziałem, jak jej różowość odżyła. Miałem na nią ochotę. Jej cipa zesłuziła się, zwilgotniała, otworzyła, a Mary środkowym palcem wchodziła w nią i dość szybko poruszała. Zaczęła ciężko oddychać, oblizując i przygryzając wciąż wargi. Mój kutas też zaczął już pulsować. Nie mogłem już dłużej zwlekać. Musiałem zanurzyć w jej mokradłach swojego błyszczącego szparaga. Złapałem ją za nogi, przewróciłem na kanapę. Rozwarłem je najszerzej, jak można, odstawiając całą jej wilgotność, bagno chuci. Jedną nogę przelożyłem przez swoje ramię. Musiałem jej spróbować.

– O tak, Chris, dalej, zrób to mocno, głęboko, och, wsadź mi go, wsadź do dna! – i przeżywała jeden orgazm za drugim, rzucając się i napierając na mnie, wrzeszcząc coś i mamrocząc, drapiąc moje plecy i targając swoje mleczne wory. Walilem ją, jakbym zamiast chuja miał przytwierdzony potężny kowalski młot. Kowadło dzwięczało na dnie jej rozochoconej pizdy. Dyszała jak miech dokarmiający ogień.

– Błagam cię, skończ już! Spuść się! Jak ty mnie wspaniale pierdolisz! Spuść się!

Posuwałem ją tak jeszcze przez chwilę i dopiero kiedy zaczęła kwiczeć, jak zarzynane prosię, jak stado bitych krów, jak suka zdzielona drągiem, znalazłem jej się do środka bezzębnej cipiej paszczy całą porcją oliwy, którą zdążyły wygenerować moje jądra.

Co za dzień! Nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałem taką jazdę. Rozlane wino, cieszyło się wraz ze mną.

W końcu udało nam się wyjść z domu. W *Szalonym koniu* przycupnęliśmy na chwilę, ażeby pokrzepić się chłodnym *martini*. Mieliśmy się tu spotkać z Ludwigiem i Monik, którzy zadzwonili do mnie przecież pierwszy raz od niepamiętnych czasów, psy niemyte! Potem miało być *Erasure head* czy jakieś inne powalone czarno-białe danie.

– Chris, co sądzisz o Monik i Ludwigu? Lubisz ich? – zagadnęła Mary.

– Tak, Mary. Lubię ich. Znamy się już wiele lat. Fakt, że bardzo się

zmienili, szczególnie on. Wiesz, nie lubię tego snobizmu, którym zalatują z daleka.

– To prawda. Lubią się pokazać w *Astorze* albo w *Belle Epoque*. Jak pracowałam dla *Chanel*, czasami ich tam spotykałam. Robią tyle szumu wokół siebie...

– Zatem ty też lubisz tam chodzić, cha, cha – przerwałem jej ze śmiechem. Wiem, że ona za nimi nie przepada.

– Och, Chris! Wiesz przecież, że rzuciłam tę robotę. Trochę szkoda, bo pieniądze były przyzwoite. Nawet bardzo. Tylko że na nic nie miałam czasu. Przepuszczałam zresztą na taksówki więcej niż na wszystko inne, bo tam wszystko musiało być na przedwczoraj. No i te wyjazdy. Bardzo nie lubię wyjeżdżać z Paryża. Tylko tu czuję się dobrze. Włóczęgi po hotelach dawno mnie przestały bawić. Ciągłe czegoś zapominałam, cholera!

– A co teraz zamierzasz robić, Mary?

– Nie wiem jeszcze. Mam dość dobrą propozycję z pewnej amerykańskiej korporacji od *public relations*. Ale nie mówmy o tym. Taki fajny dzień. Chcę ssać dni mojego urlopowania ze smakiem jak cynamonowy cukierek *altoidos*. Cieszę się, że wyrwałeś mnie wczoraj. Jack mnie już znudził. Nawet ze sobą nie śpimy. On prawie codziennie jest pijany. Chyba poproszę go, żeby się wyprowadził.

– To ciekawe. Może ci się spodobać. Wiesz, Amerykanie są faktycznie na totalnym luzie. Przynajmniej większość z nich, a szczególnie ci z NYC. To nie poza. Przekonałem się. Nie wiem jednak, czy mógłbym dla nich pracować. *Business* traktują tak poważnie. Zresztą masz rację. Nie mówmy o codzienności. Byłaś w Stanach, Mary?

– Nie, jeszcze nie i nie śpieszy mi się. Niedawno Margot, wiesz, ta moja przyjaciółka, wróciła stamtąd.

Właśnie zjawili się ci, na których czekaliśmy.

– Och, jak miło was widzieć – pischęła Monik

– Cześć! Fajnie, że wpadliście. Zapowiada się interesująco. To co? Idziemy do kina?

Szybko uregulowałem rachunek i wyszliśmy, żeby złapać jakąś taksówkę. Byliśmy z Mary nieźle podchmieleni. Cieszyłem się, że dwie godzinki zejdzie nam w kinie. Po drodze postanowiłem, że kupimy jakieś wino, bo zależało mi, żeby nasi znajomi złapali tę samą falę, na której surfowałem z Mary od rana. W dobrych nastrojach ułożyliśmy się w pluszowych fotelach. Włączono ciemność. Potem na ekranie pojawiły się obrazy. Butelka

z czerwonym *bordeaux* przeszła z rąk do rąk. Mary tylko czekała na tę chwilę. Już kiedyś przecież widzieliśmy ten popierdolony film. Gdy tylko zgasty światła, rozchyliła nogi, wzięła moją dłoń i położyła ją na swojej piździe. Kiedy zdążyła zdjąć rajstopy i opuścić spódniczkę? Nie wiem. Znowu była mokrogorąca. Czulem jej zapach. Sandalowe drzewa zaczęły tańczyć w mojej głowie. Chciała, żebym ją pieścił dwoma palcami. Włożyłem je tam, a ona zaczęła mnie ścisnąć swoją rurą. Widziałem, że jest podniecona jak suka w czasie cieczki. Rozpięła mój rozporek i chwyciła mojego kutasa. Ukradkiem pośliniła rękę i masowała moją pałę. Wiem, że najchętniej zaczęła by go ssać. Spuściłem się do kubka po *coca-coli*. Moje plemniki, niestety, nie będą obżerać się jej wyjebaną galaretką. Zbrązowieale zdechną w śmietniku.

Po wyjściu z kina Ludwig zaprosił nas na drinka w malowniczym *Opus VII*. To taki lokal japiszonów z poluzowanymi krawatami. W przedścionku skrytki na aktówki i laptopy. Nigdy nie wiadomo, co zamówić. Byłem tu tylko raz, na spotkaniu z Leonardem, wydawcą moich tłumaczeń. Ohydna knajpa. Sterylna jak sala operacyjna. Oni jednak czuli się tu dobrze. Po kilku kolejkach miałem jednak serdecznie dość. Tym bardziej że rozmowa zeszła na temat wakacji, które ja przespałem w swoim wymagającym renowacji mieszkaniu, przechadzając się, od czasu do czasu, po przedpokoju letniej depresji, a oni spędzili na jakiejś greckiej wysepce. Z pewnością nudzili się bardziej niż ja, ale w ich opowieści był to raj na ziemi. Zaproponowałem zmianę lokalu. Wszyscy chętnie się zgodzili, gdy usłyszeli o darmowym winie i to najprawdopodobniej kalifornijskim.

Wyszliśmy. Lekko chwiejąc się, wypłynęliśmy na ocean pogmatwanych ulic naszego miasta. Te tunele i wiadukty z pewnością jawiły się, z lotu ptaka, jak kłębowisko świeżo wyklutych padalców. Na płaskim brzuchu Paryża kwitły słabeńkie, naszprycowane fosforem kwiaty, wydzielające zapach sfermentowanej benzyny. To zdezelowane powietrze z jazgotem wciskało się do naszych nozdrzy. Pomruk pijanych kotów otulał nasze ciała. Lecimy balonem do kolejnej przystani mgieł.

Kolejne godziny przyjemnego bla bla. Talerze pełne tłusciutkich, maślanoróżowych krewetek przelatywały przez nasz stolik z niedozwoloną prędkością, po czym znikwały niczym UFO w głębokich zlewozmywakach, obsługiwanych przez afrykańskich emigrantów. Czarne ręce obłapiające nieskazitelnie białe talerze w łaźni naczyń. Stadko kelnerów dziobało spokojnie napiwki, podczas gdy nam wysychały głębokie studnie czerwonego *bor-*

deaux. Armia papierosów dzielnie walczyła ze sfatygowaną klimatyzacją. Tkwiły razem w jakimś pacie, nie wiedząc, jak zadać ostateczny cios.

Po wysłuchaniu kilku historyjek opowiedzianych przez Monik starałem się nie dopuszczać jej więcej do głosu. Jej opowieści, nie dość, że długie, to były jeszcze szare i beznamiętne jak noc spędzona w małym miasteczku przez podstarzałego dyrektora wiejskiej szkoły. Spoglądałem często na Mary i zastanawiałem się, czy instynktownie czuje to, co czują ryby przeznaczone do konsumpcji w akwarium chińskiej restauracji, a mianowicie strach przed tłuczkiem i wstyd obnażenia ze stroju łusek. Nie czuła! Żadnych podpowiedzi instynktu! Bawiła się świetnie, dyskutując z Ludwigiem o tym, czy istnieje lepszy sposób panowania niż poprzez lęk przed wszechpotężną siłą, której nie można się przeciwstawić, bo nigdy nie działa bezpośrednio, albo o okolicznościach zwolnienia z teatru ich wspólnego znajomego. Ja z kolei zapytywałem, czy te ryby są świadome tego, że są takie smaczne? Tak dotrwaliśmy prawie do samego rana. Pożegnaniom nie było końca.

Zrobiło się już widno. Co prawda skowronki nie zdążyły jeszcze umyć zębów, a większość ludzkiej populacji ranny stolec wciąż przechowywała w schowku jelita grubego, ale można już było skosztować nowego dnia. Dwie poranne taksówki podśmiewały się ze swych pasażerów, kiedy pry-chając, odwoziły ich do kniei, pachnących wykrochmalonymi prześciera-dłami. Filmowy projektor przyśpieszał obroty. Zbudzony pośpiech jeszcze ziewał, ale już rozprostowywał kości i gotował się do skoku. Głodny pośpiech grasujący w żyłach miasta.

Gdy wróciliśmy do domu, Mary była już kompletnie zalana. Jak ja nie-nawidzę pijanych kobiet. Sam, muszę przyznać, nie byłem trzeźwiejszy. Od progu zrzuciła swoje fatałaszki, aż całkiem naga doszła do sypialni.

– A teraz mnie wypieprzysz, Chris! – zawołała.

– A teraz mi skapiesz na fiuta – odpowiedziałem.

Wszedłem za nią. Ona, już leżąc, zaczynała się brandzlować. Dwoma rękami rozsuwała swoje futro i kciukiem, tak kciukiem, atakowała wejście do tej swojej soczystej fioletowej śliwki. Produkowała swoją esencję, zagęszczony syrop koktajlu zasapanych nocy. Kazałem jej wstać, a potem przy-bilem ją do ściany, naprzeciw ogromnego lustra. Zamroczone i podniecona zaczęła jęczeć. Mój kutas się wyprężył. Z jej lekko owłosionej cipy zaczynały po udach spływać soki. Czulem je wyraźnie w pulsującym i przestraszonym tym, co ma się tu wydarzyć, sypialnianym powietrzu. Ileż ona tego tam miała. A po tych sokach zaczęły wypełzać z jej czarnej, brudnej nory

jaszczury i mikroskopijne węże. Całe stada nagich, czarnych ślimaków. Całe stada pasiastych, śliskich gadów.

Prawie nieprzytomna, z pochyloną głową i jakimś dziwnym nieartykułowanym kwikiem, wisząca nade mną, Mary, apologetka krwi i hormonalnych wydzielin, naszprycowana chucią, czekała na ostateczną rozgrywkę. Podeszedłem do niej, aby zanurzyć w jej oceanie śluzu swoje palce. Dotknąłem jej nabrzmiałej lechtaczki i zacząłem ją masować. Moje palce przebiebrały jak w książce telefonicznej, brzdękały w wałek, przypominający różowego papierosa z gumy do żucia dla dzieci. Mary wyla się w swej bezbronności. Następnie włożyłem jej tam palec. Śluz spływał mi na nadgarstek. Tego było już za wiele. Pora, abys skapała mi na chuja.

Pewnego razu przyjęto na oddział młodą kobietę, z otwartym złamaniem definicji i postanowiono przeprowadzić arcytrudną operację transplantacji fikcji.

Pewnego razu białym płótnem okryto stół i ciało, by stworzyć sterylne pole operacyjne pod słońcem reflektorów w wyjałowionym warsztacie doktora Frankensteina.

Pewnego razu włożono stalowe narzędzia chirurgiczne, a wśród nich piły, noże i skalpele, do dezynfektora, aby wykapać je później w krwi pacjenta, jak niemowlaka w wanience dzieciństwa.

Pewnego razu wyjęto stalowe narzędzia, a wśród nich piły, noże i skalpele, i przystąpiono do arcytrudnej operacji.

Pewnego razu blada, gładka skóra została przecięta aż do kości i krew na skórze malowała tatuaż ulatującego ciepła.

Pewnego razu podstarzały klecha z nieświeżym oddechem natarł czoło znakiem krzyża stygnącej damie pik z nieświeżym oddechem.

Pewnego razu zbudzona w środku nocy lodówka w prosektorium przyjęła sine zwłoki z otwartymi oczami, nieczuły mi na lzy najbliższej rodziny.

Wyciągnąłem spod łóżka nóż i sznur, jak wyciąga się obrazkową historijkę dla dzieci, by uspić je bredniami o tym, co za lasami i za górami. Zacząłem rozwijać fabułę sznura i dla uczynienia jej bardziej interesującą wiązałem pętlę. Zajęło mi to dwa miliony lat, w ciągu których dane mi było przemyśleć sześćdziesiąt tysięcy scenariuszy zbrodni. Papieros poparzył mi usta. Wtedy zarzuciłem pętlę na jej szyję. Mary oprzytomniała, ale pewna była, że to jedna z tych gier, które czasami skutecznialiśmy dla urozmaicenia sobie pieprzenia. Czowała przecież ten prąd. Widziała tę otwartą drogę do przesywającej na wylot światłości. Jej cipa błagała o orgazm.

Zacisnąłem z całej siły pętlę. Przytrzymując wierzgającą Mary jedną ręką, drugą wbilem jej nóż powyżej lewej piersi, w miejscu gdzie wykluto wilka podczas jej pierwszej ucieczki z domu. Zachrobotyła zebra, ale długie, stalowe ostrze weszło jednak w nią. Trysnęła krew. Ściekała po jej sutkach, brzuchu. Zacerwieniła jej lonowe włosy, uda. Wszystko było już zachłapanie posoką. Bez najmniejszego szelestu. Bez jęku. Bez słów. W totalnej ciszy. Sentencja drgawek, jak podczas orgazmu.

Uklęknałem i dotknąłem swojego nabrzmiatego kutasa, który od razu eksplodował strugą spermy. Boże, gdybyś istniał, widziałbyś, jak biała potrafi być sperma na czerwonej kaluży krwi. O, Allachu, gdybyś istniał, zobaczyłbyś, jak ta kutasia ślina wspaniale kontrastuje z esencją życia. O, Buddo, gdybyś istniał, przetarłbyś oczy z niedowierzania. O, Kryszno! Rzygałbyś dalej, niż mogłyby sięgać twoje *mantry*. Niech się ożłopia moje krwiozercze plemniki do bólu!

Dywan przypominał najdoskonalsze dzieła Pollocka. Kropelki wiśniowego soku pokryte cienką warstwą lukru pełnego plemników nadawały się do dekorowania ciastek, które Tom Robins posyłał swoim bliźniaczym braciom do więzienia. Biała trupia skóra Mary, po wyprawieniu, byłaby zapierającym dech w piersiach tworzywem do produkcji portmonetek i wizytowników w rodzinnej manufakturze państwa Lee, gdzieś w norze azjatyckiego tygrysa. Indiański rzeźnik, po zdjęciu skalpu, zrobiłby z jej włosów maskotkę dla małego ludożera, który wymuskał się osiem księżyców temu z kliniki naturalnych poczęć, pod dachem ze skóry bawołu. Szkoda tylko, że jej kwilenia odleciały z prędkością trzystu metrów na sekundę w otwartą przestrzeń międzygwiazdzną i nie dadzą się już przerobić na próżne dowody małżeńskiego uwielbienia, a orgazmy, którymi wypełnione były jej trzewia, rozeszły się w spazmach tak szybko, jak ostatnie pieniądze i nie skopią już jąder żadnego neandertalczyka.

O, Mary. Tyle lat się znaliśmy. Hektolitry wina. Setki soczystych erupcji. Nie wiem, co mi przyszło do głowy. Znowu przekroczyć siebie, ukatrupić wszechobecny panoptyzm reguł pozbawionych obiektywnej podszewki, wbrew logice elementarnej ewolucji, *in defiance of myself*, jak lubiała mawiać? I co ja teraz zrobię? Jak mam wyprosić cię z mojego domu? Porąbać cię i schować w pustej zamrażarce? Nie, to zdarzyło się w Tokio. Wynosić na raty, fragmentami dokarmiać bezdomne psy, spalić, wrzucić do rzeki, zakopać, zjeść...? To album wszystkich stop-klatek współczesnego kina.

W zanieczyszczonym morzu mojego żołądka wybuchła panika podsmażonych krewetek. Ocean świeżej krwi zanieczyszczony plamą, przypominającą wyciek z tankowca. Jakaś chara, wypluta z któregoś mózgowego płata, odebrała czucie zębom. Palce piszące na klawiaturze laptopa na przemian drżą i drętwieją. Co mi odbiło? Co ja do cholery zrobiłem?

Milczeniem kupuję parę białych rękawiczek.

W białych rękawiczkach wychodzę na ulice Paryża. Uśmiecham się do ludzi i jestem spokojny jak nigdy dotąd. Za siedmioma lasami, za siedmioma górami porzucam sznur, odcięty od szyi Mary. Japoński nóż sprzedaję na internetowej aukcji. Udaję przed samym sobą, że byłem wirtualną postacią z komputerowej gry.

Mówiłem ci, Mary, że na pieprzeniu się świat nie kończy.

8. Przedawkowana rzeczywistość

Na szypułkach detektor w twardej oprawie maca żelowatą meduzę cząsoprzestrzeni. Zbieranie informacji, jak napelnianie koszy w hipermakecie. Tylko i tylko, i tylko po to, aby w końcu spróbować ujarzmić swój percepcyjny chaos. Dziś już ludzie bez tego nie potrafią się obejść. Druga lodówka pod strzechą z pełnym brzuchem protein posiadania. Dopiero przy kasie wiesz, ile tak naprawdę musisz zapłacić i że w rzeczywistości twoje kosze pełne są budulca gówna. Jak zjesz już sześćdziesiąt lat, okaże się że przedawkowałeś rzeczywistość, która utrwalona na celuloidowej metryce, będzie szumieć jak pusta dyskietka lub jęczeć jak fizyczne prawa termodynamiki.

Zapytaj Edith, dlaczego założyła dziś sześć par podkolanówek. Oczywiście odpowie, że tylko po to, aby mogła się dłużej rozbierać przed rżnięciem z którymś z zakotwiczonych w oceanie *bourbona* krążowników. Logiczne, prawda? Edith, porcja kobiety salonowej, przemierza swoim językiem autostradę od stóp aż do głowy, głowy wyprężonego kutasa. *Trial to treasure...* Ejakuluję na jej szyję, ona ściera spermę pulchnymi dłońmi i odpala mi papierosa. Sześć par podkolanówek, czekających w porozrzucaniu, skręca się ze śmiechu i dławi się swoim własnym smrodem.

Tak, czasami życie wydaje się lekkie jak wprawka na lewą rękę. A jest ciężkie jak tona pierza. Łatwiej je zdmuchnąć, niż mu podołać.

Naście lat i woń starości. Wiek słuszny i woń młodości. Czym tu się, kurwa, wyperfumować? Neutralności się raczej nie zdarzają...

Zasmarkana awangarda i rozkalibrowany klasycyzm. Paranoide wszelkiej maści. Tybetańskie księgi umarłych i demony tarota. Tylnymi drzwiami do piekła. W oswojonym labiryncie Minotaury mruczą jak syjamskie kotki w zaułku zła. Na dachu wieżowca usiadł stukilowy gołąb, aby zrobić pięciokilową kupę. Odleciał. Ale gdzie?

Po cóż wiedzieć? Po cóż nam wiedza? Wiedza jest neonem szaleństwa.

Myślenie z kolei przesadza z sadyzmem rytuału. Generowanie puenty ma ten sam przebieg, co wylęg oślizłej ryczącej ludzkiej larwy. Po co ten mózg się tak męczy? Po co te pizdy produkują zarodki? Czy wszyscy ludzie aż tak lubią ból?

Nikt jeszcze nic mądrego nie wymyślił i nikt jeszcze nic nie wiedział. Było wielu dobrych w udawaniu tegoż. O wiele łatwiej udawać wiedzę, niż

obnażyć niewiedzę. Bo niewiedzy, niestety, nie można udawać! Tak, niewiedzy nie można udawać! Każdy sam musi się przekonać o swej nieprawdziwości. Każdy sam w swej samości. A samość jest jak rozstrojony niesłychalny skowyt.

Na pewnej ulicy leżała pijana kurwa, na którą lali jacyś menele. Pewnie jej się śniło, że bierze prysznic w przytulnym motelu. Ten sen był prawdziwszy niż to, co opisałem, bo nie można na nikogo, ot tak sobie, nalać. Czy nalał ktoś na ciebie kiedykolwiek, Mary? W jej głowie zakwitła definicja szacunku.

Mary miała mózg w tabernakulum. Maryukrzyżowanie było inicjacją *Syndykatu Zbrodni*.

Piłem whisky z Pynchonem, gdzieś w świecie. Brudne mieliśmy wtedy mankiety. W brudnym siedzieliśmy barze. W brudnej dzielnicy *Brudnego Miasta*. Zalane były potem nasze plecy. Pot zalewał nam też oczy i ściekał dużymi kroplami po wysuszonych, nieskalanych łopata, rękach.

– Chris, do nędzy! Zgadnij, ile much siedzi na suficie?! – mówi Pynchon.

Próbowałem policzyć te czarne plamki, ale nijak nie mogłem się do tego zabrać. Co innego on. Ma te swoje kombinatoryczne sztuczki.

– Sto czterdzieści cztery musze nogi dają nam chyba prawo przypuszczać, że na suficie przysiadło trzydzieści sześć pełnosprawnych owadów. Przyjrzałem się, i w rzeczy samej, żadnego inwalidy! Much jest trzydzieści sześć. A zobacz, jak ten motyl się w locie kołysze, biedny ma zatwardzenie! Może nakarmimy go węglem?

– Nie mamy węgla.

– To powiedz mu, kurwa, żeby sobie znalazł, bo ja nie będę z nim fruwał wte i wewte.

Oj, chciałbym z tobą, *whisky*, starzeć się i umierać.

Przedawkować można wszystko. Kłamstwo i narkotyki. Prawdę i niewinność. Umrzeć z cnotą w szparze to nieszczęście. Przedawkować można samobójstwa i cukier do kawy, choć kawa bez cukru jest jak mięso bez soli, jak tancerz bez muzyki, jak telewizja satelitarna bez satelity. Nie można przedawkować śmierci. Przedawkowana śmierć nie istnieje. I nie trzeba studiów nad Bytem, aby o tym też nie wiedzieć.

W Sokratejskiej geometrii dialektycznej erystyki widać jak na dłoni, że wypruwanie z tych wszystkich pedałów niewiedzy było akuszerią mozolną. Dlaczego tak się mozolić? Puenty i tak będą rozszabrowane przez motloch, który przedawkuje sens. W całym tym zgielku czasami zatapiają się w podłodowej ciszy... Szkoda, że tylko wieloryby...

9. Gentleman Chaos

Siwiejące już włosy na skroniach, skropione słonym potem. Brudne ściany. Były kiedyś żółte. Powietrze gęste od dymu drugorzędnych papierosów, choć pierwszorzędnego koncernu. Pełzający w labiryncie żył i aort obzarty rak. Tłuste raczysko, dokarmiane regularnie, co pół godziny. Powoli. Bardzo powoli. Wirus. Zbiór samoklonujących się wirusów w macierzy padalców. *Sleepery eyes*. To był cud. Atmosfera ogłuszona strumieniem *tequila*. Nieważkość. Uśpienie. Eleacki harmider spokoju. Wojna ciszy i bezruchu. Gęstość krytyczna. Lepki zapach przepoconych bawełnianych ciuchów. Dżinsy błagające o kromkę kąpieli. Cichutkie dźwięki *ambient* spacerujące wte i wewte. A głowa opada. Sama. I nie wiadomo, czego jeszcze chce ta głowa.

Ci ujarani Hindusi kucający w centrum Delhi przy wywróconej ciężarówce i zakrwawionej kobiecie. Muchy jak sępy, sępy jak hieny, hieny jak ludzie, ludzie jak hieny, ze skulonym ogonem. Albo skorpion na dnie Wielkiego Kanionu, jego oczy czarne. Pogięte okładki wiecznie przeprowadzających się książek, jazgoczących setkami czarnych znaków, zamieniających się w głodne czołgi insektów, szukających twoich oczu, by je wyssać. Schody przeciwpożarowe na Bronksie. Kolor tej brudnej cegły? „Pan cierpi, bo Pan za dużo od siebie wymaga. I od innych. Stanowczo za dużo”.

Udomowiony schopenhauerysta figlujący z chomikiem. Mgły nad Sekwaną. I turkoczące silniki greckich restauracji na wodzie. Szarżujące po niebie konie chmur, jako statyczne tło polaroidowej fotografii. Niebo potargane jak rajtuzy Mary. Z nylonowych dziur prześwitujący błękit opatrunku uciskowego ziemi. Myszopodobne Francuzki. Ich wilgotne futro. Ich pachnące włosy. Żeliwna wanna pełna letniej wody. Te dwie szklanki patrzą na siebie smutno. A wszystko i tak już było. „Pan jeszcze wyrządzi wiele krzywdy innym, pokaleczy Pan wiele osób, i to w obronie przed własnymi obawami, wątpliwościami i podejrzeniami. Pana zazdrość jest nieuleczalna. Pana racjonalizm jest zainfekowany bezdenną wątpliwością. Niech mnie pan posłucha dobrze. Czy mam rację, twierdząc, że nie jest już pan nawet pewien, czy wróci pan do kobiety, którą pan kocha? I gdyby tylko był pan pewien, że zdoła zrobić to wszystko, co zamierza, bez niej, to porzuciłby ją pan. Uciekłby pan...”.

Makszika vranam iczhanti, siantim iczhanti parthawah. Niczah kalam iczhanti sadhawah.

Zapach kokosowego płynu do kąpieli. Piana na jej pełnych piersiach. Kiedy mnie stąd zabierzesz? Czy to jeszcze możliwe? Znowu się zasiedziałem. Trzy tysiące lat pogaństwa. I złe mi się śni. Od pół roku. Tylko ty nawet nie wiesz, gdzie ja jestem...

– Soniu, czy już nauczyłaś się nie martwić o mnie?

Jej ciało przywiązane sznurami do poręczy żeliwnego łóżka. Jak romantycznie kwili. Boże, co ona miała w tej swojej cipie? „Pan będzie jej ciągle potrzebował i wspaniałomyślnie nazwie to miłością. Największą miłością. Ale Pan ją zniszczy, wyssie z niej ostatnie iskry życia i będzie Pan miał usprawiedliwienie. Zatruje ją Pan tą swoją absurdalną miłością, a potem będzie Pan zatruwał też siebie. Dwa nieuporządkowane życia. Pan jest uosobieniem Chaosu”.

Becky prowadzi limuzynę, na kwasie. Środek nocy nad jeziorem Michigan. Zgubiła wszystkie ubrania. A chilijskie wino u Froga? Mary. Mary-ukrzyżowanie. Srebrna popielniczka jej ojca. Lombard. Albo to miejsce na końcu świata z mostem donikąd, kończącym się na pionowej skale, sprawiającej wrażenie, jakby spadła z nieba i przecięła go wpół. Pierdolony Jim Jarmush. Wielkoekranowe pluszowe kina, studenci, Europa, książki, lato, morze, jesień, zima, a w górach kolejny dług w „Bazie ludzi z mgły”.

Wszystkie te słowa w pięciu językach. Ile telefonicznych informacji o śmierci dawno zapomnianych osób? Zgubione dyskiety z ostatnią książką. Sonia. Imię imion. Kobieta kobiet. Jakie piękne imiona mają kobiety: Sonia, Angela, Margot, Mary, Joanna, Ewa, Jasmine, Małgorzata, Kamila, Leonora, Jessica, Edith, Julietta... Ale dopiero napelnienie tych imion spermą czyni je pięknie brzmiącymi, tak jak nadmuchiwanie czyni niezgrabny zwłok gumy zabawnym balonem.

– Czy jesteś już Soniu na swojej Żółtej Planecie, gdzieś w środku Mlecznej Drogi, na którą zabiera Niebieski Ekspres, gdzie nie ma wczoraj i nie będzie jutra? *One way ticket*.

Po trzydziestu tysiącach lat znoszenia moich fochów pełnoletnia Europa wyrzuciła mnie ze swoich apartamentów, za drzwi oceanu. Na całe szczęście to tylko wakacje. Pukanie i błaganie o kolejną szansę nie miało sensu. Podział majątku, niewiele tego było. Zabrałem się windą w trasę Daleko Stąd i zjechałem na plażę, gdzie rozgrzany hiszpańskojęzycznym słońcem piasek pozwolił mi uwić tymczasowe gniazdo. I żaden ptak nie zaśpiewał. Żadnego ornitologicznego ćwierknięcia. I ani jedna lza nie kapnęła do czary żalu z wyświechtanej fotografii, zadowionej w wyświechtanym portfelu.

Tymczasem dekoratorzy tego kontynentu, cierpiącego na chroniczną migrenę, jak zdążyłem się przekonać zaraz po jego podboju, musieli ukończyć uczelnie, gdzie wykładano głównie pejzaż rozległej prerii i uczono, jak zagospodarowywać szary piasek, drewnianym byle czym. Możliwe, że zostawili sobie trochę na później, a na razie, tak dla urozmaicenia, ubrali go także w dodatkowe kostiumy industrialnych Goliatów i obsypali połyskującymi zbytkiem broszkami, biżuterią stali, marmuru i szkła. W wypastowanych butach, poboczem sześciopasmowych jelit, przechadzała się tu córka cywilizacji bosych szamanów, niosąca na tacy *buritos*, zarażone genetycznie modyfikowaną kukurydzą i fasolą. Plantacje agawy aż po horyzont.

– Chris, kontynuujemy? – przerwał mi zbrązowiwały od słońca Richard.

– Ależ o co ci chodzi? Dopiero południe. Ocean jeszcze zamknięty. Zresztą, jak chcesz to idź sam na tę plażę dla psów. Ja tu zostaję. Henrico należy nam jeszcze. Prawda, Henrico? – zwróciłem się do barmana, który od tygodnia prawie się z nami nie rozstawał.

– Oczywiście. Muszę przyznać, że nie miałem chyba od dziesięciu lat takich gości, jak wy. Patrząc na was, naprawdę chce się pić. Lubicie to, to widać – odpowiedział i nawet rzucił jakieś dziwne spojrzenie spod wielkiego niczym opona *trucka* sombrero.

– Bo mało jeszcze widziałeś, Henrico. Ocean i pustynia wszystko ci zasłaniają. Wszystkim wam. Pomimo waszego klimatu, bezcienistych przestrzeni i tej kaktusiej lury jesteście jak nasze bagienne muchy, konające w ciszy sosnowego zagajnika – odpowiedziałem.

– Henrico, on właśnie tak gada, kiedy się nachleje – chyba próbował mnie usprawiedliwiać mój gnuśny kompan. – Dalej, opowiedz mu coś jeszcze. Założę się, że bardzo mu się podoba – tym razem zwrócił się do mnie.

– Nie chce mi się z tobą gadać, Richard. Już od dwóch dni nie chce mi się z nikim gadać. Zajmij się tymi twoimi pierdolonymi cyferkami, tą kombinatoryką robaczków. Po cholere siedzę tu z cybernetykiem pijącym cyberczysty alkohol w cyberbrudnych knajpach? No, powiedz mi? I do tego jeszcze cyberfeministką. Jak ty się zamerykanizowałeś! Przecież nie potrzebuję nawet tych twoich stypendialnych pieniędzy. Co cię skłoniło, że przyjechałeś tu ze mną? Już dwa miesiące temu miałem cię spytać...

– Nie wiem, Chris. Zaczynasz mnie jednak irytować.

– Napijmy się, OK? – kończę.

I znowu *Twick Twack Twock. An unkown knock...* Gdzie ja się znalazłem? Może zadzwonić gdzieś i zapytać, kiedy mogę wyrwać się w stronę

lądu, na którym Paryż, Barcelona, Rzym, Warszawa, Berlin i Ateny są tak blisko siebie, jak znaczki poukładane w serie, w klaserze filatelisty? Niektóre pokancerowane. Inne bezwartościowe. Kilka sztuk wyjątkowych. A może wystarczyłoby złapać za ogon jakąś przelatującą tuż nad naszymi głowami kometę? Droga w górę i w dół jest wszak taka sama. Ale po co? Znowu dobrowolnie zamknąć się w tych miniaturowych, przenośnych, wszędobylczych więzieniach? Wejść w kierat codzienności, koloryzowanej od czasu do czasu jakimś *quasi*-wydarzeniem? Może właśnie trzeba mi tu jeszcze tkwić. Skaktusieć. Ogrzać gnaty słońcem. Różnić te wysuszone chodzące skrobanki.

Ile razy wydawało mi się, że jestem do niczego, że nie potrafię, nie umiem, że wszystko muszę po prostu spieprzyć, tyle razy udawało mi się, jak dotąd, spojrzeć na siebie z innej perspektywy i stwierdzić, że jednak jestem najlepszy, godny i wartościowy. Trzeba zachowywać balans. Niestraszne nam wtedy wichry klęski, drobne rany odniesione w największych bitwach są niczym, a największe lupy stają się chlebem powszednim, tranzytowym portem pirackiej łodzi. Średnie żagłówki wywracają się na średnich jeziorkach. I tylko szkwał.

Nawet nie wiem, czy jestem jeszcze w stanie zaspokoić jakieś młode jagnię, młodą wijącą się szparę, nieprzyzwyczajoną do posuwistych ruchów mojego chuja? Co robić? Taplać się w radioaktywnym i gęstym od planktonu oceanie? Popłynąć na ryby z tubylcami i wypróbować te ich świecidelka i śmierdzące flaki, jako przynęty? Oddać się jakiejś szczupłej i opalanej refleksji. Filozofia ponowoczesnej Europy nie przemawia już do mnie. Filozofia Borybysąpsze też nie. Za dużo tam aksjomatów w stylu: Borybysąpsze jest faktem. Borybysąpsze zna każdy. Za Borybysąpsze przemawia wszystko. Z Borybysąpsze się nie dyskutuje, nie sprzecza, nie argumentuje. Nie znam nawet argumentu Borybysąpsze. Chyba go nawet nie podał.

A tu nawet nie można kupić porządnej książki. Amerykańskie gazety są przynajmniej o dwa dni spóźnione. Chociaż to w sumie dobrze byłoby się dowiedzieć o końcu świata dwa dni później. Tylko że nie ma amerykańskiej gazety, która wydrukowałaby informację o końcu świata. I nie ma pewności, że koniec świata nastąpi, zanim zgaśnie mój neon życia.

Ciekawe, czy moje mieszkanie tęskni za mną? Kaloryfer fetyszysta tęskniący do przepranej bielizny. Ściany podglądaczki chętnie ocierające się o spocone, dyszące kombinacje turlających się organów i okna plotkujące z całą ulicą o bezwstydnym upodobaniach co niektórych żmij. Ociężała makulatura zalegająca kuszetki czytelnicy. Brązowa plama zakrzepłej krwi

Mary, przykryta nowym dywanem. Zmęczony i poturbowany album zdjęć z Sonią. Stały meldunek, nieczuły na wieczną nieobecność swojego pana. Białe rękawiczki milczenia, odłożone na następny sezon.

Tyle niedokończonych projektów. Tyle nieprzeżutych romansów. Pamiętam taką jedną młodziutką dziewczynę, jedzącą codziennie *lunch* w *Academie Brasserie*, której nie zdążyłem poznać. Już jej nie spotkam. Nie taką samą. A była taka świeżutka, niewinna. Z pewnością jeszcze mógłbym ją nauczyć ssać do ostatniej kropli. Była przecież ciągle na etapie prozy iberoamerykańskiej.

Dzień Świstaka i jego kult. Tomasz z Akwinu. Kręci mi się w głowie. Dziewiąta hipostaza bytu transcendentalnego pierdoląca o teleologicznym zawieszeniu etyki. „Pan się ludzi nie boi, bo ma ich za nic. Na małżopodobnych nie zwraca Pan uwagi. Zamienia Pan ich w mgłę. Pułapki, które zastawia obcy człowiek, są dla Pana pestką. Przeskakuje je Pan, jak niewielką kałużę. Unika Pan jedynie tych innych, które samorodnie kielkują w Pana umyśle, często kierując w złą stronę. I nie wie Pan, dlaczego porzuca swoje wspaniałe projekty. Wielkie projekty. Nie jest Pan leniwy...”

Gdyby chociaż to ichnie piwo nadawało się do picia. Gdzie jest mój zegarek? Jaką Leonardo miał minę, gdy spóźniałem się z ostatnim tłumaczeniem. Tego nie da się zapomnieć. Wydawcy to najdziwniejsza z nacji, jaką poznałem. Zegarek zostawiony za butelkę *cabernet* w takiej nędznej knajpie! W Europie musisz robić miny. Zawinąć twarz w którąkolwiek z masek i udawać, że jesteś precyzyjny jak szwajcarski ręcznie nakręcany czasomierz i szybki jak elektrycznie napędzany francuski pociąg, punktualny jak ideologicznie podkarmiony niemiecki oficer i dobrze wychowany jak wzorcowy brytyjski brydżysta. W Meksyku musisz tylko smarować ryj filtrem przeciwsłonecznym.

A zapach przedwiośnia? Burza z błyskawicami. Wszystkiego tu brakuje. Nawet jeżeli tutejsza jutrenka grywa na strunach horyzontu omdlewająco piękne suity, to są one dla tubylców przerażającym budzikiem znoju. Dlatego nie potrafią oni docenić tej swojej prostolinijnej głupoty, którą wyświetlają na ekranach żółtych zębów, wzierających spod wysuszonych warg, nieznających wynalazku francuskiego pocałunku. *Whisky* dla dezynfekcji jamy ustnej. Ciężarówki w kolorach khaki, zdezelowane i rozdygotane. Zar. Na depresję chorują tylko skorpiony. Ludzie nie umieją chodzić. Muszą tańczyć.

Powietrze pełne dźwięków, od których się dusisz. Kakofonia wspomnień z fortepianu autobiografii. Taksówka na lotnisko. *Champagne Café de Pa-*

ris na pożegnanie. Nie widzieć ich. Tu nie ma metra. Światła biurowców nie mającą. Gwiazdy w zasięgu ręki jak czereśnie na drzewach, jak papier toaletowy w ekskluzywnych toaletach restauracji *Sankt Petersburg*. Tylko to żarcie... I brud... Ale co mi tam.

– Sluchaj, Richard. Nie wiem, co sobie wyobrażałeś po tej wyprawie, ale nie namawiałem cię specjalnie. W zasadzie to miałem ochotę uciec stamtąd sam. Z Kamilem byłoby to niebezpieczne. Już byśmy się zaćpali jakimś peyotlowymi kulkami, albo przynajmniej zapili. Znasz go. Nie zdążyłbym nawet odwiedzić tych wszystkich wypadatambyć, a już byłoby po mnie. Zresztą on musiałby zdobyć forszę, a sumki potrzebnej na taką eskapadę, pomimo jego talentów do naciągania, nikt by mu jednak nie pożyczył. Sam ledwo zdążyłem z ostatnimi tłumaczeniami i na całe szczęście Leonardo zapłacił mi za nie solidnie. Czasami jednak cieszę się, że jesteś tu ze mną. Szczególnie rano, gdy wiem, że znowu potrzebuję czegoś zimnego na kaca, cha, cha – zaśmiałem się i dalej mu swoje.

– Myślałem, że w Meksyku nie ma się kaca... Nie przyjechałem tu się zabić. To nie w moim stylu. Przecież wiesz, że jeszcze się nigdy nie zabiłem...

Richard wykonał jakiś pogardliwy gest, ale zamierzałem kontynuować.

– I przestań utyskiwać, że może byłem kiedyś kimś. Znamy się przecież tyle lat. Teraz nic nie robię, bo nie chcę nic robić. Zrozum to. Laptop śpi sobie spokojnie w swojej walizce. W ogóle nie jest mi potrzebny. Przyjechałem tu cieszyć się życiem i chyba tak to sobie wyobrażałem. Że co? Że długo? Masz szczęście, że udało ci się zabrać mnie na oglądanie tych inkowskich piramidek prosto z lotniska. Dziś mnie stąd nie wyrwiesz. Nawet dla tej twojej przyjaciółki, wspominającej bez przerwy Castanedę i Lévi-Straussa. Ja muszę sobie wszystko poukładać. Zostanę tu tak długo, jak tylko wyda mi się to zabawne. Moja koncepcja czasu okazała się nieco za słaba. Tak, uhm, muszę odpsychologizować mechanizm konwersji, uhm. Zmechanizować retrospekcję. Skonstruować podmiot nieczuły na demarkację pojedynczego doświadczenia. Odhermeneutyzować tragedię czytania własnych losów, cha, cha, cha.

Dopijam trochę mętny roztwór *margerity* i kontynuuję:

– Wiem, wiem, co chcesz mi powiedzieć. Wydaje ci się, że powinieneś mi doradzić, żebym wziął się w garść, że to życie muszę sobie podporządkować, ścisnąć, zapanować nad nim. Ale ty nie masz pojęcia, o czym ja mówię. Gdybym miał dziesięć centów za każde takie kazanie, to byłbym milionerem. Ja wierzę, że jeżeli coś się wydarzy, to tak *by chance*. Zasadą

dekonstrukcji jest... OK! A ty co? Ile zdążyłeś zrobić przez te ostatnie miesiące? Ciekawe, jak rozliczysz się ze szmalu, który tu ze mną przepiłeś. Zbierasz rachunki za *mezcal* czy za *tequilę*?

– Daj już spokój. Henrico, polewaj! – mój kompan się zniecierpliwił.

– Nie martw się, ja też się już tu trochę tej matematyki nauczyłem. Przekonałem się, że liczba banknotów w moim portfelu jest skończona. Dwa-dzieścia cztery odjąć sześć równa się jeszcze trzy tygodnie. Kiedyś, zanim nie narobiłem sobie długów, mogłem posługiwać się tymi plastikowymi kartami i ich wirtualne pieniądze nigdy nie wydawały mi się zamknięte w jakiejś skończoności. Zawsze miałem na nich jakiegoś iksa. A teraz muszę pomiętosić w palcach te szeleszczące papierki i zdrowo się wysilić, żeby wyobrazić sobie równanie z jedną niewiadomą. Na całe szczęście już dawno wynaleziono telegraficzne przekazy gotówki, a Leonardo w swej nieskończonej cierpliwości i dobroci serca – cokolwiek to znaczy – wciąż liczy, że coś dla niego jeszcze kiedyś zrobię. Myślisz, że gdybym go poprosił, to przysłałby coś?

– Na tym poziomie matematyka wydaje się związana jakąś pępowiną z tym, co ty, Chris, nazywasz światem. Ale matematyka jest tak naprawdę tylko powietrzem. Możesz ją ignorować, dopóki cię nie zatruwa. Ja ją próbuję oczyścić. A Leonardo na pewno coś przyśle. Chyba tylko on tak bardzo w ciebie wierzy, że robi dla ciebie wszystko, zanim ty zdążysz nawet pomyśleć. Masz szczęście, że go masz...

Nie staram się jednak śledzić wyводу Richarda. Znowu jakieś obrazy docierają do mojej skolowanej głowy. „Kimkolwiek jest ta kobieta, o której Pan mówi, że ją kocha, żal mi jej. Jest mi bliska jak siostra. Naprawdę mi jej żal. Pan potrafi myśleć tylko o sobie”. *Homo religiosus* nieustający w poszukiwaniu niemożliwego. A może ten facet miał rację? Czy ja krzywdziłem Sonię? Chciałem przecież tylko, żeby coś się nie zrutyinizowało, żeby nie pozostało po tym wszystkim tylko jakieś przywiązanie, bo przywiązanie, uważam, jest największym wrogiem miłości, a to, co krępuje miłość, w końcu ją zabija. I dlatego trochę się z nią drażniłem. Chciałem nawet doprowadzić do tego, aby całkowicie się ode mnie uwolniła. I sprawiało mi przyjemność takie jej nękanie. Ale gdy powiedziała wtedy, żebym zabrał wszystko, co chcę, i poszedł sobie rozczerowała mnie, niestety. Poczulem się niepotrzebny i zbędny, jak wyrzuty sumienia.

Przez zakurzone okno widzę pulmanowski turystyczny autokar, ozdobiony palmami o doskonałych, kształtnych liściach koloru zielonobłęszczą-

cego, pędzący w stronę oceanu w tumanach kurzu i jak zawsze na ten widok ścisnęło mi się serce, bo za każdym razem wydaje mi się, że kiedyś znowu z takiego autokaru wysiądzie Sonia, jak kiedyś, gdy odwiedzała mnie podczas stażu w Brukseli. Przypomniałem sobie, jak posuwała się wtedy w moją stronę drobnym, nieśmiałym krokiem, na końcu gromadki zbitych do kupy ludzi, tuląc do serca torebkę i dźwigając na plecach śmiesznie duży plecak, wyglądając mnie z nadzieją, że to niby po nią wyszedłem. Przestraszyłem się, że znów ujrzę tę wyglądającą niczym przestraszone zwierzę, niczym zbity pies ze schroniska, dziewczynę. W końcu awersja, którą zaczęła do mnie czuć, jest przecież lepsza niż ta jej bezgraniczna miłość.

O blat koślawego stolika, który udawał, że ciągle się dobrze trzyma, zadźwięczały denka szklanek pełnych dobrych nastrojów. Henrico wymienił popielniczkę i czegoś tam życzył, podejrzewam, że pomyślności.

Moje myśli rozmnożyły się jak kiście winogron na południowych stokach wzgórków *Bordeaux*, w lecie tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego. Większość zgnęła.

I wtedy weszły te ciemne okulary. I czarny płaszcz z wyświechtanej cieniejskiej skóry. Trochę groteskowy jasny *stetson*. Spocona szyja. Pod *T-shirt*em uwolnione, nieco obwisłe piersi. Nawet bardzo obwisłe. I nie wiem, dlaczego nie wydały mi się tylko jakimś nędznymi kluskami, jakimś wędznącymi warzywami, jakimś niewartymi zachodu kawałkami drożdżowego ciasta. Czerwone włosy zlepione oceaniczną solą. Ciężkie trepy na grubym koturnie. Sześćdziesiąt tysięcy bransoletek na szczupłej kostce. Łydka jak wrzeczono kołowrotka.

Usiadła przy oknie. Zdawała się nikogo nie zauważać. *Who the hell is she?* Skąd?

Ściągnęła okulary i poprosiła Henrico o wodę z lodem.

– Nie mamy lodu, proszę pani. Awaria lodówek, awaria wentylatorów. Może być woda bez lodu? – barman załamywał ręce.

– OK. Szklanek wody i małą szkocką. Czy masz coś do jedzenia? – jej głos był symfonią.

– Tylko *potato chips*.

– Proszę.

Henrico zajął się przygotowaniem zamówienia. Ja nie mogłem spuścić z niej oczu. Wyczuła to. Kobiety zawsze wyczuwały, że na nie patrzę. To było tak, jakbym ciskał w nie okruchy tłuczonego szkła, pluł im prosto w twarz ich małością, jakbym generował niedyskretne wysokie napięcie,

jakbym szeptał: hej! Ciziu, tu jestem! Zawsze reagowały! Najczęściej kuląc się w swym maleńkim *ja*.

Odwróciła się. Spojrzała mi prosto w oczy. Odbiłem jej spojrzenie tarczą wchłoniętej *tequila*. Trwaliśmy tak przez dłuższy moment. W tym czasie zdążyły wymrzeć wszystkie dinozaury, potop zalał połowę Europy, góry Australii porosły aborygenami, Jezusa faryzeusze zaszlachtowali, jak świniaka, Arystoteles przeszedł piechotą Eurazję i dopiero watahy Dżingis-Chana przerwały ten lot ducha historii. Ktoś przyciął knot lampy dnia i zrobiło się przytulnie. Wlewał się do wnętrza pomarańczowy promień obiecującego popołudnia.

Była czystym złotem. Gdybym był jubilerem, od razu przerobiłbym ją na złote łańcuchy, złote wisiory, bransoletki i sygnety. Na wszystko, co powinno znajdować się na oświetlonych wystawach zamiast na szyjach i rękach. Ręce nadają się do kopania złota, a nie do złotych dekoracji. Moje ręce już dzierżą kilof.

Przypominała mi kogoś. Powinienem być już wcześniej opowiedzieć tę historię, jak wyjechałem naprawdę wspaniałą dziewczynę. Niewiele takich wyćwiczył mój baciór. Nie żadna tam wesz, nie żadna tam kurwa. One wszystkie toną w rzece pijanej spermy, nabijając sobie fioletowe sińce na wciąż rozjuszonych pizdach.

To było w czasach, gdy utrzymywałem się z pisania prac magisterskich. Na cipę wołałem wtedy różowość, bułeczka, malutka, muszelka, myszka i sam już nie wiem. Chodziłem wtedy często do kina i zawsze dbałem, żeby mieć czyste ubranie.

Na imię miała tak romantycznie, że nic dziwnego. To była Jasmine. Pamiętam ją doskonale. Nie miałem zresztą wtedy zbyt wielu łóżkowych przygód. Może raz w miesiącu coś podłapywałem. Więc nietrudno mi przypomnieć sobie, jak zanurkowałem w nią do dna, a później otworzyłem jej wspaniałą muszlę. Perła jej pokrwawionej lechtaczki błyszczy do dziś w słońcu mych wspomnień.

Co prawda kutasa miałem w skafandrze, bo nie zażywała żadnych tam pigułek, a dzięki babcinym przesądom myślała, że jak włoży sobie sprężynę, to jej lechtaczka będzie skakać z baru do baru. Te babcie to mają przesady!

Ale w sumie nie przeszkadzało mi to tak bardzo. Pamiętam ją, jakby to wszystko zdarzyło się wczoraj. Była naprawdę piękna i miała klasę, jak niektóre dowody nie wprost, co bardziej skomplikowanych teorii logicznych. Nie wiem, kto wyrzeźbił to ciało, ale musiał być mistrzem proporcji

i znawcą tworzywa. Żadnego nadmiaru, żadnego ubytku. Wszystko na swoim miejscu, w przepięknym kostiumie specyficznej wrażliwości. Rzadko zdarzają się takie arcydzieła. W mojej historii sztuki jebania, gdybym zamierzał taką napisać, znalazłbym dla niej tylko przypisy. Wyjątkom nie należy poświęcać kilku rozdziałów.

Więc podobała mi się niezmiernie. Była trochę nieśmiała. I bojaźliwa, jak dzika sarna. Nie głupia wcale, czytała coś niecoś. Podobno pilna była i zapowiadała się dobrze. Nie jestem w stanie tego jednak zweryfikować. Uśmiech miała jak *abrakadabra*.

Pamiętam, że chciałem się trochę przed nią popisać, więc zaprosiłem ją kiedyś do japońskiej restauracji. Drogo było jak cholera, ale stałem dosyć dobrze. Ryżowy roztwór alka miał mi ją zmiękczyć.

Zamówiłem *sushi*. Na wspaniałej, srebrnej tacy, z uwitym pośrodku gniazdem z posiekanej białej rzodkwi, skośnookie dziewczę okutane w tradycyjne *kimono* podało nam dziewięć gatunków pokawałkowanego, surowego tuńczyka, zimnego i wonnego jak zamaznięty samuraj z odpalonym kadzidłem pod hełmem, które miało za zadanie sprawić jego wrogowi przyjemność swoim zapachem. Wianuszek salaterki ze zwojami warzyw pięknie pokolorował biały obrus. Wtajemniczone witaminy siedziały cicho, ciekawie, co też wydarzy się później.

Przez cały wieczór starałem się być zabawny jak tylko. Najpierw uczyłem ją posługiwania się palczkami. Zademonstrowałem jej ze trzy techniki, udając bywałego mandaryna. Wiem, że jej imponowałem. Przynalęm się bliżej i obejmując ją w pół, układałem w jej niedoświadczonych, delikatnych dłoniach *chopsticki*, jakby to były narzędzia chirurgiczne. Wdychałem energetyzujący zapach jej skóry, przefiltrowany przez szetlandzki sweterek, skropiony święconą wodą *Chanel*. Nasze szyje niemal się splotły.

Tuńczyka zapuszkowaliśmy w konserwie żołądków.

Po tych wszystkich ceregielach zabrałem ją taksówką do mojego malutkiego apartamentu, który wynajmowałem za jakieś grosze od znajomego hodowcy jaszczurek. Funkcjonalnie tam było, choć trochę ciasno. Wcześniej zmieniłem pościel i kupiłem nawet kilka zapachowych świeczek, żeby zapłonęły na grobie jej dziewictwa.

Zabrałem się do niej roztropnie, powoli. Dobrze zanęciłem w tej japońskiej restauracji. Jadła mi już z ręki. Po każdym kolejnym łyku szampana ubywało nam garderoby. Miała na sobie idealnie dopasowany bordowy komplecik. Była gorąca i chciała tego. Przemówiłem jakąś romantyczną rymo-

wanką, której wyuczyłem się specjalnie na tę okazję, a Jasmine w zamian pozwoliła mi zajrzeć.

Jak ona romantycznie kwiliła. Soczek z jej cipki tak cudownie pachniał, że aż żal się robi, że uzbrojonym w gumowy ochraniacz chujem rozerwałem ją w środku, pozbawiając ją raz na zawsze tej dziewiczej koronki. Wywrócone oczy pokazały mi białka.

Cieszę się, że już dawno temu straciłem z nią kontakt. Pozostanie niezmienna. Piękna, świeża, pachnąca. Gdybym spotkał ją dzisiaj, z pewnością bym ją znowu przymierzył. Rozczarowanie moje sięgnęłoby zenitu, bo jej cyce byłyby miękkie jak martwe kalmary. Sprężynowa macica zapraszałaby mnie rozwodnionym ślinotokiem. Wziąłbym ją więc od tyłu i posuwał tak mocno, że gryzłaby poduszkę i kwiczała jak karmiąca świnią. Z głębi dupy wzywałaby tego, co dał się ukrzyżować. W paszczę jej cipy wstrzyknąłbym skondensowany ekstrakt z żółci.

A tak, mogę się do dziś obżerać krwią jej niewinności.

Wokół zrobiło się trochę luźniej. To taka pora zmiany warty przy barze. Mania wyszła, Frania przyszła. Ukradkiem poprosiłem Richarda, żeby zabrał się stąd na jakiś czas. Podpowiedziałem mu, że może sobie trochę popływać, ale był już chyba na to za bardzo pijany. Zmył się w każdym bądź razie. Pożegnał mnie mrugnięciem oka. Takie mrugnięcie czasami wystarczy za uścisk dłoni. Mocny, znaczy szczerzy.

Obmyślałem plan natarcia. Jak to zrobić, żeby nie zmarnować takiej szansy. To złoto pod jasnym *stetsonem* nadaje się przecież na podkowy dla mojego ogiera.

Gdyby istniała maszyna, podpowiadająca, jak wykorzystać wszystkie trafiające się okazje, byłaby ona niemającym precedensu dobrodziejstwem ludzkości. Ja byłbym pierwszym klientem, ale popyt na całym świecie sięgnąłby pewnie setek milionów sztuk, pomimo rozpaczliwej sytuacji międzynarodowej i globalnego kryzysu. Okazje dałyby się wykorzystywać, jak nieletnie dziewczynki w dworcowych toaletach, podczas ucieczki z domu. Maszyna wiedziałaby, jak się do nich zabrać. Nie byłoby straconych szans, goryczy porażki. Z pewnością istnieje już gotowy i chłonny rynek na taką maszynę, bo partaczy jest na świecie tyłu, ile zer na moim koncie bankowym. Tylko że na moim koncie są same zera, a ja mam nadzieję, że nie jestem jednym z nich.

Muszę znowu wynaleźć własne *hokus-pokus*, żeby zainteresować, ale nie wystraszyć, zwabić i nie wypłoszyć. Głuszec na tokowisku, jeleń na

rykowisku, bojownik, choćby w akwariu ogrodu zoologicznego i my wszyscy gramy w tę samą gierkę Darwina. Osobniki nieprzystosowane giną.

Podejrzewam, że to jedna z tych licznie odpoczywających tu Amerykanek. Muszę tym bardziej uważać, bo amerykańska ignorancja w niektórych sprawach jest tak ogromna, jak ekrany ich telewizorów. Potrafią czasami trafnie odpowiedzieć na zadane pytania, ale jest to najczęściej wynik ich specyficznego podejścia do życia, ich specyficznego systemu edukacyjnego, zbiegu okoliczności i w ogóle. Gdybyś spytał Amerykanina, czy na przykład Kopernik jest gitarzystą *Rolling Stones*, to nie martw się, odpowie oczywiście, że nie. Ale odpowie tak nie dlatego, że wie, kim był Kopernik, ale dlatego, że zna na pamięć składy kilku rockandrollowych zespołów. Przysięgam, że nie wie, jakie państwo leży na północ od Meksyku, chociaż wie, że Meksyk leży na południe od Stanów Zjednoczonych. To wszystko tłumaczy.

Chwilę zastanawiam się, jaka też ona może być. Nie lubię kobiet łatwych jak kółko i krzyżyk. Cała gra zamyka się w kilku ruchach. Wygrana nie przynosi satysfakcji. Pożądają ich tak, jak puszek z żarciem dla kotów. Nie lubię jednak marnotrawić czasu, stąd nie przepadam za kobietami trudnymi, niczym nauka obcego języka. Jebanie to nie sanskrycka gramatyka. Chociaż pełne odmian.

Po krótkim zastanowieniu zagaduję w języku Whitmana w taki sposób, żeby zahaczyć o niebo, ale nie indagować o Kopernika.

– Ładna pogoda się utrzymuje. Wspaniały wieczór. Najlepsza pora, żeby trochę gwiazd pooglądać na plaży. Lubię oglądać niebo, szczególnie nocą, a to z tej prostej przyczyny, że kobiety są z Wenus – zaczynam i mam nadzieję, że nie pozostawiam jej zbyt wielu złudzeń.

– A faceci, przynajmniej tacy jak ty, z piekła – odpowiedziała, uśmiechając się delikatnie. – Od razu to po tobie widać. Skąd jesteś? Co to za akcent?

Połknęła haczyk z najtańszą przynętą, jaką miałem do zaoferowania. Dłonie zaciśnięte na rękojeści wędkę. Spławik znika pod powierzchnią wody. Pora zacinać, żeby wbić złote ostrze w mięsisty pysk i ciągnąć z całej siły, nie przerywając kręcenia kołowrotkiem. Dystans pomiędzy nami zmniejsza się w szybkim tempie. Wyczuwam te chaotyczne drgania, chwilami tępy opór i nagle zwroty. Już jest jednak przy łodzi, więc ją podbierakiem. Mam ją w garści.

– Powiedzmy z Europy. Jestem Chris, a ty? – na rozgrzanej patelni skwierczą surowe jeszcze jajka.

– Powiedzmy, że z Kalifornii. Mam na imię Ewa – daje się wciągnąć w smażenie tej jajecznicy.

– Miło cię poznać. Długo już tu? – solę.

– Przyjechałam przedwczoraj, ale dopiero dzisiaj mogłam się ruszyć. Zmęczyła mnie moja dwutygodniowa podróż – miesza.

– Jak to przyjechałaś? – żółtko z białkiem już są za pan brat.

– Zwyczajnie, samochodem. Fakt, szmat drogi – jajka powoli dochodzą.

– Podziwiam! – żółtko ścina się trochę szybciej, więc podkręcam gaz, żeby białko też się ścięło.

– Dzięki! To było niesamowite, ale zastanawiam się, jak teraz wrócę do domu, bo gdy pomyślę o powrotnej drodze, to miękną mi nogi. Przeweniłam własne siły – jajecznicę już gotowa. Teraz tylko *ketchup* lub musztarda.

– Odpoczniesz, zrelaksujesz się, odzyskasz siły – proponuję *ketchup*.

– To nie takie łatwe. Po dwóch tygodniach za kółkiem ma się dość wszystkiego. Mój *jeep* też jest zgoniony – jednak chce musztardy.

– Może mogę ci pomóc. Zobaczymy – ma, co chce. Jeszcze jej miękną nogi od tej musztardy.

– Naprawdę? Cieszę się, że cię poznałam. Może się przysiadzisz? Czego się napijesz? – jaja, nie tylko te na patelni, z radości kurczą się i skwierczą.

– *Margerity*. Polecam ci – już siedzę obok niej. – Henrico robi najlepszą!

Najważniejsze zostało zrobione. Siedzę przy jej stoliku, więc z bliższej odległości mogę podziwiać jej spragnione mojego kutasa usta. Wiem już, jak ma imię. Teraz tylko się modlić, żebym to jeszcze pamiętał wystarczająco długo. Opowiem jej kilka historii. Wyłączę na chwilę projektor w mojej głowie. Sprawię, że będzie magicznie. Spędzimy tu z godzinkę lub dwie. Magia zamówi kilka kolejek. Alkohol pomoże mi usnąć jej króliczą czujność. Zabiorę ją na plażę. Wiatr wieje dziś od morza. Piasek wciąż rozgrzany. Rozbiorę ją do naga. Wykapiemy się przy świetle księżycy. Potem zliżę z niej całą sól. I będę dla niej czuły jak nadepnięta wojskowa mina.

Gdy się obudziłem, łóżko już przestało rytmicznie skrzypieć. Cholera! Nie wiedziałem, że jego sprężyny cierpią na reumatyzm. Nie przypuszczałem, że ją spotkam. I na dodatek zaproszę do swojego skromnego pokoju.

Słońce wlewało do pokoju roztopioną surówkę. Byłem sam. Na poduszce, obok mojej pulsującej kaczki głowy, leżała kartka wyrwana z podręcznego kalendarza.

Gentleman Chaos!

To było niesamowite! Dziękuję ci za magiczny wieczór. Mieszkam w hotelu Agawa. Czy jeszcze się spotkamy?

Ewa.

10. Prawo rozpadu

Spotkałem ją już następnego dnia. Miała coś w sobie, co nie zniechęciło mnie po pierwszym spotkaniu i to pomimo że wylądowaliśmy w łóżku. Cholernie mi się podobała. Może tylko kolor jej włosów, nie za bardzo mi odpowiadał. W każdym bądź razie jej ciało było wspaniałe. Trochę przyduże piersi i za głęboki pępek, którym matka dokarmiła ją w okresie larwalnym. Takie niedoskonałości nie są jednak czymś, co mogłoby mnie od niej oderwać. Nawet psy nie narzekają przecież na to, że puszkowa karma nie jest dostatecznie pikantna. Wiedziałem już zresztą, że smakuje wyśmienicie, niczym martwy, ale ogrzany indyk podczas *Thanksgiving* i to pomimo smutnego widoku obnażonych piszczeli, od których wprawiony rzeźnik odciął tasakien czerwone stopy.

Poszedłem do jej hotelu. Nie było to daleko, ale upał męczył mnie tutaj wyjątkowo szybko. Koszula lepiła się do moich opalonych pleców, a ja najchętniej leżałbym teraz w jakiejś klimatyzowanej kapsule, dźwiękoszczelnej i pachnącej europejskim lasem iglastym. Jednak nie poddawałem się i w końcu doszedłem. W recepcji dowiedziałem się, że Ewa zostawiła wiadomość dla mnie. Wybrała się na jakąś przejażdżkę. Chciała kupić kilka drobiazgów na bazarze i cyknąć trochę zdjęć. Miała wrócić po południu i oczywiście chciała się ze mną zobaczyć. Musiałem odpocząć przed drogą powrotną. Lokal był klimatyzowany. Zamówiłem szklankę lodu umoczonego w *margericie*. Pot na plecach powoli zamieniał się w szron.

Siedząc samotnie ze szklanką w dłoni, zacząłem się zastanawiać po raz ostatni, czy rzeczywiście warto podtrzymać ten kontakt, czy nie wpakuję się w jakieś kolejne trudne sytuacje. Szybko jednak doszedłem do wniosku, że powinienem wykorzystać nadarżającą się okazję. Przynajmniej sobie zdrowo popieprzę. Zresztą nazwała mnie w taki sposób, że chyba rozumie, iż nie jestem kimś, z kim mogłaby wiązać nadzieje większe niż kilka wspólnie spędzonych dni i przede wszystkim nocy podczas naszych wakacji. Ale z kobietami to nigdy nic nie wiadomo. Brzydzą się ich urojeniami jak brudnymi talerzami. *Gentleman Chaos...*

Popijając ten doskonale schłodzony drink, czułem, jak moje ciało znakomicie się relaksuje. W mojej głowie jednak ciągle brzmiały jakieś niedostrojone dźwięki. Przebierałem w złomie zużytych myśli, niczym jakiś pe-

len nadziei śmietnikowy szperacz. Gdybym mógł ten złom sprzedać w jakimś punkcie skupu, nie musiałbym się martwić o byt.

Wszystko było niby to w najlepszym porządku, ale przynajmniej jeden muzyk mojej orkiestry wspomnień fałszował. Przez ostatnich kilka dni znowu dużo myślałem o Soni. Nie wiem, dlaczego zawracam sobie nią ciągle głowę. Dusza karpia jest nieśmiertelna, jak i mulisty zapach jego mięsa Ulatuje z niego prosto do nieba niczym gaz po fasoli z papieskiej dupy. Zdaję sobie sprawę, że związki pomiędzy kobietami i mężczyznami podlegają tym samym prawom rozpadu, co atomy radioaktywnych pierwiastków. Z biegiem czasu rozmieniają się na drobne i drobniejsze, ażeby w końcu przestać żarzyć w ogóle, aby stać się niewykrywalnymi dla najczulszych przyrządów pomiarowych. Tylko dlaczego rozpadły tych małych drobin trwają miliony lat, a związki między ludźmi to tylko mgnienie kilku pór roku, czasami nawet dwugodzinnych, co najwyżej. Dlaczego?

Potem wróciłem do siebie. Spotkałem Richarda, który z zazdrością godną zdradzonej żony zaczął mnie wypytwać, kto to, jak było, czy ją wyjechałem i tak dalej. Na koniec stwierdził:

– Ty to masz chyba chuja ze złota!

– No na pewno nie jest tylko z krwi i kości! – odpowiedziałem.

– Ty w czepku urodzony jesteś, Chris! – śmiał się. – Na tym bezludziu dorwałeś się do pierwszej świeżej suki, która się tu pojawiła, wyruchałeś ją od razu, a na dodatek ona jest naprawdę niezła. Przecież to rarytas niczym kawał sadła z tłustego szerszenia! Teraz te meksykańskie ochlapy pozostawiłeś dla mnie, jak rozumiem. – kontynuował.

– Richard! Wiesz, że nie znam hiszpańskiego na tyle, aby móc się nim posługiwać po ciemku, gdy nie widzę słownika. Znudziło mi się już branie do ręki mojego tłumacza, żeby przemówił do ich szpar. Tobie idzie z nimi znacznie lepiej, bo możesz przynajmniej coś tam wydukać. I rozumiesz je trochę. Lubisz je zresztą! Ja za nimi nie przepadam. Jak kwiczą w moim łóżku w tym ich dialekcie, to nie wiem, czy się modlą, żebym skończył, czy rzeczywiście im się podoba – kończę i śmiejemy się razem.

Zjedliśmy razem *lunch*, wypiliśmy jakieś drinki. Po tym wszystkim Richard zabrał się na plażę, a ja poszedłem do niej.

Gdy ją ujrzałem, była rozpromieniona. Cudowna! Zbiegła po schodach, żeby przywitać się ze mną. Przechodząc pod jej przebraniem sutki spieszyły się jeszcze bardziej niż ona. Już tańczyły, jak meksykańscy szamani podczas modlitwy o deszcz. Wolałbym oglądać to w zwolnionym tempie. Pa-

dła mi w ramiona. Zrobiło się radośnie. Usiedliśmy przy barze, a ona opowiadała mi, jak się cieszy, że mnie znowu widzi, że to wczoraj było jakby nierealne, że dzisiaj kupiła i była, i widziała. Jej monolog był chaotyczny i przeciągał się w nieskończoność podczas, gdy ja nabrałem na nią ochoty. Chciałem się znaleźć pomiędzy jej udami, w jakimś ustronnym miejscu. Najlepiej u niej w pokoju. Wpiłbym się w jej pizdę niczym w *aperitif z pastisa*. Podziwiałbym jej podskakujący kolczyk w pępku. Długo i namiętnie spijałbym podany mi pod nos cipi wywar.

Gdyby jeszcze nie używała żargonu kulturoznawców, czy jakichś innych potłuczonych pseudoekspertów, łatwiej byłoby mi wytrzymać to oczekiwanie na spuszczenie sobie z krzyża. Jednak lepsze to niż umiejętności mojej pierwszej amerykańskiej suki, którą poznałem kilka lat temu. Przez całe dwudziestopięcioletnie życie nauczyła się robić dobrze tylko dwie rzeczy, a mianowicie ciągnąć druta i spać do południa. Chłwała zresztą jak Polak i często rozrabiała. Pokazywanie się z nią w miejscach publicznych było niebezpieczne jak ssanie pełnego odbytu. Można łatwo oberwać.

Ewa jeszcze przez jakiś czas opowiadała mi o cudownych zdjęciach, które udało jej się dzisiaj zrobić, ale w końcu też już nie wytrzymała i zaprosiła mnie do siebie.

Już w windzie odczułem jej pożądanie. Usta miała wilgotne. Cały czas je śliniła swoim językiem, który był wręcz genetycznie zaprogramowany na oblizywanie mojej monstrancji, na pieszczonienie moich jąder, ukrytych niestety w owłosionym worku mosznowym. Wolałbym, żeby ssała każde z osobna i wypluwała po pewnym czasie, jak wypluwa się rybią ość, kiedy one już zwiększą swoją objętość, wprost proporcjonalnie do zwiększonej objętości jej gruczołów mlecznych. Wiedziałem też, że od momentu, w którym mnie zobaczyła, oddychała głębiej, czuła jakieś niemożliwe do zlekceważenia promieniowanie, zatracala się w nawąchaniu mojego potu. Była napalona!

Dotknąłem jej szyi zaraz po wejściu do pokoju. Jęknęła jak zamek dotknięty przed chwilą kluczem. Byłem pewny, że jej cipa już była dla mnie otwarta.

Pod cienkim materiałem jej sukienki czułem jędrne, niczym mięsz dojrzałego ciasta z gliny, pośladki. Z gliny powstały, a w proch armatni je obróć. Kilka niesamowitych eksplozji wstrząsnie już niebawem jej pizdą. Obrabiam ją z wprawą. Gdybym był utalentowanym garncarzem, miałbym niepowtarzalną szansę ulepienia z nich, pierwszej na świecie, pulsującej, glinianej cipy. Ścisła ją rytmicznie, co powodowało, że wyczu-

wałem każde włókno jej mięśni. Były twarde i gorące, kształtne, niczym ząbki czosnku. Ugniatając je, tylko udawałem, że chcę ulepić z nich coś doskonalszego. One już były doskonałe! Żadnych zbędnych gramów, które musiałbym podgryzać, ażeby poczuła moją pieszczotę. Wystarczyło, że zacząłem je ssać i lizać, zaraz po tym, jak ściągnąłem z niej atlasowe majtki, które i tak więcej odkrywały, niż przykrywały. Podwinąłem jej popielatą słonecznoodporną sukienkę i klęcząc w dość ciemnym pokoju, zlizywałem ciepło, którym epatowały. Jej ciało nasłuchiwało gęsią skórka. Ręce zaciskałem na jej udach, przesuwając je centymetr po centymetrze, ku górze. Drżała.

Położyłem otwartą dłoń na jej piździe. Miałem ją już wczoraj, ale byłem zalany i dopiero dzisiaj mogę docenić jej cichomokrą wypukłość. Oparła się rękami o ścianę i rozsunęła nogi. Miałem do niej dostęp, o jaki weterynarz mógłby w nieskończoność błagać niezaplodnioną krowę, a i tak miałby problem z wjebaniem w czeluść jej plackorodnej dupy, swojego szklanego zapładniacza. Nacisnąłem jej wzgórek. Cała moja ręka zatrzęsła się w momencie, gdy przebiegł po jej ciele pierwszy peleton dreszczy. Opuszkami palców głaskałem wrażliwe włosy, przystrzyżone w zwężającą się ścieżkę, prowadzącą mnie do wilgotnego jądra rozkoszy. Jej wargi otworzyły się. Były wywiniete na zewnątrz. Wszystko pokryte było czystym i pachnącym śluzem. Uwielbiam zapach świeżej cipy wilgoci!

Wstałem. Odpiąłem pas. Rozsunąłem zamek niecierpliwego rozporaka. Wypreżyła swój idealny kuper w moją stronę. Uwolniłem granitowego chuja, gorącego jak rozgrzana słońcem ateńska kolumna. Wsadziłem go. Wszedł gładko. Do samego sufitu jej pizdy. W jej oczach zapaliło się światło pragnienia.

Zacząłem ją pieprzyć. Wolno, ale zdecydowanie. Ona oparła policzek o ścianę. Ssała swój palec. Oczy miała już teraz zasłonięte żaluzjami powiek, ale wiedziałem, że nadal świecą tam żarówki jej chcicy. Napierała zachłannymi sutkami na chropowatą powierzchnię tapety. Trzymałem oburącz jej pośladki. Mocno je ugniatałem. Poślinionym kciukiem pieściłem oko jej dupy.

Gdy trochę przyśpieszyłem, orgazm jebnął w nią z całej siły! Jej pizda szalała, pulsując, jak stroboskop w dyskoteci. Jej mięśnie radośnie ścisnęły moją pałę w miarowych skurczach. Gdyby w dupie miała rozciętą na pół cytrynę, to osuszyłaby jej mięsz rytmicznymi ścisłkami zwieracza. Był tam jednak mój palec. Nie mogła się zesrać w tej chwili!

Pierdoliła coś bez sensu, że to takie metafizyczne, że pierwszy raz coś takiego, że dobrze. Jęcząc przeciągała zgłoski. Rzęziła jak *jam session* rozstrojonych instrumentów. Wszystkie dźwięki zlewały się w jedno wycie. To było jak bełkot Heideggera.

A ja posuwałem ją w dalszym ciągu, jak rozpędzony nosorożec. Dyszałem już, jakbym był dyszą samą w sobie. Mdląła w moich rękach. Spazm jej przyjemności spierdolił tak szybko, jak ostatni pociąg, na który zdarza nam się spóźnić.

Jej wagina była wypełniona gęstym, słodko-kwaśnym wytworem piżdzianej flory bakteryjnej, o konsystencji gorącego budyniu. Dobrze mi się ruchało. Choć przestała się już wić, jak ludzka glista w rozrzedzonym gównie, to nadal mogłem nozdrzami wdychać jej przepracowany pot. Jej sukienka zapamięta go na długo.

Nie jesteś w stanie wyobrazić sobie przyjemności mojego kutasa. Urósł z dumy do rozmiarów, o jakie modlą się giboniaste bezmózgi, z ogolonymi klatkami kompleksów, w śmierdzących siłowniach. Jebałem ją z mieszanym akcentem. Na dwa, na trzy, na pięć i szybko, szybko. Na dwa, na trzy, na pięć i szybko, szybko. I szybko, szybko! I szybko, szybko! I szybciej! I szyyyyyciej! I szyyyyyyyciej! Raz, raz, raz, raz, raz, raz, raz, raz, raz, raz, raz, raz, aż znowu nią zatrzęsło, jak Francją po ostatnich wyborach. Już nie wiedziała zupełnie, o co chodzi. Włączyłem autowyzwalacz. Wiedziałem, że trysnę za trzydzieści sekund. Jeszcze kilka pchnięć! Mocno! Mocniej! Najmocniej! I jeb! Szarpnęło mną jak pasażerem wykołującego się tramwaju. Zdychając z rozkoszy, upadliśmy na podłogę. Dobrało się do nas bezlitosne prawo rozpadu przyjemności.

Tak było za każdym razem, gdy tylko się do niej zbliżyłem. Niezależnie od plenerów, w jakich się znajdowaliśmy, seks z nią działał na mnie tak orzeźwiająco, jak chcieliby producenci *coca-coli*, żeby ta działała. Przeżycie zawsze było tak intensywne jak smród przenoszonych skarpet i mocne jak wiara w wygraną, nałogowego hazardzisty. Nasze ciała dość szybko się zaprzyjaźniły, opowiadając sobie tarciami skóry, najskrytsze tajemnice, najdziwniejsze przygody, najbardziej urojone marzenia. Przegadywały całe noce. To pierdolenie zapamiętam na zawsze.

Po trzech tygodniach tej sielanki zdecydowałem się w końcu pojechać z nią do Kalifornii. Musiała wracać. Zapraszała mnie z taką szczerością, jak polscy biskupi zapraszają to próchno z Watykanu, owinięte w białe szaty politycznych prowokacji. Nie mogłem odmówić. Wiedziałem, że jadąc tych

kilka tysięcy mil jej *jeepem*, wytrzęsie mnie, jak papieską laskę wytrzęsą ręką, przyzwyczajona do walenia konia. Ale lepsze to, niż zostać tutaj.

Zegnałem się z Richardem dwa dni, pijąc do nieprzytomności. W amoku mówił coś o tym, że jak tylko wróci z powrotem, to zafunduje sobie najpierw dymanie tysiąclecia, a potem będzie prosił o rękę Margot, naszą wspólną znajomą. Coś mu tam niby napisała w e-mailu, że czuje się samotna, że się starzeje, że może czas się ustatkować, ustabilizować. Nigdy bym jej nie posądził o takie słowa, a już na pewno nie posądziłbym Richarda o przyszłość, którą sobie przepowiadał. Wiem, że bardzo ją lubił, a nawet podziwiał. Nie wiedziałem tylko, czy chce zrobić to dla siebie czy dla niej. Egoizm i altruizm to jednak to samo. Tylko że dla mnie o wiele łatwiejsze jest wrzucenie monety do czapki bezdomnego śmiecia. Niestety rzadko mam przy sobie drobne. Co innego on. Jak mógłby matematyk nauczyć się rachunku prawdopodobieństwa z pustym portfelem? Sam brałem kiedyś korepetycje z podrzucania monety.

Życzyłem mu wszystkiego najlepszego, ale nie wierzyłem, że coś z tego wyjdzie. Wiem, że już kiedyś udawał, że coś więcej, niż zwykła wymiana płynów, łączyło go z pewną kobietą. To w sumie wrażliwy człowiek i nie chciał jej rozczarowywać zbyt szybko. Znał historię jej nieudanego życia. Dawała w kanał dość ostro, jako nastolatka, włócząca się po różnych *squatchach* w całej Europie. Później, gdy chciała się ustawić, podfrunęła do jakiegoś faceta z kasą. Chciała dać mu cud, ale wycisnęła ze swojej szpary jakieś miękkie kosteczki w różowym, pomarszczonym opakowaniu, które szybko ostygły. Gdy przynieśli je w godzinę po porodzie, były sine i zimne, niczym larwa listopadowej ćmy. Na ten widok zwiędły nawet kwiaty od ojca w zdezynfekowanym wazonie. Gość się wyprowadził, a Richard poznał ją przypadkiem, jakieś dwa miesiące później. Nie przeszkadzało mu to jednak w posuwaniu w dalszym ciągu swojej asystentki i jej przyjaciółki. Ot, takie życie.

Podczas tej ostatniej naszej wspólnej meksykańskiej biby wspominaliśmy też długo młodzieńcze czasy, kiedy udawaliśmy *braminów*, spijając najtańsze wina w bramach domów, na klatce schodowej Instytutu Filozofii, na deptaku przed Katedrą Logiki, poszukując w nich definicji szczęścia czy też przyczyn fenomenu przyjaźni. Najlepsze nasze lata sprawiały wrażenie niekończącego się pikniku. Wspólni znajomi, wyglądem częściej przypominający wtedy drobnych złodziejasków niż studentów dobrej uczelni, rozpierchli się już jednak po całym świecie. Chyba nigdy nie uda się zno-

wu spotkać w takim zespole. A ileż to rzeczy było wtedy łatwiejszych! Lubilem te wspomnienia. Chyba tylko te lubilem.

Skusiłem się zatem wizją samochodowej przygody. Zdażyłem zresztą nawet polubić Ewę. Z perspektywy czasu, muszę jednak stwierdzić, że podróż była naprawdę męcząca. Zdarzały się sytuacje, w których już chciałem szczerze zrezygnować. Wkurwiała mnie dość często. Jadła za dużo orzeszków, miała pretensje, gdy piłem przed południem, prała ciuchy na każdym postoju, fotografowała numery fabryczne każdego napotkanego przydrożnego automatu telefonicznego, codziennie uprawiała *jogging* i, na dodatek, dostała najdłuższego okresu w jej życiu. Podobno. Trwał sześć dni.

Jednak zostałem i dotrzymałem do końca. Z drugiej strony bowiem, miała ciekawy punkt widzenia na wiele tematów. Nie znałem zbyt wielu kobiet, z którymi zgadzałem się w tylu sprawach. Znajdowałem nawet przyjemność w prowadzonych przez nas dyskusjach. Odżywałem od nich, jak odżywa półżywa nerka, wycięta z ciepłej jeszcze padliny i wszyta w miejsce jej braku żywemu pacjentowi. Miała błyskotliwe riposty. Filtrowałem jej słowa, rozdzierałem na te, które mogą mi się przydać, jak i na te, które mogłem puścić mimo uszu. Tych drugich było oczywiście zdecydowanie więcej, ale kilka rodzynek, które mi ofiarowała, było godnych mojego poświęcenia. Opowiadała mi o swoich mikroproblemach i stosowanych przez nią mikrorozwiązaniach. Wierzyłem w to wszystko, jak wierzyłem w możliwość wejścia na drabinę bez szczebli. Mocno. Poza tym nie kosztowała mnie ani centa. Pomimo że przepuszczała na mnie całkiem sporo kasy, robiła to z przyjemnością, z jaką ja z tego korzystałem. Byliśmy zadowoleni ze swojego towarzystwa.

Dowiedziałem się w międzyczasie, że zrobiła za grube pieniądze antropologiczne badania dla amerykańskiej armii. Zdobyła *grant* na jakieś opracowanie struktury etnicznej, płciowej, seksualnej, wyznaniowej w oddziałach szybkiego reagowania.

Okazuje się, że na całym świecie instytucje rządowe starają się kasą zamydlić oczy. Oczywiście te wszystkie wydatki na kulturę, na tak zwane bloki nauk humanistycznych czy takie badania właśnie, to tylko wyrabianie alibi, dla innych potłuczonych praktyk, z praniem mózgu na czele. Jak bezsensowne są tego rodzaju zagrania, codziennie przekonują serwisy wiadomości. Wszak opłacanie agencji BHP przez fabryki i wszystkie inne zakłady pracy oraz tworzenie wszelkiego rodzaju instrukcji bezpieczeństwa również nie zapobiega ucinaniu rąk, nóg, wciąganiu za włosy przez koła zama-

chowe mechanicznych ludożerów, zgniataniu dłoni przez automatyczne prasy, wykrzywianiu kręgosłupów w biurowych fotelach, czy kurzej ślepotcie подарowanej przez monitory komputerów. Ale przynajmniej takie błękitne ptaki, jak my, mogą się na tym paść! Rządy wszystkich ukonstytuowanych republik są tak samo obłudne, jak faceci marnujący pieniądze na cięte kwiaty, kolacyjki i romantyczną parafinę oraz parafrazujący kawał o zabie, szerokoustnej i zielonej, mówiąc kobietom, że są piękne i mądre, tylko dlatego, że chcą się wbić w ich pulsujące dziury!

Podróż zapowiadała się i była ekscytująca. Nie można się było nudzić. Przejeżdżaliśmy przez tereny tak dziewicze i piękne, jak nieświadoma orgazmu piętnastoletnia pizda i zarobaczywione ludzkimi pasożytami, niczym nieopryskany zagon chwastami albo powojenna Europa kalekami. Robiło się wtedy nieprzyjemnie gęsto, tłoczno i głośno. Uwielbiałem próżnię na ściegu czarnej nitki szosy, wszytej w rozgrzaną słońcem piaszczystą sukienkę kaktusowej pustyni. Uwielbiałem nadlatujące ćmy nocy, z którymi zderzaaliśmy się każdego dnia i rozgniataliśmy w pościeli tanich hoteli, ciepłą *whisky*, popijaną z gwinta, i muzykę na cały regulator, podczas gdy Ewa prowadziła. Ból w krzyżu odczuwałem dopiero wtedy, gdy zatrzymywaliśmy się na jakąś dłuższą chwilę w jednym miejscu. Leniwe i pomysłowe zarazem ptaki przysiadły wtedy na masce naszego pojazdu i pożerały spore porcje podsmażanych, darmowych steków z much, komarów i innych rozbitych insektów, podczas gdy my relaksowaliśmy się tarzaniem na skrzypiących łózkach. Trwało to prawie dwa tygodnie i było tak boskie, że śmiało mogłoby być scenariuszem najbardziej kiczowatego filmu, jaki zdarzyło by mi się obejrzeć w życiu. Tylko że to działo się naprawdę!

Mieliśmy też podobny gust literacki. Po wymienieniu kilkunastu tytułów jednogłośnie i szybko przyznawaliśmy im status literatury na duże el, jak „Lepiej już nie można”, na małe el, jak „lewatywa przyjemna”, i na gie, jak „gówno po niej”. Faktem jest, że nie lubię takich podziałów, ale trzeba przyznać jednak, że większość tego, co się ostatnio wydaje, to mdłe popłuczyny. Tylko czego można spodziewać się po burakach?

Zobaczenie Wielkiego Kanionu po raz drugi też zrobiło na mnie o wiele większe wrażenie niż za pierwszym razem. Chyba dopiero teraz mogłem dostrzec ogrom tej konstrukcji i niepowtarzalność poszczególnych fragmentów. Jego głębokość już mi nie przeszkadzała. Mogłem dojrzeć nawet jego dno. To tak, jak przy pierwszym oglądzie dziewiczego lasu, nie jesteśmy w stanie go zobaczyć, bo ogromne drzewa nam go zasłaniają. Za drugim

razem widać z kolei dokładnie każde drzewo w lesie. Ograniczone są możliwości zaskoczonych percepcji.

Ona też była zaskoczona, gdy usłyszała w końcu ode mnie, że dłużej już nie mogę. Wszystko oczywiście zwałem na niepisane władcze prawo rozpadu. To znaczy, powiedziałem jej, że lepiej by było, aby ono nas nie dopadło, i dlatego nie powinniśmy przedłużać tego naszego wspólnego bycia. Było dobrze, a nawet, że nie wypowiem, ale już pora to przerwać. Koniec wakacji! Dość już tego wszystkiego!

Nie wierzyła, że podobne prawa istnieją. Zdawała się na kicz kontyngencji, nie dostrzegając, że właśnie dzięki odkrytym przeze mnie już dawno temu zależnościom, ukrytym regułom zanikania, ma on w ogóle prawo bytu! Nie miałem ochoty jej tłumaczyć, że nasze rozstanie jest równie przypadkowe, jak nasze pierwsze ruchanie. Jedyne, do czego byłem zdolny, to powiedzieć jej, że to już koniec, że nic i nikt nie dopisze już do naszej historii kolejnego zdania, nawet kolejnej kropki. Poranna kawa będzie kropką ostatnią!

– Ta Iza niepotrzebna jest, Ewo – uspokajałem ją.

– I ta, i ta, i ta również – dodawałem.

Potem, po raz ostatni zasnęliśmy wtuleni w siebie, niczym embriony bliźniąt. Śpiąc przytrzymywałem nogami jej ciało, jakbym instynktownie bał się, że może gdzieś uciec przed porankiem. Długo nie będę miał kolejnej okazji do uprawiania tej gordyjskiej sztuczki. Ona jednak nie miała najmniejszego zamiaru tego uczynić. Wczepiła się we mnie zaciśniętą piąstką i śniła koszmar naszego rozstania po stokroć. Trzęsła się przez całą noc jak zmarznięta mysz. Zrobiło mi się jej cholernie żal i to utwierdziło mnie w moim postanowieniu pozostania w jej pamięci doskonałym *Gentleman Chaos*... Już nigdy nie spotka takiego faceta, jak ja.

Następnego dnia dałem jej szansę zweryfikowania snów. Staralem się nie zauważać jej zatroskanej miny, jej nieudawanego zaskoczenia. Nie dałem po sobie poznać, że w serwowanych przez nią wraz ze śniadaniem pytaniach, znajduję nutę rozczarowania, że wiedziałem dokładnie, iż na siłę przedłużała te ostatnie chwile, wymyślając raz po raz jakąś nową historyjkę, której to wcześniej mi jeszcze nie opowiedziała, a nawet mówiąc o wiele wolniej niż zwykle i przeciągając zgłoski. Pozbierałem się w końcu tak, jakby nic nadzwyczajnego nie działo się w tej chwili, i udawałem przed nią, że zapisuję numer jej telefonu. Ubrałem się i odszedłem, jak srebro od lustra w zawilgoconej łazience. Naturalnie.

11. Wścieklizna słownika

Z trudem wyciśnięty stolec w brązowym, lśniącym, odświętnym, rozpoczyna w porcelanowym kurorcie podróż po labiryncie podziemnej melioracji.

Sny i majaki już w piżamkach, pod kołdrą, w sypialni wytapetowanej setkami fiszek, z dywanem niedokończonych książek z nadwagą, z usytuowanym pośrodku wysypiskiem śmieci i popielniczką, papierosów cmentarzem. Wieczorna łazienka szepcze dobranoc zmęczoną twarzą z zachlapanego lustra. Roztargniona i leniwa szczoteczka do zębów znowu zapomina umyć mi zęby. Spuszczam żaluzje oczu głodnych snu, wypełnionych argonem dla zachowania energii i izolacji od hałasu nocnej lampki.

W tym samym czasie Kuba Rozpruwacz przestępuje z nogi na nogę w nieoświetlonym zakamarku neonowej ulicy *mass mediów*. Przechadzający się małżopodobni nie zauważają jego krwiożądnych zamiarów. On czeka spokojnie na swoją ofiarę.

Pewna *Madame* wybiera się na wieczorny spacer. Dezodorantem milczenia i suknią zakazu obwieszcza światu swoją obecność. Ludzie rozstępują się na jej widok i omijają z daleka jej wykwintny strój, szyty na zamówienie stróża porządku w najlepszym zakładzie kroju kodeksów i przepisów. Niczego się nie spodziewa.

Kuba Rozpruwacz dopada *Madame Tabu* tuż za rogiem piekarni opisów. Zwiniętym starym słownikiem zatyka jej usta. Już mu nie ucieknie. Płachtą żaglowego płótna przykrywa jej oczy. Nawet on nie znosi niemego błagania o litość. Kolanem przytrzymuje ją na mokrym bruku chodnika tradycji. Chmury krytyków zlały się popołudniu kwaśnym deszczem. Nóż w jego ręku rwie się do dzieła. Uderza. Zakrzywione ostrze przebija szaty konwenansów. Gumka bielizny wstydu pęka. Widok jej łonowych włosów tylko go ośmiela. Nacina okolice pępka, żeby wydobyć z niej zwoje jelit, przypominające odświętną białą kielbasę. Przetrawiona papka z filistra wybiega z nich, podczas gdy ona jeszcze oddycha. Pierwsze drgawki przerażenia i bólu przebiegają przez jej ciało. On prosi ją, żeby umierała długo. Będzie jej jeszcze łamał kości. Będzie ją obierał ze skóry. Odetnie jej uszy. Odgryzie jej sutki. Wyrwie jej język i wylupie oczy, żeby wbić w jej łono pustą butelkę i zgnieść ją obcasem. Dopiero wtedy pozwoli jej ostygnąć i odejdzie w spodniach wypełnionych lepkiem kisiem zadowolenia. Cham-

skie i wulgarne nazewnictwo ustępuje miejsca śmiałym deskrypcjom. Podobieństwo imion i zbieżność wydarzeń mogą być przypadkowe.

W dzielnicy cudzoziemców Kamil zaszalał wśród drobnych barów kie-szeniami pełnymi drobnymi. Miał szczęście. Spotkał łaskawcę, honorowego dawcę. Pozwolił sobie fundować puchary pełne ulubionych trunków. Dyskusa schodziła długimi schodami, po stopniach upicia i zdeptanym dywanie samczej ciekawości, z literackich wyżyn w okolice anatomii burdela. Daje się namówić i wraz z dwoma prezesami międzynarodowych korporacji oraz właścicielem punktu skupu przeszłości, który niestety zbankrutował, cumują tak-sówkę przy jednym z nich. Bar oferuje pierwszorzędny wybór bielizny. Po kilku kolejkach drzwi zamknięte, okna zasłonięte, ciała umyte, „na co masz ochotę?”. Więc wdrapuje się na podpite dziewczę i zapuszcza w jej szparę pijany peryskop. W międzyczasie dowiedział się, że to dziewczyna gangstera, który siedzi obecnie na więziennej pryczy. Za niewinność. Niewinność zastrzelonego właściciela kantoru. Kondom wypełnia się charą obrzydzenia.

Noc wleczę się swoim tempem. Nadlatują stada snów. W jednym z nich jestem zaniedbanym, brudnym kozłem w zagnojonej stajni, do której wchodzi blondwłosa dziewczyna. Zbliża się do mnie, a ja nie mogę ukryć mojego nabrzmiałego wstydu. Jej dziewczęca twarz rumieni się. Zadziera sukienkę i podsuwa się pode mnie. Zapach dziewczęcej, gładkiej skóry miesza się z zapachem stajni, symfonii skisłego moczu, gnojowicy i przetrawionej słomy. Chciałbym jej powiedzieć, że tak nie można, ale jestem tylko kozłem. Moje meeee w niczym nie przypomina ludzkiego języka. Widzę, że ona drży, ale wyraźnie tego chce, więc czerwonym jak korale jarzębiny, zaostrozonym jak język starego świntucha, penisem wchodzę w jej mięsistą niewinność. Podrygujemy nierytmicznie. Kozłowi ser schodzi z mojej żołądki. Jej zaciśnięte wargi, zamknięte oczy i nieznan mi grymas na jej twarzy mówią same za siebie. Tryskam strumieniem rogatych plemników, a ona szybko wysuwa się spode mnie i ucieka z płaczem. Podczas gdy po jej młodziutkich udach ścieka białawy potok gęstego uzależnienia, ja zaczynam skubać świeże siano, a mój kutas chowa się w kieszeni wspomnienia. Nie martwię się wcale. Wiem, że znowu tu przyjdzie. Już się od tego nie uwolni.

Edith upiła się również dzisiaj i z młodym studentem inżynierii środowiska, o wyrazie twarzy tak tępym, że nie kształciłbym go nawet na konstruktora obozowej latryny, wybiera się na kolejną wspinaczkę na dziewiąte piętro betonowego wieżowca. Zaczepił ją w irlandzkim pubie. Nasąpią się wystarczająco mocno, zanim na szczycie obcości, powiedzą sobie: „nie dzwoń...”.

W kolejnym śnie wydrukowana książka ma twarz kobiety. Wydaje się nawet interesująca, ciekawa. Zaczynam ją czytać, ale to mi nie wystarcza. Więc czytam ją na różne sposoby, od przodu, od tyłu, powoli, pośpiesznie, po lebkach, poważnie, na ławce i w łóżku, w samochodzie i w toalecie, niewinnie i perwersyjnie. Dyszymy już razem od tego czytania. Turlamy się i obmacujemy nawzajem pod hermeneutyczną koldrą. Jej wilgotna fabuła wciąż mnie pobudza. Między jej owłosione okładki wlewam gorącą treść, a ona zdmuchuje rzędy liter ze swoich pośladków. Odstawiam ją na półkę. Nie nadaje się na moją *Sensible*.

A noc ciągle wleczę się swoim tempem.

Na Bliskim Wschodzie Amerykanie instalują kolejną fabrykę wdów. Serwisy informacyjne informują dwadzieścia cztery godziny na dobę. Politycy laszą się obniżonym podatkiem, kroniki kryminalne alarmują morderstwami, pogoda płata figla stacjom meteorologicznym. Nic mnie to jednak nie obchodzi. Śpię sobie spokojnie. Mam równy oddech. Odebrałem dziś przecież pozytywny wynik testu na obłąd.

Ulice zastygłe w misternej kombinacji opustoszałych skrzyżowań zapaliły latarnie, pod którymi najciemniej. Chodniki inkrustowane zwierciadłami kałuż, w których przeglądają się podstarzałe gwiazdy, robiące sobie odmładzający *make-up* na wieść o spotkaniu z teleskopem astronoma. Firanki chmur odsłonięte. To będzie widowisko. Podglądana sypialnia nieba odsłania dwie spółkujące komety.

Sonia układa zasuszone kwiaty. Piękny bukiet jej wrażliwości nabiera formy. Forma nie potrzebuje podlewania treścią. Sonia jest sama. Właśnie dzisiaj straciła etat w prywatnym liceum. Odstawia na półkę „jakoś to będzie” lęk o przyszłość. Ciepły piasek plaży nad morzem wspomnień ze wspólnie spędzonych wakacji, koi ją. Uzupełnione notatki w dzienniku, posegregowane w rubryki wydatków, przychodów, zakupów, odzieży, żywności, oszczędności, udają, że wszystko jest w porządku. Jednak drzazga uczuć ropieje. Jednak kocha mnie nadal.

A ja, zamiast spać, powinienem być dziś burzą. Sztormem. Powinienem ciskać gromami. Błyskawicą rozłupywać czarne sklepienie nieba. Powinienem powalać drzewa Chlusnąć miliardem ciężkich kropel na dachy domostw, na opustoszałe ulice. Zrywać za pomocą szaleńca wiatru linie wysokiego napięcia. Hukiem straszyć dzieci i modlące się stare baby. Szaleńczą furią oznajmiać mą siłę. Grzmieć! Burzyć! Przewracać! Ogłuszać! Rozbijać! Ta noc się do tego nadawała.

Buty, które wyżebrały *weekendową* wędrówkę w górach, mają teraz szansę odpocząć. Nie mam pojęcia, dlaczego się zlitowałem. Plecak i bilet na brudny pociąg. Cztery godziny marszu pod górę, dwanaście postojów, przepiękne widoki. Tego mi wcale nie było potrzeba. Herbata z rumem, zupa grochowa. Trzy rolki filmów, których nigdy nie wywołam. Miętowa mgła, pół kroku do nieba. Przepocona koszula flanelowa, która nie pamięta, kiedy. Po co to wszystko? A na dodatek, ten odpoczynek śmierdzi mi teraz w całym mieszkaniu.

A ja śpię. Nie byłem nawet w stanie wybredzić jakiejś recenzji nowego wydania *Finnegans Wake*, żeby jutro zgnać srebrniaki za włąką wierszówkę. Nie byłem w stanie nawet wyjść z domu, żeby spotkać się z kimkolwiek. Obiecałem przygotować jakieś wystąpienie, podczas którego miałem ponarzekać na to, co w ciągu ostatnich dwudziestu lat Europejczycy zrobili ze znakiem. Nie byłem jednak w stanie nawet o tym pomyśleć. Jakieś niejasne wizerunki, okaleczone portrety i melodyczne rymy Rilkego, uśpiły mnie bez większych trudności, zanim skończyły się papierosy. Litość dała mi się we znaki.

Mój ulubiony pisarz, Nocny Mar, umieszcza mnie w obrazie z przyszłego tygodnia. Jestem przekonany, że to wydarzyło się naprawdę. Mam dobre ujęcie, więc widzę to wszystko z bliska.

– Uważaj! To może boleć! – powiedziałem i wprułem się w jej luźny, sześćdziesięcioletni, płytki, jak Manuela od gęsiego pióra, zwieracz, pełny brązowej kaka. Mój wycior krzyczał do mnie jej popsutymi zębami, jej rozdziawioną mordą.

– Chris! Ty parszywcu! Ty matkojebco! O, kurwa! Synu!

Spieniona ślina, zmieszana z błotem i bagienną rzęsą, którą uprawia, w głębokich dziurach jej brunatnych zębów kapala, niczym u wściekłej samicy tapira, na obierki ziemniaków. Gdy ją tak posuwałem, pomyślałem, że stary by mnie zapierdolił w tej chwili, gdybym go nie porąbał z drewnem na opał cztery lata temu.

Wyciągnąłem po chwili swojego bacióra i kopnąłem ją w zwiędłą klatkę, wysuszoną, jak *potato chips*, z dwoma grudkami czerwonej papryki. Padła jak jebnięta paralizatorem przedświąteczna świnka. Bez kwiku.

Widok był przerażający, niczym widok czterolatka spadającego z szeroko otwartymi oczyma z drugiego piętra bloku, podczas ucieczki przed swym pijanym ojcem. Nawet jądra miałem ubabrane w matczynym gównie. Obtarłem je podłogową szmatą i zapaliłem papierosa.

Przyglądałem się jej. Tej kupie półżywego gnoju, z którego wyczołgiwałem się kiedyś trzy godziny, srając z bólu i strachu w czeluść jej ciemnej macicy.

Zgasilem papierosa na jej policzku. Coś musi po mnie pozostać. Więcej tam nie pojedę. Wychodząc połamałem dwie ostatnie zdrowe łapy wyleniającej suce. Już się suka nie ruszy! Już nie zaszczeka!

Nocny Mar mnie zapytał:

– I co? Trzęsą ci się ręce? To dobrze! Włóż je do galaretki twoich majtek i sprawdź, czy jest brązowa.

Dopiero nad ranem przekonałem się, że była. Ale to było w przyszłym tygodniu. Noc nadal wlecze się swoim tempem. Ja śpię, udając trochę obrażonego na matkę naturę. Właśnie niedawno zdałem sobie sprawę, że popełniła błąd. Niewybaczalny błąd! Zamiast wyposażyć mnie w pojemny twardy dysk, na którym gigabajtami pamięci mógłbym zapisać miliony zdarzeń, dała mi twardego kutasa, który nawet we śnie. I nie ma żadnych części zamiennych.

Księżyc posypuje sadzą zapuszczony ogród kłamstw. Noc się do tego nadaje najbardziej. Chwasty na grządkach dokarmione skrawkiem ciepła. Plony stoją pod znakiem zapytania o cel. Cel z rodziną wyemigrował, bo tu wszystko zbyt późno przychodzi, zbyt łatwo staje się niedostępne. Tu odechciewa się, zanim zaczniesz się chcieć naprawdę. Tam chyba będzie mu lepiej. A ja, na szczęście, znowu nie będę musiał zbierać.

Mary, znudzona niedorozwiniętą książką, zasnęła dość wcześnie. Nikt nie przeorał jej dzisiaj, niestety. Nawet poezją. Jej cipa obudzi się zagniewana.

Na Międzynarodowym Zjeździe Karłów impreza w toku. Część oficjalna dawno zamknięta. Była kolacja, na której *spaghetti* zrobili z czegoś bardzo cienkiego, być może z włosów ogolonego anioła. Na niektórych porcjach było bardziej czerwono, ale nie umiem ci powiedzieć, czy to były nierówne dawki sosu czy może tylko bardziej obfita menstruacja, co niektórych talerzy. Teraz w małych grupkach, małe dziwolągi dyskutują o poważnych sprawach. Niektórzy odczytują swoje wiersze, skomplikowane jak rozkłady jazdy śródmiejskiej kolejki. Ludzkie miniatury, przyglądając się którym, przecierasz oczy, bo boisz się, że zmiały ci soczewki, bawią się dobrze, niczym publiczność na ich cyrkowych występach. Piwo się nimi brzydzi. Ale któż się nie brzydzi? Karłowatych odpowiedzi, karłowatych komentarzy...

Mój *Doppelgänger*, choć ciągle na smyczy, zamienia się w paranoika, który potrafi zgubić się nawet w swej swędzącej próżności. Nie podrapie go jednak nawet przecinek, bo właśnie zmienił zdanie. I jego znaczenie.

Ludwig i Monik, w poduszkowej dyskusji, zapamiętali się troszkę. On się dowiedział i zaczął oskarżać. Jednak zmarszczka na czole, nie wiedzieć dlaczego, bo nieświadoma czasu, jak nieświadome są wskazówki zegarka, dała im do zrozumienia, że jest już za późno. Nie mówi się źle o zmarłych, a żywych oszczędza. Nawet jeżeli ich wspólny trzykilowy cud, gdy go przynieśli, był zimny, siny, nieruchomy i lisy, niczym larwa listopadowej ćmy, to nic już na to nie poradzą. Jemu pomoże *mechanizm projekcji*, tak dobrze znany domorosłym psychiatrom. Ona nie potrzebuje. Będą się starzeć razem.

Miało być o wściekłości. Słownika. Cholera! Popieprzyły mi się rozdziały. Choć jest jeszcze kilka wściekłych słów, które drzemią ukryte w zmarszczkach opróżnionego jelita grubego.

12. Solniczka życia

Nie, nie wytrzymam tego. Znowu! I nie wiadomo, o co właściwie poszło! Czulem, jak to się zbiera, nadchodzi... Niepowstrzymywalna fala cichej i podstępnej furii!

Wyświechtana marynarka, ta o której od pierwszego wejrzenia wiedziałem, że żyję z nią na dobre. Starając się nie myśleć, szybkim krokiem, do knajpy. Chodnik, który znam na pamięć. Betonowe płyty, na których krawędzie nigdy nie następuję. Drzewa przez psy obficie.. Jeden skok przez fabularny trawnik. Mój zegarek się śpieszy. Po dziesięciu minutach wchodzę i nie rozglądam się. Wszechświat skurczył się za bardzo, żeby jeszcze zwracać moją uwagę. Wszechświat jest tylko ślinotokiem.

Półka za barem oferowała wybór kilkunastu butelek pełnoletnich *whisky*. *Lavazza* ekspres, sycząc, zapraszał do kawienia. Szklanki ustawione denkami do góry, wypolerowaną modlitwą, błagały o odkorkowaną butelkę, denkiem do góry.

Siadam przy marmurowym blacie baru, na jedynym wolnym hokerze, jaki udało mi się wypatrzeć pomiędzy nogami rozweselonych alienów. Czuję się, jakbym został specjalnie umieszczony w samym środku tłumu, który mnie otacza, jakby moja głowa znajdowała się w punkcie ostrza cyrkiła, rysującego zamachem ramienia, wyimaginowane koło. Jestem nagi, jak rzadki znaczek na filatelistycznej wystawie lub ciało pomarańczy, obranej ze skórki przez śliniącego się szympansa. Wzrokiem dosięgam zastępu butelek.

Na początek ten pierwszy. Trochę niedobry. Po pierwszym nie zagryzam, po drugim mówię wierszem, po trzecim biorę czwarty, a po czwartym, nigdy nie zakańczam. Skupiam się na różnorodności. W końcu się odprężam.

Podczas gdy studiowałem nazwy alkoholi, te wszystkie twarze wokół zamieniły się w parną, gęstą mgłę. Moja nagość straciła wyraźne kontury i rozplynęła się w miąższu okalającej mnie ciasności. Wewnętrzny On podpowiadał mi, że to znowu ten dzień, gdy *two shots* to za dużo, bo potem wiadra będzie za mało. Wiedziałem dobrze. Premedytacja w picciu jest jak przekraczanie prędkości na terenie zabudowanym. Pijani tancerze wiejskich przytupanek rozsiani po sobotnich rowach bezkسیężycowej nocy.

Dziewczyna precyzyjnie się subtelnie.

Najtańszy *Jack Daniels* przysiadł się do mnie na trochę dłużej, a dziewczyna przecisnęła się znowu subtelnie, tyle że w drugą stronę, podczas gdy wagoniki mojej błękitnej krwi przyspieszyły stukot tętnienia. To jest tak, że czujesz się jak na lotnisku, machając seledynową chusteczką, zasmarkaną w jednym rogu, na pożegnanie swoich żalów, odfruwających Gdzieś Daleko Stąd, szkoda, że na jedną noc.

Rozneglizowana paczka papierosów wdzięczyła się, jak uliczny kurwizszon, zapraszający do tańca z syfem. Kupilem dzisiaj w metrze wagon polskich *marlboro* i długo zastanawiałem się, dlaczego ten *podstoliczny* handel jest tak zorganizowany, że polscy szmuglerzy sprzedają papierosy hurtem algierskim alfonsom, a dopiero ci oddają je za pół ceny w okolicach podziemnych toalet. Interesy mają kręte ścieżki.

Kolejny raz wyгнаłem siebie z domu, żeby uniknąć bitwy z Sonią. Nieawidzę tego koncertu milczenia, który zawsze ma miejsce w okopach dezintegracji naszego związku, gdy wściekamy się na siebie, milcząc o wszystkim, o czym chcielibyśmy pomilczeć. I to najczęściej bez żadnej przyczyny. I to najczęściej w soboty. Czasami wystarczy wanna, z obfitą ulewą któregoś z jej czarodziejskich płynów do kąpieli. Uwolniony magik piany niekiedy potrafi zrelaksować moją popieprzoną mózgowicę i ogłosić krótkotrwałe zawieszeni broni. Rozbrajamy karabiny ironii. Moździerze wspomnień ukrywamy w skrzyniach wybaczenia. Zamknięte na klódki zostają składy amunicji obwinień. Znika nawet ten sezonowy grymas na moich ustach. Sonia wchodzi milcząca, półnaga i ręką wali mi konia. Potem sama ze sobą, w drugim pokoju, na oczach Celine'a, Geneta, Faulknera i Kafki, a po tym wszystkim jesteśmy jak nowo narodzeni. Mili dla siebie, jak dzieci z przedszkola na balu przebierańców. Ona biegnie do wypożyczalni kaset i przynosi jakiś piętnastoletni film. Wszystko wraca do normy. Zасыpiamy ułożeni jak łyżki w kuchennej szufladzie. Na oczach niedowierzającego Millera, na oczach Foucaulta, Derridy, Husserla, na oczach ich wszystkich!

Ale nie dzisiaj! Wódko, wódeczko! Moja Ty posrebrzona okrucami szronu dziewczyno smutku! Towarzyszko spoconej rozpusty! Żono mojego szaleństwa! Ty spowiedniku kłamcy! Księżycu przemawiającego skowytami żalu! Ty przebaczeniu nieudawanego rozczarowania! Ty mój dawco radości! Magiku snu! Ty generatorze chodnikowych wymiocin! Przyczyno czołgania się windą! Ty dodatku kawioru! Ty butelczyno, Ty jedna! Pożywko chorej tkanki pamięci! Rozwieraczu cipy! Mitotwórco święty! Modlitwo samotności! Och, Ty! *Speedzie* trawienia! Kroplówko wycieńczonego! Na-

rzeczono Pustki! Kamero Impresji! Świadczenie męskości! Ty wyzwalaczu głupoty! Natchnienie morderców! Sałatko papierosów i definicjo kawy! Fundamencie zabawy! Lodołamaczu! Ty kozo niemyta! Solniczko życia! Myślospadzie jeden! Paszporcie do łóżka! Narkotyku Prawdy! Pokarmie słabej woli! Zbrojo nadwrażliwych! Osłodo porażek! Ty Królowo nocy! Kostnico kompleksów! Zdroju słowotoku! Naddźwiękowa rakieto podróżującego jestestwa! Opóźniaczu wytrysków! Zachęto wszy! O Absolucie! Jutrzenko! Sąsiadko kaca! Ambrozjo Nowego Zaratustry! Posiłku wyobraźni! Drogowskazie donikąd! Aksjomacie Amoku! Dajże zapomnieć! Dajże odetchnąć! O dajże!

– Może zechciałbyś postawić mi drinka?

– A może zamiast tego weźmiemy taksówkę i zajmiemy się sobą w jakimś tanim hotelu?

– Prymityw!

Rozczarowana wesz ucieka w popłochu. Chciała ruchania poezją, niestety. Nie wyrosła jeszcze z nastoletniego kociokwiku.

Zostaję sam. Wymieniam drobne na drobne. Uśmiechy. Barmana. Staram się nie przeszkadzać. Nikomu. Sobie. Nalewam. I jestem.

Bzyczy sobie jakaś muzyka, niczym stado opalowozielonych much nad krowim plackiem. Każda knajpa ma swoją muzykę, tak jak każde miasto ma swoją knajpę, swój Ratusz i swojego Sokratesa. Jedno bez drugiego nie istnieje.

Melodie były krótkie i lekkie, jak życie komara.

W pewnym momencie przysiadła się ta druga. Przy jej posturze jestem malutki. Jest pulchna jak kanapa w restauracji hotelu *Monopol*, która służy mi codziennie przy porannej kawie. Ma ze sto kilo chęci. Więc pozwalam jej nawet na niewyszukaną zaczepkę. I pomimo że zapach takiego smalcu niemal każdego przywodzi do łez, to mi nie przeszkadzają wcale te jej tanie perfumy i róż na policzkach. I jej sukienka lekko pogięta. W takie *sumo* jeszcze nie grałem. Gdybyś ją zobaczył, to popuściłbyś wszystkimi otworami. Z nosa smary, z uszu zjelczala woskowina, z dupy taka sraka, że samo jelito grube chciałoby wypaść, a z chuja szczawica na ściany porcelanowych muszli, z ich smakoszem, brunatnym kamieniem. I rzygałbyś, rzygałbyś, rzygałbyś! W podwójnej brodzie upatruję słów, ale one najwyraźniej też się jej wstydzą.

– Jak masz na imię? – pytam, żeby skłonić je jednak do ujawnienia.

– Barbara. A ty jesteś Chris. Wiem, bo powiedział mi barman. To mój

znajomy. A ciebie tu wszyscy znają – próbuje udowodnić, że nie taka z niej kaleka, umie mówić.

– Jacy wszyscy? Jak to znają mnie? – zastanawiam się głośno, co ona chciała powiedzieć.

– No wiesz, znają cię z widzenia. Podobno wcale często tu przychodzisz – wyjaśnia, zaciemniając.

– No tak, rzeczywiście wcale często.

– Ja też lubię to miejsce. Przytulnie tu, co nie? – zagaduje Barbara.

– Wolałbym posiedzieć w domu, ale tak jakoś wyszło – odpowiadam. – Mi się – dodaję.

– Wiem, wiem. Też czasami nie mogę wysiedzieć. W barku wszystko, co trzeba, a jednak ciągnie gdzieś człowieka, do ludzi – udaje znawcę tematu.

– Mnie do ludzi nie ciągnie – zbijam ją niechcący z tropu.

– Jak to nie? Coś cię przecież wygoniło. Sam mówiłeś... – Barbara znowu próbuje czegoś tam dowodzić, podczas gdy ja patrząc na jej grube uda i ogromne dupsko, zastanawiam się, jaki z niej paszkwil, jaka tłusta ośmiornica.

– Wiesz, wpadam w depresję, gdy otwierana lodówka nie brzęczy kilkoma puszkami piwa, więc przyszedłem, bo nie brzęczała – zabawnym tonem próbuję ją zaspokoić.

– Wiem, jak to jest. W telewizji bzdury, od czytania oczy już boją. Ja dużo czytam. Bardzo dużo – dopija swoje piwo.

– A co czytasz ostatnio? – daję jej szansę pogadania sobie, bo chwilowo chcę się wyłączyć. – Bo wiesz, nie wszystko nadaje się do czytania. Niektóre pisarskie produkty są podłej jakości. Tak jak niektóre browary zamiast piwa produkują mocz jakiś.

– O tak! Masz rację! – podnieca się. – Ale ja czytam tylko dobre rzeczy. Ostatnio, na przykład taką, dwudziestotomową skandynawską sagę – odpowiada mi, jak pytany uczeń, i bredzi coś tam dalej, ale przestaję już słuchać.

Zamawiam kolejne napitki. Dla niej piwo, zawsze to taniej. A może nawet zechce się jej łać i pójdzie sobie na pięć minut. Zawsze to coś. Zajęty sobą na tyle, że nie zauważyłbym w ogóle, że o czymś tam głądzi, gdybym nie widział jej trzęsących się policzków i gestykulujących bezładnie drożdżowych dłoni, odpoczywam. Wolę nie słuchać, bo ukamienowałbym ją przedwcześnie. Dwa granitowe przymiotniki w jej durny łeb, to z pewnością wystarczy. Więc niech się wygada. To zrobi jej dobrze.

Staram się przypomnieć sobie ostatnie chwile z Sonią. Dlaczego znowu mnie tak wkurwiła? Dlaczego znowu skończyło się łzami, trzaskaniem drzwi? Dlaczego znowu musiałem uciekać?

Nie zamknęła klapy w kiblu! To jest dla mnie nie do zniesienia. Nienawidzę otwartych kibli. Kible mają klapy właśnie po to, żeby były zamknięte, gdy nie są używane. Każda łazienka ma swoją logikę, tak jak musi mieć toaletowy papier. Rzeczywiście, nie było wyjścia. Musiałem ją zbesztać. Musiałem jej dać kolejną lekcję. Wiedziała przecież, że tego nie znoszę. I gównu mnie obchodzi, że zapomniała, że mimowolnie, że wcale nie na złość, że mi też się zdarza.

– Dlaczego ty się, kurwo, zawsze usprawiedliwiasz? – krzyknąłem i spostrzegłem, że Barbara zamilkła.

– Ja się... Ja się nie usprawiedliwiam, Chris... – z oczami przestraszonej świni próbuje coś zabełkotać.

– Przepraszam cię, zamyśliłem się trochę i coś mi się przypomniało. To nie było do ciebie – prostuję.

– Cieszę się, bo ja naprawdę nie... Ja po prostu lubię takie zawikłania. I wiesz, jestem dobra w ich rozszyfrowywaniu. Już na samym początku wiedziałam, że ona go kocha, a on wyjedzie, to znaczy popłynie w ten rejs i...

– Wiem, wiem. Napijmy się! – przerywam jej, bo widzę, że mogłaby tak chrząkać w nieskończoność. Nudna musi być ta jej opowieść, jak skandynawska saga.

Dopijamy drinki.

– A może przeniesiemy się do mnie, Chris? – zagaduje Barbara. – Mieszkam parę przecznic stąd. Możemy pogadać, czy co tam chcesz. Mam jakiś alkohol. Zrobię ci mój ulubiony koktajl. Chcesz?

– Dobra! Ja zrobię ci mój ulubiony. Idziemy! – zgodziłem się, bo przecież każdy by się zgodził. Każdy rzeźnik, mam na myśli.

Na zakończenie zamawiam dwie wódki.

– To strzeżmiennego!

Trochę chwiejąc się, wyszliśmy na zewnątrz. Latarnie kołysały się na wietrze, niczym pijane kurwy. Reklamówka bawiła się z wiatrem. Rząd samochodów rozkosznie drzemał.

– Tędy – chwyciła się mojego ramienia i pociągnęła mnie w kierunku swej nory.

– To niedaleko – dodała.

Byliśmy już zawiiani. Czuję się jednak nadzwyczaj dobrze. Nadzieja

na kolejnego drinka dodała mi otuchy. W sumie nie mam nic do stracenia. Może nawet zerznę tę dziką świnię. Sonia i tak będzie ryczeć do rana, a co najwyżej powiem jej jutro, że spotkałem Kamila i trochę zabradziażyliśmy. Ona mnie przeprosi i obieca zamykać już kibel. Ja się ucieszę, a potem, przez cały tydzień, będę to sprawdzał. Ona dotrzyma. Będę musiał poszukać sobie nowego pretekstu. Walczyć, to znaczy wygrywać. Bycie z kobietą to utrzymywanie jej w stanie permanentnej porażki.

Dotarliśmy do jej domu. Jedna z tych kamienic, które mogłyby opowiadać historię lepiej niż podręczniki. Czcionki odrapanego tynku sztancował przecież czas.

W mieszkaniu przytulnie. Sofa i meble całkiem nawet zgrabne, kontrastowały z fałdami na jej, wylewającym się dosłownie z majciór, brzuchu. Mieszkała w kuchni jakiś eliksir, modląc się pewnie, żeby mi stanął. Podala mi w końcu jakiś czary-mary koktajl i przysiadła się bliżej.

Mnie nie wystarczą jednak jej najszczersze modły. Zaklęcia cytryny, formuły *coca-coli*, *amaretto* i *whisky* w kolorze gnojówki są dla mnie niczym. Muszę sobie wyobrazić, że jestem na morzu, po kilku miesiącach seksualnej absencji. Właśnie udało mi się zwabić wieloryba. To jedyna żywa istota z dziurą do jebania. Więc kładę go na deskach pokładu i wydobywam z rozporka fiuta. Zapach ryby, która rybą nie jest, cuci go. Jestem gotowy.

I wtedy mogę pozwolić Barbarze poszaleć. Za jej cierpliwość niech Bóg jej wynagrodzi! Gdybym miał aptekę, sprzedawałbym ją w słoikach z tranem!

Rozczochraną cipą, istne chaszczę – przysięgam, usiadła na mojego kutasa i połknęła go, jakby to była landrynka. Kołysząc się, do przodu do tyłu, ssała go bezzębnyimi wargami, śliniąc się w środku i pojękując. Jej sflaczałe wisiory podskakiwały rytmicznie. Mógłbym się nimi owinąć.

– Gryź moje sutki!

Objąłem jej cyce i zacząłem je ssać. Sutki były twarde i spocone, niczym słone orzeszki zakropione piwem. Gryzłem je, a ona przyśpieszyła i zaczęła wierzgać jak dziki żreback. Sapała jak zmęczony bokser! Trzymałem jej sutek między zębami i bałem się, żeby go nie przegryźć i żeby nie wytrysnął mi w twarz jakimś syfem, jak wyciskany węgier. Biłem ją w tłusty tyłek otwartą dłonią, gdy szczytowała, wyjąc niczym rodząca krowa. Orgazm pizgał nią na wszystkie strony, jak stół wibracyjny pizga tłustym pustakiem. Wyciekło z niej mleko, ale nie cementowe. Zostawiło mokrą plamę na zmęczonym prześcieradle. Moje uda lepiły się od wydzieliny jej macicy.

Papierosy zapaliliśmy tuż po przekroczeniu równika.

– Chris, jak ty potrafisz się pieprzyć!

– Kto tu kogo pierdolił?

– Nie bądź aż tak wulgarny! Podobało mi się. Jesteś jak pościelowy huragan.

– Muszę już iść.

– Myślałam, że zostaniesz do rana. Coś ty ze mną zrobił? Wyjebałeś mnie tak, że powiem ci, iż twój kutas powinien być monstrancją w samej Mekce!

– Już jest – uśmiechnąłem się sam do siebie. – A poza tym to już rano.

– Trudno...

Do domu wracałem koślawą tratwą na wzburzonych falach. Nucilem pieśni wielorybników, a wszystko wokół pachniało tranem. Rzygnąłem ze dwa razy po drodze. To zwykły objaw morskiej choroby. Tym nie należy się w ogóle przejmować.

Sonia otworzyła mi drzwi. Przywitała mnie uśmiechem morskiej latarni. Kibel zastałem zamknięty. Jednak czegoś się nauczyła.

13. Z gipsem się też napiję

Po powrocie z przedłużonych z wakacji, które już się zmęczyły moim lenistwem, pierwszym moim postanowieniem było ucywilizowanie się i to w tempie maszyny liczącej banknoty w banku. Stwierdziłem, że najlepiej będzie, jeżeli wybiorę się do wypchanego ludzkością kina. Nie zważając na tytuł ani na przydzielone w kasie miejsce, wszedłem do sali projekcyjnej. Niestety, nie wytrzymałem zbyt długo. Dwie setki ludzi wokół mnie oddychały równomiernie, w dwutakcie. Film był nędzny, niczym ubranie początkującego impresjonisty, i musiałem wyjść zde gustowany po niecałej godzinie. Jak dla mnie za dużo było tanich efektów specjalnych, za bardzo rozmyta fabuła i za dużo szczęśliwych zbiegów okoliczności, w które tylko najbardziej naiwni by uwierzyli. Coś, jak przygody Jezusa Chrystusa, a cenię je sobie tak, jak *Przygody Sindbada Żeglarza*. Szczerze mówiąc, mam je w dupie!

Postanowiłem zatem odwiedzić Kamila. Wyglądniałe karaluchy, które zostawiłem w swoim mieszkaniu prawie pół roku temu, podpowiadały mi, że coś się musiało u niego wydarzyć. Pół roku potrafi przecież zmienić nawet historię ludzkości, tak jak potrafi zostawić wypłowiałą plamę w miejscu ściągniętego ze ściany przestarzałego kalendarza. Na pewno skłonny jest opowiedzieć mi kilka historii. Bez zbytnich uproszczeń, bez niepotrzebnych dygresji, jak to on, ciekawie. Nie pisałem do niego w ogóle. Do nikogo zresztą nie pisałem, jeżeli nie liczyć kilku listów do Soni, naszpikowanych słodkimi kłamstwami, jak *buritos* fasolą, i kilku listów napisanych do samego siebie, w których przekonywałem mój wielkomiejski cień, utrwalone zapewne ciągle na chodniku mojej ulicy, że jest mi dobrze i że tak miało być, bo właśnie tak to sobie wyobrażałem. Spotkaliśmy się z Kamilem tylko ze dwa czy trzy razy, na internetowym czacie. Przypadkowo. Odkąd nowe technologie trochę się postarzały, stał się ich zagorzałym orędownikiem. Powiedział mi nawet podczas ostatniego spotkania, że analogowe książki już go przestają interesować, chociaż wciąż budzą należny im respekt. Bajty liter wróżą kres tradycyjnego nośnika słów. Pasuje to do niego, bo Kamil jest jak listonosz, któremu kazano roznieść listy w innej dzielnicy. Będzie błędził w nieskończoność, zanim uzna, że ma to w dupie i rzuci to na korzyść posady stróża na budowie. Na razie jednak wirtualna prze-

strzeń jest dla niego najlepszym medium, więc oddaje się jej bez reszty. Całkowicie pogrąża się w tej cyfrowej gigabajtowej ekstazie komunikacji. Gołąb pocztowy lata po znajomym niebie. Potrafi przesiedzieć szesnaście godzin bez przerwy, wykonując zaledwie kilka nieskomplikowanych ruchów elektroniczną myszą, mając przed oczami nieskończone zasoby *Library of Congress*, *Gmachy Trwonienia Czasu* albo jakąś inną poczytalnię, choćby amatorskie wycpiny blogoludu, gustującego w terapeutycznym pamiętnikarstwie internetowym. Ja w dalszym ciągu, gdy widzę jakikolwiek tekst na ekranie monitora, muszę go wydrukować. Na ekranie nie traktuję poważnie.

Odchorowałem już zmianę czasu. Zawsze potrzebuję kilku dni po zmianie strefy, żeby dojść do siebie. Dzień i noc zajmują swoje miejsce, bo znowu mówię ojczystym językiem i zapominam dialektu plemienia Hopi, w którym nie ma podziału na czas przeszły, teraźniejszy i przyszły. Czasowniki ubierają swoje sukienki i znowu wodzą na pokuszenie.

Sączę jakieś podle *chardonnay*. Jest za to dobrze schłodzone. Zawsze potrafię, nawet w najpodlejszym napitku, znaleźć jakieś plusy. A to ma mój ulubiony kolor, a to ma moc, a to wytrawne w sam raz, a to łatwo dostępne, a to warte spróbowania, a to regionalne, a to powszechnie znane, a to tanie. W ostateczności plusem jest także poznanie minusa. Tylko idiota by się z tym nie zgodził.

Za oknem topniejący śnieg odsłania resztę świata, znudzoną już wystarczająco mocno zimą i tymi długimi wieczorami, spędzonymi przed telewizorem, powtarzającymi się regularnie, jak moje długie, atakami depresji czy fochami bałwanów, ulepionych z rozkapryzonego puchu. Dzień, krótki jak zielone światło na przejściu dla pieszych, właśnie dogasa. Drzewa chcą już eksplodować zieloną sałatą, ale jeszcze je powstrzymuje niepewność, co do najbliższych tygodni. Jeszcze może zmrozić, jeszcze może będą musiały ubrać biały kożuszek. Drzewa są przezorne, jak zawsze.

Jestem szczęśliwy, że uniknąłem tej zimy. Hiszpańskojęzyczny piasek był o wiele lepszy. I muszę to przyznać zupełnie subiektywnie, abstrahując całkowicie od sądów wartościujących *a priori*. Potrzebowałem tej chwili dla siebie. Potrzebowałem zmiany klimatu, oderwania od znajomych, odpoczynku od pracy. Duże miasto zmęczyło mnie swoimi dużymi problemami. Łatwiej mi było też znieść rozłąkę z Sonią. To takie banalne, ale prawdziwe. Wiedziałem o tym, że tu mogą mnie dopaść zęby żalu, jak wiedziałem, że jesienią zgnią liście. A tam Henrico i jego *sombrero*. Kilkadziesiąt

gatunków *tequila*. Słońce rozlewające na opustoszałej plaży świeżą surówkę, którą hartujesz w bezkresnym oceanie i wychodzisz w lśniącej zbroi, odpornej na szable niedobrych wspomnień. Góry przykryte krystalicznie błękitną kołdrą nieruchomej ciszy. Koszule i garnitur zamienione za najnowszy model opalenizny. Kilka widoków, które nadają się na piękną fotografię nie bardziej niż inne widoki, co prawda, ale przynajmniej są, jak moje kobiety. Zawsze gotowe i zawsze pod ręką. Dyskusje z Richardem po świt. Trochę nudy, nienoszącej na rękę zegarka. Trochę adrenaliny, wyciekającej z któregoś gruczołu, w momencie spotkania z grzechotnikiem albo innym skorpionem. I ona. Zawsze to kilka megabajtów pamięci, które będzie trzeba kiedyś zresetować, kilka wspomnień, którym trzeba będzie skrócić kark. A już niezależnie od tego wszystkiego, przynajmniej zaoszczędziłem na zimowych butach. Szczęście, jeżeli w ogóle istnieje, może mieć wiele powodów. Co najmniej tyle, ile jest kobiet wbitych na mój pał. I zawsze będzie ich przybywało.

Długo się nie wahając, pojechałem do Kamila. Ponieważ postanowiłem skorzystać z miejskiego transportu, wytrzymało mnie odrobinę w zatłoczonym metrze. Kilku pasażerów wpadło na mnie w roztargnieniu, a kilku celowo. Musiał być wśród nich przecież jakiś kieszonkowiec. Kieszenie mam jednak pełne niczego, więc w ogóle mnie to nie obchodzi. Nie jestem dla nich gratką. Bardziej wrażliwy jestem na tych ocieraczy, którzy obwąchują cię i dotykają przy każdej nadarzającej się im okazji, aby potem w zaciśnięciu, z wyprężonym kutasem w dłoni, kontemplować te bliskie, jednostronne spotkania. Brzydzi mnie myślenie o tym, że jestem czasami nieświadomą ofiarą zakompleksionych walikoni, których nie stać nawet na otwarty flirt, muszących poszukiwać dogodnych tarlisk w publicznych miejscach. Są gorsi niż tych kilku zagubionych pedryli, spędzających całe dnie w dworcowych toaletach, zaczepiających cię niewybredną odzywką, chcących rzucić okiem na twojego szczającego chuja i którym największą frajdę sprawia, gdy klepniesz ich mocno w tyłek, wyjaśniając z uśmiechem na ustach, że to pomyłka.

Miałem ze sobą oryginalny meksykański napitek i jakieś gliniane rękodzieło, które chciałem ofiarować Kamilowi w prezencie. Niech mu się wydaje, że o nim myślałem. Niech ma! Chciałem sprezentować mu to w jakimś oryginalnym papierze. Długo szukałem. Ten sprowadzany od czasu do czasu z Watykanu jest jednak pomarszczony, jak mój zwieracz odbytu po zjedzeniu pikantnego *chili w Bean's&Barley*. Całe szczęście po drugiej

stronie kurii biskupiej znajdował się sklep z nieco lepszym wyborem. Znalazłem coś gładkiego, śliskiego i dobrze wyczerpanego, niczym rozpoczynająca karierę, młoda kurwa.

W końcu zapukałem do drzwi jego mieszkania. Czekałem, aż raczy mi otworzyć, podziwiałem napisy na ścianach, pozostawione przez kilkuletnie dzieciaki. Dziecko szczerze ci napisze, że ten lub tamten to polykacz gówna albo chodzący syfilis, że ta lub ta, to cichodajka albo dworcowa, czyli spijaczka spermy z klamek kibli w przystani pociągów. Dziecięca szczerze jest bezgraniczna. Po wejściu na drugie piętro od razu wiesz, kto z kim trzyma, która drużyna piłkarska ma tu poważanie, jakie szarpidruły są tu w modzie. Takie enklawy zaniedbania są najlepszą kroniką informacyjną. Są nawet momenty, że chętnie sam byś coś dopisał, ale szybko zdajesz sobie sprawę, że to nie twoja ściana, nie twoja dzielnica, nie twoja klatka schodowa. Nie masz tu czego szukać. Załatwiasz swoje sprawy i wynochas!

Kamil otworzył mi w końcu drzwi, nie pytając nawet kurtuazyjnie, kto przyszedł. Nie wyglądał najlepiej. Chyba nie zdążył się jeszcze ubrać. Jego mina nie zdziwiła mnie jednak wcale, jak nie dziwi mnie przeciążenie łączny telekomunikacyjnych w porze dziennika telewizyjnego. Spodziewał się chyba kogoś innego.

– Chris!!! – zawołał. – Nie spodziewałem się ciebie! Wchodź! Jak się masz? Wspaniale, że wpadłeś na pomysł, żeby do mnie przyjechać – dodawał gorączkowo.

– Ja też się cieszę, że cię widzę. Co u ciebie? Mam coś dla ciebie – odpowiedziałem w końcu i podałem mu reklamówkę z mytem.

– Wspaniale. Dzięki stary. Tak się cieszę. Widzę, że pamiętałeś o mnie! Przepraszam cię, ale w zasadzie spałem jeszcze.

– Jak to spałeś? Przecież już po szóstej – tylko udaję zdziwionego, bo dobrze wiem, że on potrafi tak czasami.

– Mieliśmy wczoraj imprezę i mam potwornego kaca. Wybacz mi. Będę musiał skoczyć do sklepu po jakieś wino i *coca-colę*. Chcesz coś zjeść?

– Nie, dzięki, stary. Jestem najedzony. Opróżniłem też już dzisiaj butelkę *chardonnay*. Jeżeli nie masz nic przeciwko, to chętnie zaczekam. Zrobię sobie jakiegoś drina.

Kamil w pośpiechu uzupełniał garderobę, krzątając się po całym pokoju. Gdyby nosił damskie rajstopy, z pewnością zaciągnąłby kilka oczek. Gdyby nosił kapelusz, z pewnością zapomniałby go włożyć. Gdyby używał

krawata, mógłby niechcący się nim udusić. Ubiera się jednak bardzo prosto. Ponaciągane swetry to jego specjalność. Wielosezonowe buty również.

Po krótkiej chwili wybiegł z mieszkania. Słyszałem, jak przeskakiwał po dwa stopnie w dół. Ja w tym czasie próbowałem znaleźć jakąś czystą szklankę i jakąś ciecz, z której mógłbym zrobić sobie koktajl. W całym mieszkaniu panował totalny chaos. W kuchni dzielił władzę z odorem stęchlizny, od którego nawet naczynia w zlewie się już porzygały. Lodówka była zupełnie pusta. Niczego nie mogłem znaleźć. Pokój zastawiony był różnymi klamotami. Nawet nie mogłem rozróżnić, co należy do czego. Odkryłem, że to coś, z podartym śpiworem, to była rozłożona wersalka, na której od czasu do czasu musiał sypiać. Stosy książek ułożonych pod ścianami, gromadzonych przez długie lata, dźwigały na grzbietach kilka świeczników, kilka pełnych popielniczek i stos pustych butelek. Meble wyprzedził już dawno, o co pretensje mogłyby mieć do niego aż trzy pokolenia przodków, gdyby jeszcze żyły. W niektórych szklankach po kawie kwitła zielonobłękitna pleśń. Jedyne, co rzucano się w oczy, to masywne biurko z lat trzydziestych, zastawione dwoma monitorami i klawiaturą. Zwoje kabli tonęły w porzrzuconych, zadrukowanych kartkach. Rosły na nich jakieś grzyby komputerowej grafiki, biegały po nich drobne insekty liter. Pobjowisko.

Wrócił z pełną siatką zakupów. Szybko zgarnął stos różnych szpargałów z małego stolika do kawy, odstawiając misterną mozaikę na jego blacie. Bardzo gustowny mebelek. Podejrzewam, że to jedyna ruchoma rzecz, która jeszcze nie odwiedziła któregoś lombardu, tej dziupli najgorszej lichwy. Wypakował kilka butelek piwa, wino, *pastis*, *coca-cola*, soki i jakąś garmazerkę. Były sałatki oraz różne podroby, których nie widziałem już bardzo długo. Zabrał się łapczywie do jedzenia.

– Opowiadaj, Chris! Kiedy wróciłeś? – zaczął z pełnymi ustami.

– Nie ma co opowiadać, Kamil. Wybyczyłem się trochę, ot i wszystko. Przyleciałem tydzień temu, ale musiałem trochę tę podróż odchorować. Teraz w końcu czuję się na tyle dobrze, że mogę się wreszcie spotykać z ludźmi – odpowiedziałem.

– A co u ciebie? U was? Jakież zmiany? – dodałem.

– W sumie dużo zmian i żadnych. Po pierwsze, jak widzisz, znalazłem wcale niezłe zajęcie. Robię trochę składów dla kilku gazet i wydawnictw. Próbuję się pobawić w grafikę. To o tyle dobre, że nie muszę wychodzić z domu, żeby zarobić trochę grosza.

– Widzę, że kwitnie tu jakaś twórczość – zachęcam go do kontynuacji, podając mu domowej roboty *margeritę*.

– No właśnie. Widuję Sonię od czasu do czasu. Jakoś sobie radzi. Była niedawno nawet dawcą głosu w radiu. Niekiedy w niedzielę chodzimy do galerii. Jest bardzo wyciszona. O tobie w ogóle nie wspomina. Wrócisz do niej? – zapytał.

– Kamil, powtarzasz się jak klecha na rekolekcjach – odpowiedziałem, bo nie miałem zamiaru rozmawiać dłużej na ten temat. – To już, niestety, skończone. Tak będzie lepiej dla nas obojga.

– No dobra. Myślałem, że jesteś zainteresowany, co u niej słychać. Aha, najważniejsze to chyba zaginięcie Mary. Zapadła się pod ziemię. Nie wiadomo, co się z nią stało. Słyszałeś o tym?

Białe rękawiczki milczenia kurczą się na moich dłoniach i błagają, żebym ich nie zdejmował. Odpowiadam spokojnie, sącząc mój koktajl.

– Nie. Nie słyszałem. Jak to zapadła się pod ziemię?

– No po prostu nie ma żadnych informacji na jej temat. Zaginęła na krótko przed twoim wyjazdem. Nie wiadomo dokładnie, kiedy, bo Jack, jej były facet, pil chyba cały tydzień i nie pamiętał dokładnie, kiedy widział ją ostatni raz. Zresztą wiesz, że ona czasami potrafiła zniknąć gdzieś na kilka dni, a nawet na dwa tygodnie, i nie życzyła sobie, żeby ktokolwiek się tym przejmował – opowiada.

– W końcu Jack zorientował się, że coś nie gra, i zaczął dzwonić do wszystkich znajomych. Przejeliśmy się, bo nikt nie wiedział, co mogło się stać. Zawiadomiliśmy policję. Kłopot był nawet z jej aktualnym zdjęciem, bo wiesz, jak nie lubiła się fotografować. Rozpoczęły się poszukiwania. Gliny najpierw posądziły Jacka, że to on maczał w tym palce, że może nawet ją zamordował. Miał już przecież jakieś sprawy za rozróby. Zamknęli go. Siedział chyba z miesiąc, ale w końcu go wypuścili, bo ich oskarżenie nie trzymało się kupy. Ja też myślę, że on nie ma z tym nic wspólnego. Nie wiemy jednak, co się jej przytrafiło. Nawet ucieczka od niego to nie w stylu Mary. Potrafiła skutecznie odganiać od siebie facetów, którzy już się jej znudzili. Za to z kolei ja miałem problemy – przerwał i polał nam wina.

– Wiesz, pożyczyłem od niej trochę pieniędzy, już dość dawno. Chciałem kupić sobie porządny komputer, żeby móc podłapać dobrą fuchę. Miałem wszystko nagrane, potrzebowałem tylko sprzętu. Zresztą, jak widzisz, niezłe mi idzie, jak na razie. Mary pożyczyła mi tę forszę na rok. Właśnie teraz mija termin spłaty. Gliny odkryły to i zaczęli mnie maglować na wszyst-

kie strony. W końcu dali mi spokój, bo uznali, po wywiadzie środowiskowym, że to też nie może mieć związku. Było jednak zamieszanie jak cholera.

– Czyli nadal nie wiadomo, co mogło się z nią stać, czy tak? – pytam, żeby uzyskać potwierdzenie moich przypuszczeń i nakarmić do syta moją nadzieję.

– W zasadzie tak. Nie ma pewności, czy jeszcze żyje, jak nie ma pewności, że już nie żyje – odpowiedział. – I to jest właśnie najgorsze. Nie sądzę, aby się wyprowadziła z miasta, no bo gdzie? Ona mogłaby żyć nawet w lesie, pod warunkiem że będzie tak duży jak Paryż. Ale co tam... Napijmy się, Chris.

Wychylamy jedną lampkę za drugą, powodując, że ta butelka wina, którą właśnie przed chwilą przyniósł, kończy się tak szybko, jak pieniądze z pierwszej wypłaty. Nawet nie zdążyliśmy się zorientować. Po kilku piwach rozpoczynamy *pastisa*. Atmosfera pokoju oczyszcza się dość szybko i nabiera dość intensywnego anyżowego zapachu. Dyskusje stają się bardziej intensywnie. Rosnące napięcie obniżamy zwiedzaniem jego ulubionych stron internetowych, żeby znowu kilkoma toastami powrócić do najbardziej żywotnych tematów naszych wspólnych spotkań. Libacja zapowiadała się na dłuższe posiedzenie.

I rzeczywiście, gdzieś około północy zabrakło nam alkoholu, a my nie mieliśmy dość. Wyszliśmy do jego lokalnej knajpy, takiej prawdziwej mordowni, z klejącymi się od brudu blatami stolików. W środku panował zapach najtańszych papierosów. Nie wiem, czy żyje jeszcze ktoś, kto potrafiłby powiedzieć, na jaki kolor pomalowano tam kiedyś ściany. Było w środku kilku typów, ale nie przeszkadzali. Jeden zrobił na nas duże wrażenie posturą gigantycznego monstrum i skórą w kolorze wyprażonego Afrykańczyka. Zęby miał już chyba przegniłe, bo jedyne, co mogłem dostrzec w półmroku, to białka jego oczu. Szybko się dowiedziałem, że mogę od nich kupić wszystko, czego zapragnę, najlepszej jakości, za połowę ceny, bo to towar z drugiej ręki, znaleziony na ulicy po tym jak wypadł z przejeżdżającego tira. Gdzie oni te tiry? Nie miałem tej nocy jednak żadnych życzeń.

Pamiętam też, że kobieta, która nam polewała, była tak okropnie brzydka, że aż nieprzyzwoicie. Żal mi było nawet smalcu, którym była wypełniona. Kropla dzikich perfum zaatakowała mnie żądłem wystającym z jej zmęczonej skóry. Alergia dostała swą szansę. Dostałem wysypki, później rozwolnienia. Rzadką kupą ubabrałem kibel, który ona nad ranem, własnymi rękami. Tak szpetne poczwary chyba rozdają na kartki. Turpizm musi być reglamentowany, żeby nie zalał świata jak azjatyckie badziewie. Znała Ka-

mila i jedyne, czego chciała, to żebyśmy płacili z góry. Przesiedzieliśmy w tej knajpie prawie do rana i zapruliśmy się na amen.

Nie pamiętam, jak wróciliśmy do mieszkania mojego przyjaciela ani jak zasnąłem. Obudziłem się na podłodze. Byłem przykryty jakimś łachami, a pod głową miałem kilka zwiniętych ręczników. Wszystko mnie bolało. Ubrany byłem tak, jak przyszedłem. Wokół śmierdziało tak, jakby tuż przed chwilą pierdnął ktoś, komu przeterminowane żarcie zgniło w żołądku. W moich ustach wybuchła najprawdopodobniej atomowa bomba, która zamieniła mój mózg w radioaktywny pulsar i spowodowała niespotykane dotąd osuszenie powierzchni języka. Suchy piasek pomiędzy moimi zębami piszczał jak duszona przez niesforne dziecko świnka morska. Pora wstać i wziąć się w garść. Pora wymyślić nowy dzień.

Nie było to łatwe, bo w mojej głowie znowu pojawiły się jakieś surrealistyczne obrazy. Operator projektora snów nie zauważył, że oczy już mam otwarte, i wyświetlał na ekranie mojej bezsilności kolorową galerię wszystkich możliwych końców świata. Były i te z Mesjaszami, i z Armagedonami, z radioaktywnym pyłem, najazdami obcych, z totalną wojną, z górami śmieci, komputerowymi mutacjami, genetycznym błędem, zalewem żółtej rasy, buntem maszyn i wypaleniem się słońca. Było ich nieskończenie wiele. Żeby je wszystkie przejrzeć, musiałem się natychmiast podzielić w postępie geometrycznym, niczym jakaś beztlenowa bakteria. Już byłem rozczterdziestosześciokrotniony, gdy dotarłem do scenariusza, w którym koniec nastąpił w momencie przeglądania możliwych końców. Ale nic nie runęło. Nic nie zatrzęsło. Nie zrobiło się zimno i ciemno. Ten też był fałszywy.

Wyczołgałem się więc spod sterty betów, zapewne kupionych przez Kamila w najtańszych *lumpeksach* i zająłem się sobą w łazience. Na pocieszenie odkryłem, że ona jest w jeszcze gorszym stanie niż ja. Tylko porzucane żyletki wciąż miały nadzieję.

Palcem i miętową pastą umyłem najpierw moje cuchnące zęby. Odniosłem wrażenie, że były gumowe i pokręcone. Po tych zabiegach zrobiło mi się jednak znacznie lepiej. Pojawił się pierwszy wiosenny monsun z Nagasaki. Napełniłem wannę gorącą wodą. Zanurzyłem się w niej po same uszy i dochodziłem do siebie. Nie wiedziałem tylko, co zrobić z kutasem. Jego poranny wzwód był wciąż silny, jak skandynawski drwał, twardy, niczym trzonki siekier ludzi Północy. Na kacu moc jest ze mną! Przekonało się o tym parę pizd, w których po przejściu mojego tajfunu pozostały tylko zgliszcza. I ruiny. Ich starych związków.

Kamil chrapał w najlepsze, gdy ja skończyłem swoją toaletę. Kutasem oczywiście zająłem się, jak szesnastolatek. Nie miałem innego wyjścia. Objąłem go jedną ręką i namydlilem porządnie, żeby miał choć malutki ekwiwalent cipiego śluzu. Był już tak nabrzmiaty, że u jego podstawy, tam gdzie zaczyna się worek mosznowy, ciśnienie krwi wycisnęło wszystkie żyły. Masowałem go rytmicznie pod wodą, potem nad powierzchnią. Ścisnąłem uda, pocierałem kolano o kolano i generowałem wysokiej rozdzielczości obraz, którejś z lepiej znanych mi szmat, ażebym choć w wyobraźni mógł się jej spuścić na twarz. W końcu eksplodowałem. Lepka od gorącej wody sperma kleiła się do moich ud i ręki, jak przegłodzony osesek do sutka przepelnionej mleczarni. To było najgorsze, ale specjalnie się nie rozczarowałem. Nie liczyłem przecież, że trysnę zimną *coca-cola*. Szorowaniu nie było końca.

Włączyłem jakąś muzykę. Nie miałem pojęcia, co to za rytmy, ale brzmiało jak niedzielny chór misji w Zimbabwe. Sączyło się to jak ropa z niezagojonej rany. Pomyślałem, że z moim przyjacielem już musi być naprawdę coś nie tak, skoro takie płyty znajdują się w jego posiadaniu. Zmieniłem kompakt i stanowczo muszę stwierdzić, że wyszło mi to na dobre. Serce odzyskało swój rytm. Znudzone myśli rozbiegły się po parkiecie. Ja mogłem zająć się wreszcie sobą.

Znalezione w lodówce piwo mogłoby wygrać światowy festiwal tego trunku, gdybym tylko był sędzią głównym. Doceniam jego wszystkie walory. Jest butelkowe, zimne, piwne, gazowane, alkoholowe, krystaliczne, z odrobiną piany i w samą porę. Niestety, nikt się nie dowie, jakie jest wspinałe. Pozostanie anonimowe, jak padlina spod Stalingradu.

Po pewnym czasie obudził się Kamil. Wyglądał nie lepiej niż ja po przebudzeniu. Dzień rozpoczął od kilku przekleństw i zaparzenia kawy. Nie mogłem na niego patrzeć, bo od razu przypominałem sobie, jak się czułem jeszcze przed chwilą. On z kolei spoglądał na mnie trochę za bardzo badawczo, więc mu szybko wyjaśniłem, że już mi minęło, bo łyknąłem piwko.

– No myślę! – odpowiedział. – Widzę, że jesteś już całkiem, całkiem. Gdzie to piwo?

Lodówka poczęstowała nas kilkoma butelkami chmielowego napitku, dzięki czemu dość szybko odzyskałmy dobre humory. Wkrótce po tym, z koloru mojego moczu, wyróżylem sobie ciekawy dzień. Co prawda ten bursztynowy odcień skrywał w sobie jakąś zagadkę, ale nawet gdybym naszczał na rękę Nostradamusa, to by jej nie odgadł. Pozostawiłem sobie za-

tem tę jedną niewiadomą. Nie mam zamiaru wnikać za bardzo w szczegóły. Kolor mojego moczu powiedział mi wystarczająco dużo, abym poczuł się usatysfakcjonowany. Nawet technik laboratoryjny nie potrafiłby nic dodać. Jego mikroskop mógłby, co najwyżej, wykryć podstarzałą bakterię *syphilis*, a tego bynajmniej mi nie potrzeba wiedzieć. W bryłce bursztynu zatopiona prehistoryczna mucha. Nie bzyczy.

Gawędziliśmy o jakichś nieistotnych sprawach, siedząc w pokoju pełnym dziur w ścianach. Było tu kiedyś mnóstwo obrazów, zanim ich nie wyprzedał. Kamil w zasadzie większość życia przeżył ze spadku, który mu przypadł. Gdy skończyła się gotówka, sprzedawał zastawy i antyczne sztuce. Potem trochę większe przedmioty, jak na przykład fortepian jego matki. Sporo zostało w lombardach, bo nie miał nigdy forsy na wykup. Wiem, że sprzedał też las, jakąś działkę i dom letniskowy. Tylko książek nie ruszał, więc ciągle zagracały to jego mieszkanie. W odróżnieniu ode mnie wiedział, jak ograniczać swoje potrzeby. Potrafił najtańszy tytoń otulić gazetą. Ołowicą się nie przejmował.

– A co z twoją powieścią, Kamil? O eutanazji języka, czy jak tam było? – zapytałem go w końcu.

– Mam nową koncepcję. Język potrzebuje jeszcze czegoś doświadczyć. Najpierw wyrucham go na wszystkie sposoby. Naszczam mu prosto w rzwartą paszczę. Pozwolę mu się nacieszyć. Poglaskam i zdzielę różgą. Wypieprzę go tak, jak jeszcze nikt tego nie zrobił. Dopiero później ukatrupię – odpowiedział.

– Jak to? Chcesz powiedzieć, że się z nim zabawisz, że zerznieś, że będzie miło i ciekawie? Może jeszcze wykąpiesz go w kokosowej pianie? – odpowiadam. I dodaję – Skądś to znam. Czy twój język nie ma przypadkiem pizdy?

– Chris, mówiłem ci, że nie lubię, jak nazywasz ten organ w taki sposób. Ja wciąż mam do niego szacunek. Wiesz, że kobiety są dla mnie ciąglą zagadką i w dalszym ciągu darzę je uczuciami dalekimi od zwierzęcego pożądania – Kamil próbuje mi coś wyjaśnić, ale nie mam pojęcia, o co mu chodzi. Po chwili dodaje:

– Wiem, Chris, że ty już zwątpiłeś w pewne rzeczy. To ci było widać pisane. Musisz jednak wiedzieć, że na pieprzeniu świat się nie kończy!

– Kurwa! Kamil! Już jakbym to słyszał! Co ty wygadujesz? – pytam, bo zirytował mnie w tej chwili. – To o co ci chodzi z tym wypieprzeniem języka? Ja już nie mam cierpliwości do tego twojego gadania!

Trwało to dłuższą chwilę, zanim raczył mi odpowiedzieć. Cisza tego kalibru jeszcze nigdy nie zabrzmiała pomiędzy nami. Gdyby chociaż jedna mucha mogła przeżyć odór panujący w jego mieszkaniu, usłyszelibyśmy jej kaszlenie. Słychać by było, jak rzyga, albo przynajmniej narzeka. Mogliśmy bowiem słyszeć nawet własne stolce, które formowały się w kształt toaletowej torpedy. Trwaliśmy w milczeniu tak długo, że już zaczynałem wierzyć, że za chwilę może wybuchnąć kolejna wojna światowa, której zwiastunem byłyby nasze dwie rzadkie kackupy, rozbijające się o porcelanowy Pearl Harbor. Nie zdążyłby wtedy dokończyć zdania, zanim padłby trupem z powodu wybuchu ich smrodu, jak padały już kiedyś w zaatakowanych okopach francuskie pieski od musztardowego gazu. Pragnąłem, żeby się pośpieszył.

– Bo widzisz, Chris! Język jest facetem! – odpowiedział w końcu. – A ja jestem pedałem.

Lzy popłynęły z moich oczu. Rzewne, wielkie, szczere i słone, jak nigdy dotąd. Wszystko staje się dla mnie jasne. Kamil, mój obłąkany przyjaciel, którego dłoń za chwilę być może zmiążdżę uściskiem hydraulicznej, pięciopalczastej prasy napędzanej moją własną krwią, właśnie wyszedł z cienia. Stoi przede mną w przezroczystej homoseksualnej sukience, a mnie nie zbiera się wcale na wymioty. Nie wiem dlaczego, ale dopiero teraz staje mi się bliski. Nigdy nie przypuszczałem, nigdy nawet nie podejrzewałem go o to. Teraz porozrzucane klocki jego poszarpanego życia nabierają kształtu świątyni pedała, wypełnionej modłami o litość, o łaskę, o dowody wprost, o znak, o to, żeby się nikt nie dowiedział, aż w końcu o pierwszy sakrament. Jak on musiał czuć się wśród nas? Jak on się czuł, gdy nie mógł sprostać domowemu zadaniu, podyktowanemu przez matkę naturę, cywilizację, pleć, geny, przez to całe grono pedagogiczne? Ile razy, ja sam, musiałem mu dokuczyć, gdy niewybrednie opowiadałem o podpitych pedziach, wyprowadzających swoje smutki na spacer do knajp i tam dających żałosne, łzawe przedstawienia. Zrobiło mi się go tak żal, że chętnie bym go zabił. Dobił. Odłączył kroplówkę i sztuczne płuco. Wstrzyknąłbym jakiś arszenik w sztuczną nerkę albo wrzucił go do terrarium z aligatorem. Zasztyletował, zastrzelił. Udusił plecionym sznurem. Zrzuciłbym w przepaść na alpejskim stoku. Wyrąbał siekierą przerębel w głębokiej rzece i wpuścił go tam z kamieniem u nogi. Albo samą siekierą po głowie, po żebrach. Dałbym nawet spełnienie nadziei żyletce. Gdyby to tylko mogło mu pomóc.

– Jak to? Dlaczego wcześniej...? – próbuję go skłonić do dalszej spowiedzi, jakbym już planował za chwilę dać mu ostatnie namaszczenie.

– Tak, Chris! Jestem pedałem! To było dla mnie jasne już od dawna – odpowiedział.

– Jak to od dawna? A te kobiety, z którymi byłeś?

– Fakt, że były kobiety w moim życiu, ale spałem tylko z dwiema z nich. Dokładnie to z trzema, gdyż wyłądownąłem podczas jakiegoś melanżu w burdelu z jakimiś pajacami, którzy w zasadzie mnie do tego zmusili. Nie pamiętam tego zresztą. Za pierwszym razem byłem jeszcze bardzo młody. Druga była ta smarkula, która przedawkowała kwas i szampana w mojej wannie. Ja lubię kobiety. Lubie inaczej niż ty.

– I cały czas to ukrywałeś? – pytam.

– Czy ukrywałem? Sam nie wiedziałem o tym na pewno. Jeszcze zresztą nie byłem z facetem, tak wiesz... I może nigdy nie będę. Chciałem się już nawet zabić z tego powodu. A wszystko bierze się z ograniczenia naszego języka, Chris. To, co miałem napisać, a czego już nie napiszę, miało właśnie to ograniczenie przewyciężyć. Ale to niemożliwe! Rzeczownik zawsze pozostanie rzeczownikiem. Przekonałem się, że to nie język się męczy, tylko my. Nie męczy się przecież młotek, tylko ręka, która nim macha.

– Chyba trochę cię rozumiem, Kamil. Napijmy się z tej okazji. I wiedz, że dla mnie zawsze pozostaniesz tym samym facetem, jakim byłeś – odpowiedziałem, bo widzę że błądzi gdzieś, jak zwykle, i nawet nie wie, jak bardzo jest zagubiony.

Nalewam nam pozostałe piwo trzęsącymi się rękoma. Zaschło mi w gardle, więc wychylam jednym haustem zawartość szklanki. Przypominam sobie chwilę, kiedy ta dziwna naiwność Kamila wręcz mi doskwierała, ale nie była pozbawiona sensu. Gdyby ktoś na przykład próbował mu wmówić, że filozofia to tylko idee, idee, idee, to zabiłby, wygarbował i obłożył jego skórą dzieła Platona. Sprzedawałyby się niczym amerykańskie poradniki *Jak zdobyć przyjaciół*.

Wiedzieliśmy, że mocne anioły będą dzisiaj czuwać nad nami. Czym prędzej pobiegliśmy do sklepu z garściami pełnymi monet. Zamieniliśmy je na ciężarne butelki. Przez cienkie szyjki ich macicy przedzierały się antyczne maski świeżych piskląt, wcześniaków, kalek, bliźniaków, trojaczków, karłów i wszelkich innych hybryd, wykrzywione grymasem rozczarowania. Skalpelami żartu rozcinaliśmy krocza każdej brzemiennej nadziei. Ręce poplamione porodową krwią obmywaliśmy w letnich i gęstych wo-

dach płodowych, których pełne były miski znaczeń. Sterta łożysk i odciętych pępowin rosła. Krzyki wyklutych potworów uciszaliśmy transfuzją z beczki przeżutej soli, po czym gasły one w inkubatorach zmęczenia. Zamieniliśmy paski z imionami na nadgarstkach miękkich, różowych ciałek absurdu. Pomyłka była wpisana w scenariusz tej operacji. Jutro dostaną nie swoje kości, obrane przetrawioną papką tradycji, ale doszukają się podobieństwa. Mokre fartuchy powiesiliśmy w końcu na hakach zgody i zamknęliśmy oddział.

Wypiliśmy już kilkanaście butelek. Nie policzyłby ich nawet główny księgowy *Microsoftu*. Cały dzień i cała noc! Pękła w końcu cienka nitka poczytalności. Mój mózg miał już konsystencję zacieru.

Budzący się ranek przywitaliśmy na ulicy. Musieliśmy zaczerpnąć świeżego powietrza. Budynki nachylały się nad nami, jakby zdziwione były, że tacy jesteśmy przy nich malutcy. Albo że tak się chwiejemy. Ociążałe maskary nie wiedzą, co to zawrót głowy.

Trafiliśmy do parku. Trochę zieleni, ale jeszcze takiej niedojebanej, dawało nam świeżości. Było tam też zgrabne wodne oczko, ale woda była tak brudna, że pies by nie wszedł. W każdym bądź razie miejsce nadawało się doskonale do wypoczynku. Nie wiem, czy bardziej byliśmy zmęczeni sobą, czy też ilością wypitego alkoholu. Może jeszcze kiedyś przyjdzie mi się zastanowić nad tym. A może nie.

W pewnym momencie Kamil wstał i zaproponował kolejną rundę. Zgodziłem się szybko, bo nawet gdybym próbował oponować, to i tak bym na to przystał. Na tyle siebie znam. Poszliśmy znowu do sklepu, aby zakupić kilka butelek.

Wracając do parku, w poszukiwaniu jakiegoś ustronnego miejsca, w którym moglibyśmy się cieszyć tak pięknymi okolicznościami przyrody, Kamil wpadł na szatański pomysł. Brakowało nam trzeciego do picia. Potrzebowaliśmy nowego towarzysza, który wniósłby trochę świeżości, który zaaplikowałby kroplówkę naszym umęczonym dywagacjom. I znalazł się ten trzeci.

Stał z dzieciątkiem na ręku w drzwiach otwartego na oścież kościoła. Święty Antoni odlany z taniego gipsu w formie, która mogłaby śmiało być ogrodowym krasnałem. Nawet spodobał mi się ten pomysł. Wokół nie było nikogo. Wszak dzień się dopiero rozpoczynał. Weszliśmy po kilku kamiennych stopniach i zabraliśmy go ze sobą.

Park był oddalony o jakieś siedemdziesiąt kroków. Dotarliśmy tam szybko, dźwigając na zmianę nieruchomego towarzysza naszego dalszego pijań-

stwa. Ze trzydzieści kilogramów zimnego, na niby poświęconego. Dotarliśmy w końcu do wygodnej ławki. Postawiliśmy go tuż obok nas i zaczęliśmy spijać puenty z kolejnych butelek. Zrobiło się bosko!

Mieliśmy przedni ubaw! Trwało to jednak nie dłużej niż pół godziny. W pewnym momencie ujrzeliśmy gromadę ludzi, wśród nich dwóch klechów, o oczach pedofila, dwa psy tropiące, o oczach wściekłego klechy i dwóch gliniarzy, o oczach gliniarzy. Zbliżali się szybkim krokiem, a ja już wiedziałem, co się wydarzy.

Gdy podeszli do nas, zauważyłem, że Kamil ma minę jak kogut, który w niedzielny poranek wyrzucił sobie z kart, że tego dnia skończy w rosole. Był przestraszony nie na żarty. Miał już chyba dość przygód z trzecim wymiarem niesprawiedliwości. Moje serce też skoczyło do krtani, ale się szybko opanowałem i zacząłem nucić moją ulubioną pieśń, o numerku w krzaczkach.

Najpierw poproszono nas o dowody. Nie miałem przy sobie żadnego ID, z kolei Kamil wyciągnął jakiś plastikowy prostokąt i podał go tym ciu-łom. Jakies stare baby zbite w niemalą grupkę patrzyły na nas w taki sposób, jakby ujrzały wypadające pierze ze skrzydeł aniołów. Musieliśmy wyglądać żałośnie, niczym sam diabeł, proszący na klęczkach Boga o azyl.

– Takiego państwa nie ma, proszę pana – usłyszeliśmy w grzecznym jeszcze tonie.

– Skoro jest dowód osobisty tegoż państwa, to znaczy, że ono jest – odpowiedział Kamil.

Nie miałem pojęcia, o co chodziło. Nawet się uszczypnąłem, żeby się przekonać, że to nie sen. Albo ja czegoś nie rozumiem, albo za długo mnie tu nie było.

– Gdzie leży ta Cyberia? Wydaje mi się, że nie mamy stosunków dyplomatycznych z tym państwem. Przebywa pan tutaj nielegalnie – glina kontynuuje, ale drżące wargi zdradzają pierwsze objawy zniecierpliwienia, powodującego zdenerwowanie.

Teraz uświadomiłem sobie, że Kamil pozyskał pewnie obywatelstwo którejś z tych internetowych republik, wirtualnie zrealizowanych utopii, i musiał otrzymać ślimaczą pocztą dowód nadania obywatelstwa. Właśnie się nim posługiwał.

– A mnie jebią wasze stosunki, te dyplomatyczne też! Odpierdol się gnojku! – rzucił Kamil.

– Zatrzymujemy panów do wyjaśnienia wszystkich okoliczności. Ta figura świętego Antoniego jest własnością tutejszej parafii i stanowi obiekt

sakralny. Są panowie posądzeni o kradzież symboli religijnych. Podlega to ściganiu z urzędu. Posługiwanie się fałszywymi dokumentami również. Picie alkoholu w miejscach publicznych jest niedozwolone. Znieważenie stróża porządku podlega bezwzględnej karze. Proszę o wyciągnięcie rąk i zastosowanie się do środków ograniczonego przymusu. Zostaną panowie zakuci w kajdanki i przetransportowani do komisariatu policji celem złożenia wyjaśnień.

Zamurowało mnie. Nie miałem pojęcia, o co chodzi. Kradzież, znieważanie, fałszywe dokumenty, alkohol w miejscach publicznych i jeszcze przetransportowanie, niczym wywóz gówna z szamba. Kurwa! O co chodzi? Gdybym był trzeźwy, z pewnością bym się załamał. Ale nie byłem. Kamil z kolei wybuchnął śmiechem, czym już po chwili wprawił mnie w dobry nastrój. Zaczęliśmy się śmiać, jak gówniarze po spaleniu szkła. Albo i dwóch.

Krótką jazdą w kajdankach w jakimś opancerzonym milczącym wehikule. Trochę szkoda tak miło rozpoczętego dnia! Ale szybko znajdujemy korzyści, które możemy czerpać z naszego nowego położenia. W dalszym ciągu mamy ubaw!

W tej ich ciasnej norze, mieszczącej zaledwie kilka skarłowaciałych mózdków, zapakowanych w łatwo rozpoznawalne uniformy, urwał mi się film. Pamiętam tylko kratkownicę, kraty, kratki, jednym słowem, kracistość. Na wąskiej ławce, w celi zamkniętej na klucz odsypiałem przez kilka godzin moje alkoholowe upojenie. Nie było to przyjemne, jak nie jest dla ciepłych pośladków rozłożenie się na zimnym sedesie.

Obudziłem się w momencie, kiedy zrobiło się trochę głośniejsze. Akurat przywieźli jakichś włamywaczy złapanych na gorącym uczynku, czy chuj już wie, kogo. Było w każdym bądź razie spore zamieszanie. Wszystkie psy warczały tak samo. Niektóre miały kaganiec na mordzie.

Powoli docierało do mnie, co też zaszło, co się stało, gdzie jestem i że nie jest to najlepsze położenie. Przypomniałem sobie postawione nam zarzuty. Analizuję po kolei wszystkie okoliczności. Park nie sprawiał wrażenia publicznego, bo poza nami nie było w nim nikogo oprócz kilku kaczek, na które i tak nie mieliśmy apetytu. Nie ukradliśmy tej figury, tylko potrzebowaliśmy trzeciego do picia. Choćby i nieruchawego. Ot, fantazja! Dokumenty nie są fałszywe, bo Kamil ma teraz podwójne obywatelstwo. Cyberia istnieje, bo ma przecież własną konstytucję. A państwo, które ma konstytucję, jest państwem, choćby tylko papierowym, tak jak twierdzenia logiki klasycznej są prawdziwe tylko w papierowym świecie, a nie w tym geopo-

litycznym modelu rzeczywistości. Znieważenie? Nazywanie rzeczy po imieniu nie może być godne kary. Zasluguje na nagrodę. A już na pewno w takim wypadku, kiedy słowo dobrane zostało tak celnie.

Z tą linią obrony udałem się na przesłuchanie, na które wezwano mnie wkrótce po moim przebudzeniu. Opowiedziałem, jak było naprawdę, po czym usłyszałem, że ze względu na moją pozycję, niekaralność, dobre stosunki sąsiedzkie, co mnie nieco zdziwiło, gdyż więcej o nich wiedzieli niż ja sam, i inne takie tam waga uczynku została zminimalizowana, ale kara mnie nie ominie. Będzie to jakaś grzywna, na pewno dość spora, ale obejdzie się bez wyroku więzienia. Groziło mi więzienie!

Zamurowało mnie drugi raz. Nie czuję się przestępcą, a właśnie nim się stałem. Zrobiłem w życiu dużo gorsze-lepsze rzeczy i nie poniosłem żadnej przykrych dla mnie konsekwencji. Milczałem. Starszy glina na zakończenie pyta mnie:

– Dlaczego pan to zrobił? Nie wstyd panu teraz? Zna pana tylu ludzi, a gazety opisały...

– No widzi pan... Ja po prostu jestem taki, że z gipsem się też napiję – odpowiedziałem.

14. To już czternasty

Zadzwoiła do mnie Margot. Dawno się nie widzieliśmy. Widywaliśmy się zresztą tak często, jak odnawiane są rekordy świata na dwieście metrów przez płotki. Sprawozdawca sportowy powiedziałby, że sporadycznie. Z braku lepszego terminu, pozwolę sobie go tu opatentować. Zaprosiła mnie na drinka do *C'est la vie*, bo знаła mnie na tyle dobrze, że wiedziała, iż dopiero po kilku głębszych jestem zabawny, a przecież na pewno chciała się zabawić.

Zgodziłem się bez oporów. W pierwszej chwili nie wiedziałem nawet dlaczego, ale szybko przypomniałem sobie, że lubiłem ją przecież trochę, o czym wiedzieli wszyscy nasi wspólni znajomi. To było jawne, jak książka zakazana przez cenzora w komunistycznej republice.

Z niemałym wysiłkiem dobierałem garderobę. Albo coś brudne, albo nie pasuje. To pierwsze moje publiczne wyjście po ostatnich wydarzeniach, więc chciałem się przebrać odrobinę luksusowo, aczkolwiek wygodnie, o ile to w ogóle możliwe. Trochę za długo nie byłem wyprowadzany na higieniczne spacerki przez mojego pana. Nie wiem nawet, jaka jest pogoda, hau. W sumie to nawet dobrze, bo moje terytorium w dalszym ciągu pozostawało wyraźnie oznaczone, hau, a ja nie miałem ochoty na marnotrawienie czasu podczas jakichś imprezek, na obszczekiwanie, hau, hau, znanych i nieznanym typów, no i byłem trochę zmęczony, hau. To się nazywa właśnie pieski żywot. Hau!

Nastrojony więc byłem na bycie ze sobą. Chciałem się trochę wyciszyć. Lustro napiło się kilka razy ze mną i to mi starczyło. Kilka porno obrazków mnie rozładowywało, podczas gdy kobiety mogły chodzić bezpiecznie po ulicach. Sprzedaż kondomów nie musiała wzrastać. A wzrastała!

Musiałem nadrobić też zawodowe zaległości. Sakwa pełna srebrniaków była mi bardzo potrzebna. Na całe szczęście Leonardo, mój wydawca i zbawca w jednej osobie, znalazł coś dla mnie. On chce wydawać teraz debiuty młodych autorów. To taki jego ambitny projekt, na którym na pewno zbankrutuje, ale co mnie to obchodzi. Ponieważ bardzo cenił sobie moje gruntowne klasyczne wykształcenie, to znaczy kilka wani wódki, piwa i wina, wypitych wspólnie w czasie studiów, których on niestety nie skończył, więc podesłał mi do recenzji pierwszą książkę, którą chciał opublikować. Słowo

od autora, streszczające się w odezwie: „Idioto! Nie czytaj! Bo gdybyś miał takiego kutasa, jak ja, to ruchałbyś szympany! Ja wiem, na szczęście, jak się powstrzymać”, nawet mnie zafrapowało. Zapowiadało jakąś ciekawą historię. Okazało się jednak zwykłym nadużyciem dwudziestokilkuletniego autora. Była to książka mocno o wódce, trochę miejsca o wypierdolonych przez niego nastolatkach, a cała reszta, o jakichś wyrzutach sumienia, jakiejś toksycznej miłości, jakichś majakach, czy coś tam. Trochę o jakichś subkulturach, trochę o tym, że polityka jest bez sensu, a duże miasta, za duże. Nawet nie wiem za bardzo, o co chodziło. Czuć w tym było jakiś wysiłek, niestety. Spodobało mi się tylko jego odważne przesłanie, że kobiety powinny wykorzystywać swoją głowę zgodnie z jej pierwotnym przeznaczeniem, a mianowicie do noszenia na niej zakupów, jak to czynią jeszcze w Azji, a podobno też w Afryce, i do obciążania kutasów, jak to czynią wszędzie, nie przerywając jednak głupiego gadania, a jedyne, co powinno być wtedy słyszalne, to pasja ssania. Odesłałem zatem brudnopis do Leonarda z namaszczeniem. Do druku! Nie będzie miał łatwego życia ów autor. Już słyszę ten feministyczny lament.

Roboty mi przybywało, bo niemal codziennie Leonardo coś podrzucał, a oprócz tego miałem jeszcze swoje tłumaczenia. Ograniczyłem zatem towarzystwo znajomych, sprowadzając je do kilku naprawdę niezbędnych pretekstów z piwa oraz taniej paszy i zaszyłem się w domowych pieleszach, od czasu do czasu wymieniając tylko pozdrowienia z dostawcą *pizzy* i tym dzieciakiem sąsiadów, który zabiera ode mnie puste butelki i robi niekiedy zakupy. Starego laptopa zmusiłem do intensywnego sprintu, tak że dostał zadyszki. Trzeba będzie niedługo wymienić maszynę, zanim dopadnie ją komputerowa skleroza albo zejdzie mi podczas służby, na atak twardego dysku. Reszta była nudna, jak *Nowy Testament*, więc nie ma co wspominać. Która koszula uda najlepiej, że wszystko w porządku?

Po kilku podejściach, a byłem tego dnia wybredny, jak pracownica poczty po wypłacie, przebrałem się wyśmienicie. Znalazłem w końcu jakąś marynarkę. Nie była nowa, ale sprawiała takie wrażenie. Była jak mózg studenta Akademii Wychowania Fizycznego. Nigdy nie używana!

Pozwoliłem sobie też na luksus wody kolońskiej i nawet moja jaźń była namaszczona *antyperspirantem*, bezzapachowym co prawda. Pot nie ma dzisiaj najmniejszych szans. Wszystko sprawiło dobre wrażenie. Żadnego uwierania. Przynajmniej tak mi się wydawało. Zapalam papierosa, żeby mieć jeszcze chwilę na poukładanie myśli. Bez niego byłbym już na ulicy.

Postanawiam nie opowiadać Margot za wiele o moich wozach. Nie ma zresztą co opowiadać. Wezmę trochę zdjęć. Niech sobie poogląda. Obrazki deklamują lepiej. Chcę być na tyle grzeczny, dostępny, uprzejmy i w ogóle, żeby zakończyć ten wieczór z nią w łóżku. Nie powinno mi to sprawić najmniejszej trudności. Pot nie ma przecież dzisiaj najmniejszych szans.

Dzwonię po taksówkę i wybieram się na to spotkanie, ubrany starannie, jakbym szedł na wojnę. Krótkie zdania są moją amunicją.

Z okien taksówki oglądam miasto, które zostawiłem całe wieki temu. Miasto pełne popękanych rzeźb. To było tak dawno, że już zacząłem do niego tęsknić, jak niektórzy tęsknią do swoich czworonogów, oddanych na przechowanie do specjalistycznych hoteli. Nie zauważam większych zmian. Ludzie na ulicach wydają się być niezmienni, nawet się nie przebrali. Nie przybyło im zmarszczek. Kobiety tachają siatki, siateczki, podczas gdy ich mężowie wstępują na piwo i mecz jakiś. Chore na nadwagę budynki nie zdążyły się odchudzić. Ich tłuste ciała, choć dopiero przedwieśnią, już są posmarowane granitem przeciwsłonecznym. Skwery i parki jeszcze się nie wystroiły w kwietne koszule, a woda w rzece jest nadal brudna, jak cipa przydrożnej dziwki, w którą niewielu chciałoby wejść, choćby nawet w gumowcu. Podtruta ołowiem, kadmem i rtęcią, wyżełbiona trawa, ma kolor amerykańskich pieniędzy. Udaje, że jest zielona.

Gdy dotarłem na miejsce, okazało się, że Margot już czekała. Ubrana, jak zwykle, w przykrótkie, za ciasne, pierwszego gatunku, przywitała mnie uśmiechem z reklamy podpasek, popiskując, że dawno. I rzeczywiście dawno.

Przeszliśmy przez hol do głównej sali. Zajęliśmy stolik w intymnym zakątku, obok kominka, które to miejsce lubilem najbardziej. Spoglądając na siebie z nieukrywaną radością, śledziliśmy *menu*. Byłem już głodny jak szczupak po tarle. Miałem ochotę na jakiś *beszamel*, choćby i z brokułami.

W pewnym momencie, w rogu sali, gdzie siedziała jakaś para, kobieta zaczyna głośno płakać. Szpakowaty jegomość próbuje ją uspokoić, ale ją to tylko rozjusza. Widać, że jest zdenerwowana i chętnie zaczęłaby rzucać w niego resztkami kolacji, którą właśnie skonsumowali, ale zaczyna tylko głośno krzyczeć.

– Ty haniebnym, podły, zły, nieludzki, niegodziwy szelmo! Draniu! Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

Nie mam pojęcia, o co im poszło, tak jak nie mam pojęcia, jak ja zareagowałbym w takim momencie. Nie zwracając już na nich uwagi, zagajam do Margot:

– Mam nadzieję, że nigdy nie będę w butach tego faceta. Chyba nie najlepiej musi się czuć w tej chwili.

– Och, Chris! Ty nigdy nie będziesz w takiej sytuacji. Nikt by dla ciebie nie recytował słownika wyrazów bliskoznacznych. Usłyszałbyś krótko: ty chuju, i miałbyś z głowy. Jak Cię znam, nie zdążyłbyś nawet się przejąć – odpowiedziała rozweselona, a ja zdałem sobie sprawę, że zna mnie dobrze.

Kobieta wybiegła ze szlochem. Facet kurtuazyjnie wyjął zwitek banknotów, z których kilka zostawił na stole, poprawił włosy, krawat i oddalił się spokojnym, wolnym krokiem. Za chwilę zabierze dzieci i żonę do wesołego miasteczka.

– Zresztą za to cię lubię, Chris! Ale opowiadaj, co u ciebie? Słyszałam, że zrobiłeś sobie wspaniałe wakacje.

– To ciekawe. Od kogo słyszałaś? Nikomu nie mówiłem, że były ciekawe. Faktem jest, że jestem zadowolony i muszę przyznać, że miałem dość interesujące przygody. Chociaż, jak wiesz, niczego nie planowałem i to tak jakoś samo wyszło. Nie wiem, jak mam ci to wszystko opowiedzieć. Przyniosłem trochę zdjęć, żebyś mogła sobie pooglądać. O, tu są – podaje jej wypchaną odbitkami kopertę w nadziei, że zajmie jej to chwilę.

– Mnie interesuje z kolei, co też wydarzyło się u was wszystkich. Jesteś pierwszą, no w zasadzie drugą osobą, z którą się spotykam po moim powrocie – kontynuuję.

– O tak, słyszałam, a nawet czytałam, o waszym wybryku z Kamilem. To żenujące, choć muszę przyznać, że chyba tylko was stać na taką akcję. Jak smakowała *tequila* ze świętym Antonim? – odpowiada, trzymając w ręku stos fotografii. – Ale to w sumie mało istotne. Zobaczysz, za kilka tygodni wszyscy zapomną. *À propos* twojego pytania, to Richard przysłał mi kilka emilków. Stąd wiem, co porabialiście. Słyszałam nawet o twojej nowej kobiecie. Ewa?

– Richard?! Nie mówił mi, że korespondujecie. Teraz wiem, dlaczego jaskółki są szybsze niż *jumbo jety* – odpowiadam nieco zdziwiony.

– A z tą kobietą, to już skończone – dodaje i mam ochotę na spróbowanie wina, które właśnie nam podano.

– U nas wszystko po staremu. Ja ciągle jestem zaganiana w tym moim reklamowym biznesie. Aha, zaginęła Mary, słyszałaś?

Wypijam pierwszą lampkę. Trochę wolniej, niż czynię to zwykle.

– A tak, Kamil mi powiedział. Nie mam pojęcia, co mogło się z nią stać. A jak miewa się Ludwig? – sprytnie myśli biegną szybko, jak czarnoskóry

sprinter na bieżni, i przeskakują na inny temat. Przewracają się jednak o za wysokie plotki, bo ona dalej swoje.

– Myśleliśmy, że może tobie coś mówiła o swoich planach, że może nawet poleciełicie razem. Byliście dość blisko ze sobą. Ja zresztą też uważałam ją za moją najbliższą przyjaciółkę. Zobacz, to już pół roku, a nikt nie ma od niej żadnej wiadomości. Ona zawsze była jakaś dziwna.

– Tak, może po prostu postanowiła się przeprowadzić, albo tylko odpocząć – zagajam, żeby skończyć ten temat.

– Mary?! Wyprowadzić z Paryża?! Niemożliwe! Byłam u jej rodziny, w tej małej prowansalskiej wiosce. Ona jednak zerwała z nimi kontakt już jakieś dziesięć lat temu. Ja zresztą się nie dziwię. To melina. Coś straszego. Nie mogę sobie wyobrazić, że ona pochodzi stamtąd. Sama okolica tak nudna, że rzeczywiście nadająca się tylko na tych kilka pagórków i kilka winnic. Zero ruchu. Nawet krowy sprawiały wrażenie znudzonych – mówi podekscytowana, jakby naprawdę wierzyła, że krowa w Paryżu nie byłaby znudzona.

– Sprawy może się jeszcze rozwiążą – dodaje, modląc się prawie, aby się nie rozwiązały.

– Zobacz tych kilka zdjęć, niektóre są naprawdę dobre – zmuszam ją w końcu do zajęcia się czymś innym i proponuję pierwszy toast.

– Za spotkanie!

Margot wychyla lampkę wina, jakby to był brzoskwiniowy nektar, i zajmuje się oglądaniem zdjęć. W kąciку jej ust dostrzegam pozostałą kroplę krwistoczerwonej cieczy z winnic *Bordeaux*. Rozkoszny widok. Będę go kontemplował przez następnych kilka minut, zanim w mojej głowie nie pojawi się obraz, jak upijam ją moim perłowym samogonem.

– Tak, są cudowne – przerywa mi moją intensywną projekcję.

– Wspaniałe zdjęcia, Chris! Kupię od ciebie kilka. Mówię serio – jej zachwytem nie ma końca. – Wykorzystam je w firmie. Masz negatywy?

– Oczywiście, że mam. Cieszę się, że jesteś nimi zainteresowana. No i wiesz, w sumie splotałem się doszczętnie, więc każdy grosz z wielką chęcią – dodaje, bo naprawdę się cieszę. Po pierwsze, wpadnie trochę grosza, ale jeszcze ważniejsze jest to, że przynajmniej moje wakacje wyglądają po raz pierwszy na coś niezwykłego, wspaniałego, pozbawionego rutyny. Egzotyczne słońce, utralone na kolorowych prostokątach, dodaje im tyle uroku, że sam jestem gotów uwierzyć, że były niezwykle. Już prawie nie pamiętam kaca mordercy, brudu tanich hoteli i obaw związanych z kurczący-

mi się funduszami. Nuda, która czasami doskwierała jak piasek w trampkach, już nie istnieje. Wszelkie niesnaski i kłótnie z Richardem już mnie nie dotyczą. Stają się anonimowe, jak skośnooki trup w chińskiej łaźni.

– A ty? Byłaś gdzieś na wakacjach, Margot? – pytam.

Zmieniła się trochę na twarzy. Minę miała, niczym zdeklarowany humanista, który po przeczytaniu jakiejś porządnej pozycji z metodologii nauk empirycznych, zadając sobie pytanie, co autor chciał przez to powiedzieć, nie potrafi udzielić ścisłej odpowiedzi.

– W zasadzie to nie, Chris – wybąkała w końcu. – Wyjechałam kilkakrotnie z miasta. Ot tyle! Byłam tylko na jakimś plenerze zorganizowanym dla malarzy z Polski, Rosji i Czech, ale trzeba by ich najpierw nauczyć trzymania pędzla, a potem organizować dla nich plenery. Strata czasu. Byłam w Genewie na targach, ale raczej zawodowo. Niczego interesującego nie doświadczyłam. Zapewniam cię – dodaje.

– Z pewnością trochę przesadzasz – próbuję pokolorować jej najświeższe wspomnienia.

– Ale w międzyczasie zrobiłam remont mieszkania. Wszystko było do góry nogami. Porozbijane ścianki, przekucia, nowe okna, parapety, podłogi. Myślałam, że tego nie przeżyję. Koleżanka, która jest dość znanym architektem, wszystko zaprojektowała, przysłała mi firmę i właśnie jakiś miesiąc temu skończyli. Teraz jestem z tego powodu naprawdę szczęśliwa. Jest cudownie! Zapraszam cię!

– Dobrze. Możemy po kilku drinkach pojechać do ciebie. Nie mam nic przeciwko temu. Masz kogoś czy nadal jesteś sama?

– Sama nie jestem i nigdy nie byłam! Wiesz przecież. Jest teraz pewien facet, ale to nie pochłania mnie za bardzo. Na szczęście. On ma rodzinę, żonę, dzieci. Wiesz, idealny układ, jak dla mnie.

Kelner przyniósł zamówione przez nas dania. Mój beszamel prezentował się wspaniale. Konsystencja i kolor kaszki dla dzieci. Był świeży i dobrze zmiksowany. Nawet po rzygnięciu takim beszamelem wciąż pozostałby on arystokratą wśród innych rzygowin. Za to upieczony ptak Margot nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Wciąż błagał o litość, pomimo że pióra już zamienili mu na sezamowy kombinezon, a w kuper włożyli śliwkowe nadzienie. Widać było, że całe życie spędził w kaczce *Bastylii*.

Nie zważając na to, zabieram się do konsumpcji, życząc Margot *bon appetit*.

Zajadamy się zapamiętałe, popijając od czasu do czasu pierwszorzędnym winem. Margot operuje sztucami swoją kaczkę, tu przytnie, tu na-

dzieje. Robi to po mistrzowsku. Ja zwalniał świadomie jedzenie, bo mógłbym połknąć mój półmisek jednym haustem, a nie wypada. Więc dziobię po kawałeczku, dokopując się co chwilę do brokułowej kwintesencji.

– A co u Soni? – zagadnęła.

– To też skończone, jeszcze przed moim wyjazdem, Margot – odpowiedziałem, żeby definitywnie skończyć temat, od którego mnie mdli. Nie wyrzygam się przecież na jej talerz.

Zapadła cisza, przerywana tylko metalicznymi dźwiękami tańczących sztućców i pojedynczymi mlaśnięciami. Spoglądałam na nią trochę ukradkiem, starając się wykryć wszystkie zmiany jej ciała, które nastąpiły podczas mojej nieobecności. Staram się być analityczny, niczym szachista podczas symultany. Zawsze byłem w tym dobry. Szybko potrafię odkryć, która z nich jest oryginalna, a która kupiła swój brzuch, swe uda czy dupsko na wyprzedzący u miękkich chirurgów, więc i teraz dostrzegam kilka niemyłych defektów, które naszkicował czas, a ona starała się zamaskować tynkiem z pudru. Całość nie robi jednak złego wrażenia. Szach! Jej długie włosy, zamienione w płonące kędziory, wprawdzie wydają się trochę zabawne, bo przesadziła odrobinę z farbą, ale za to wyzierające z głębokiego dekoltu piersi, z pewnością przytrzymywane fiszbinami *bardotki*, na pierwszy rzut oka wcale nie wyglądały na zdrutowane. Ma wciąż tę samą delikatną, białą skórę, którą już nieraz nasączyłem moim krochmalem. Chciałbym wierzyć, że to moje maseczki tak ją podtrzymują. Teraz też sprawia przecież wrażenie, jakby wzięła się prosto z magla. Jej skórę powinni byli wygarbować zaraz po urodzeniu. Buty, paski i portmonetki sprzedawałyby się wyśmienicie.

Gdy dokończyliśmy zamiatanie talerzy, postanowiłem, że przeniesiemy się w jakieś żywsze miejsce. Tutaj byliśmy za bardzo sami i było za cicho. Smużący, jak dym z kadzidełka, *acid jazz* mógłby nas podsłuchiwać. Musiałbym się więc wysilać, żeby spijać uszami jej obfity ślinotok lub wymyślać jakieś tematy zastępcze, dokładać do ognia dyskusji drwa delikatnych metafor, kamuflujących mój ostateczny cel.

Margot, ku mojemu zdziwieniu, tudzież radości, uregulowała rachunek.

– Czuj się zaproszony, Chris – powiedziała.

Cieszyłem się, bo przynajmniej na nią nie muszę wydawać swoich pieniędzy. To miłe z jej strony. I daje jej przecież pewną satysfakcję. Nie większą co prawda niż mi, ale nauczyła się już przynajmniej, że to też można kupić.

Na zewnątrz było już ciemno. Margot dzwoniła ze swojego telefonu po transport. Podczas gdy czekaliśmy na taksówkę, ja podziwiałem kombina-

cje żarówek na czarnym suficie ziemi. Nie było najmniejszej chmurki, więc nic nie przeszkadzało mi w zachwycaniu się doskonałą współpracą epistolarną nieskończonej ilości wszechświatów, widoczną gołym okiem. Żadnych zgrzytów i żadnych potknięć. Nie trzeba nawet teleskopu, żeby stwierdzić, że w niebie wszystko gra, jak należy. Bez żadnych traktatów, umów, zapewnień. Z kolei u nas na ziemi ciągle ktoś pod kimś dolki kopie, ktoś komuś nogę, ktoś lipny orgazm albo armatę nawet. A to bubla na rynku kupisz, a to wspólnik wspólnika, a to spóźnia się taksówka, jak choćby teraz, a to cię posądzą niesłusznie, a to okradną, pobiją, a to babcia wnuczka zamorduje szydełkiem i to nie dlatego wcale, że biedna niedowidzi, a to armia armię po pustyni gania. Można tak w nieskończoność wylizywać. A wszystko bierze się stąd, że tutaj entuzjastów takiego pokojowego, bezkonfliktowego współistnienia jest tylu, ilu entuzjastów przedwczesnego wytrysku. Falstart to dyskwalifikacja.

Taksówka zjawiała się w końcu i szybko wsiedliśmy do niej. Była ciasna niczym sukienka Margot. Nie mogłem wziąć głębszego oddechu, bo pękłaby w szwach. Kierowca, jakiś emigrant, jak zorientowałem się w pierwszej chwili po jego be be akcencie, nie byłby zadowolony. Podróż nie była jednak długa. Przejechaliśmy przez dzielnice nudne jak kurorty dla rencistów i za siedmioma mostami, za siedmioma McDonaldami byliśmy na miejscu.

Taniec oświetlonych szyldów, fajerwerki neonów, tętniąca w powietrzu muzyka oraz tłum rozbawionych ludzi wprowadziły mnie w wyjątkowo dobry nastrój. Jeszcze przed chwilą byłem budzącym się z zimowego snu niedźwiedziem, a już teraz jestem skłonny do figli wiewiórem. Zmierzamy w pośpiechu do któregoś z naszych ulubionych barów.

Ciasno tak, że czuję się, jak moja własna fiszka, włożona między stronicę „Kapitału” Marksa, niewiedząca, czy jeszcze kiedyś będzie potrzebna i zastanawiająca się, czy przypadkiem o niej nie zapomniałem. Wolę być jednak samym dziełem, a nie nędzną fiszką, więc rozpycham się, jak „Kapitał” na półce, pociągając za sobą Margot w stronę baru, jak pewne idee pociągnęły studentów w sześćdziesiątym ósmym na barykady Paryża. Podąża za mną bez oporu. Zostaliśmy w końcu dostrzeżeni przez znajomego barmana. Szybko dostaliśmy to, czego chcieliśmy.

– A zatem jesteście! – woła uradowana.

– Tak, w soboty zawsze tu było bardzo tłoczno. Widzę, że nic się nie zmienia. Dzień hulanki i swawoli. Kury wydojone, krowy nakarmione, a my na disco – odpowiadam.

– Wiesz, w tygodniu rzeczywiście trudno znaleźć czas. Nie każdy urządził się tak, jak ty – przemówiła, sącząc *martini gin*.

– Rozumiem.

– O! – krzyknęła i rozłożyła ręce w powitalnym geście zapaśnika.

Podchodzi do nas jakiś facet. Ubrany jest w ciemną marynarkę i czarny podkoszulek, zupełnie tak samo jak ja. Za długo się dzisiaj ubierałem, żeby nie być w ogóle tym zainteresowany. Włosy ma przystrzyżone krótko i równo, jakby jego fryzjer nie wiedział, że głowa to nie trawiaasty kort tenisowy *Wimbledonu*.

– Wspaniale dzisiaj wyglądasz Margot! – odzywa się i obejmuje ją w pól.

– Ona zawsze wspaniale wygląda! – prostuję go.

– A tak, rzeczywiście. Najmocniej przepraszam. Właśnie to miałem na myśli – już zmusiłem go do tłumaczeń, ale wybrnął z tego na cztery. Wiem, że nie chciał być niegrzeczny, ale takim powitaniem mógł sobie przecież napytać biedy, gdyby tylko w głowie kobiety, nawet takiej, którą osobiście lubię, było chociaż trochę analitycznego oleju. Margot nawet nie zauważyła jednak, że tak ją witając, ten facet był wręcz chamski. Zachował się tak, jakby chcąc zjeść krowę, zabrał się do niej od kopyt.

– Chris, poznaj! To jest Oliver. Oliver! Poznaj Chrisa. To ten sam gość, o którym ci tyle opowiadałam – przedstawiła nas sobie.

– Cieszę się, że mogę poznać – już się do mnie przymila.

– Miło mi – odpowiadam, ale dodaję – przepraszam was na chwilę. Muszę do toalety, a zresztą widziałem kogoś znajomego, tam w drugim kącie. Chciałbym sprawdzić.

– Nie ma sprawy. Tylko wróć tu do mnie, Chris – odpowiedziała Margot.

Nie miałem dzisiaj ochoty na autoprezentację i nie chciałem spotykać jakichś nowych obcych. I tak nie zapamiętałbym imienia, a przynajmniej mam taką nadzieję. Niech sobie pogadają. Ja przynajmniej trochę odpocznę od Margot. Mam z nią przecież spędzić jeszcze całą noc, a może nawet jutrzejsze przedpołudnie. Wystarczająco dużo czasu, żeby przelecieć ją kilkakrotnie. Wystarczająco dużo czasu, żeby znudzić się nią na następne pół roku.

Takie spotkania są dla mnie czasami radosne, a czasami frustrujące, jak była dla mnie zabawa w piaskownicy w okresie dzieciństwa. Niekiedy ulepione zamki z piasku były powodem do mojej dumy, a niekiedy rozpadły się, zanim ktokolwiek zdążył je docenić. Na dodatek zawsze znajdowało się kilku amatorów moich zabawek. Dzieci z reguły wolą się bawić cudzą za-

bawką niż swoją własną. Albo przynajmniej zgłaszają obiekcje, że bawisz się w inny sposób niż one. Niezależnie od tego, zawsze znajdzie się jakiś powód, żeby kogoś kopnąć albo z kolei dozgonnie się zaprzyjaźnić. I wszystko byłoby w porządku, gdybyś mógł przewidzieć, że nie będziesz tym kopanym, albo pod warunkiem że lubisz pogrzeby.

Z drinkiem w dłoni przechadzałem się po knajpie. Przystanąłem za filarem, żeby Margot i jej znajomy mnie nie zauważyli. Miałem chwilę na osobistego papierosa. Na dość małym parkiecie tańczyło zaledwie kilka par, ale i tak robiło to wrażenie niesłychanego tłoku. Tańczący jakoś nigdy mnie nie zachwycali. Te gibania i podskoki, obroty i te nienaturalne figo fago czasami mnie nawet drażniły. Sam nie tańczę najlepiej, a zdarza mi się to tylko wtedy, gdy tracę kontrolę na skutek dużej ilości wchłoniętego alkoholu i mam ochotę obmacać jakiś zwiastun mojego wytrysku.

W samym rogu długiego baru spostrzegam kilka kobiet stojących razem, trzymających podłużne kielichy z fioletowymi drinkami. Wszystkie sprawiają wrażenie smacznych, jak kawałki egzotycznych owoców zawieszonych na ich słomkach. Mocno gestykują podczas rozmowy. Jedna z nich jest naprawdę piękna i świeża, jak należąca do niej kawałek ananasa. Jest młodzietka i ma twarz zaprojektowaną w najlepszej klinice chirurgii plastycznej. Wiem, że przyszła tu, tak jak i inne, poszukać sobie fiuta, który wypełni ją tej nocy spazmatycznym żelem. Wydała mi się jednak nieskazitelnie czysta i pierwszego sortu, niczym majtki papieża. Tylko na widok przystojnego młodzieńca pojawia się kisiel.

Wróciłem do Margot. Nie wypadało mi dłużej kręcić się w kółko, zresztą z powodu tłoku było to męczące. A pot nie miał mieć dzisiaj najmniejszych szans.

– Kto to był? – zapytałem.

– To był właśnie mój obecny facet – odpowiedziała.

– Nie wierzę – i rzeczywiście nie wierzyłem, tak jak po czterystu rozstaniach z Sonią nie mogłem uwierzyć, że to ostatnie, to już ostatnie.

– Naprawdę, Chris. Przecież nie oszukałabym cię. Ale spotkaliśmy się przypadkiem. Zapewniam cię. Nie wiedziałam, że tu będzie.

– Zresztą to twoja sprawa. Szkoda, że nie poznałem go bliżej – udaję głęboki żal.

– Tak, on jest czasami naprawdę dowcipny – mówi Margot, a ja wyobrażam sobie, jak bardzo musi być do, skoro go tak zachwala. Po chwili zastanowienia dodaje: – Tylko ze względu na jego sytuację, wiesz rodzina i tak

dalej, on nie chce ujawniać publicznie naszego związku, jeżeli można to w ogóle tak nazwać.

– Nie dziwię się.

– Dla mnie to zresztą też lepsze – dokańcza Margot.

Sączymy drinki. *Gin* i tonik. Jest za głośno, żebyśmy mogli dyskutować bez przerwy, z czego się cieszę. Nie muszę się specjalnie wysilać. Dobrze to zaplanowałem. Mam czas na rozglądanie się wokół. Mogę w swojej głowie wyprawiać różne hece. Mój projektor pracuje.

W pewnym momencie ona znowu się do mnie odzywa.

– Aha, właśnie się dowiedziałam, że w Instytucie Filozofii odbędzie się wykład księdza profesora jakiegoś tam. Pomyślałam, że jesteś zainteresowany. Dawno cię nie było, więc będziesz mógł spotkać trochę ludzi.

– Ja? Zainteresowany wykładem jakiegoś księdza? Nie, Margot, w ogóle mnie to nie interesuje. Pozwól, że coś ci wyjawię – odpowiadam i kontynuuję. – W życiu nie spotkałem inteligentnego klechy. Wiem nawet, dlaczego... Nie uczą tego na lekcjach fizyki w najbardziej postępowych szkołach, a szkoda. Tak jak ciało Archimedesesa wyparło wodę, gdy się w niej zanurzył, tak niewytryśnięta sperma wypiera mózg – kończę swój wykład, zadowolony, że ja dbam, a żeby mój własny nie został wyparty.

– Ty to masz żarty, Chris – odpowiedziała, jakby naprawdę myślała, że nie mówię serio, i dodała – stajesz się zabawniejszy wprost proporcjonalnie do ilości wchłoniętego przez siebie alkoholu.

– A ty zaczynasz być niegrzeczna jak dorastająca dziewczynka, która odkryła zalety masturbacji – odpowiedziałem, bo jej żart z kolei wydawał mi się naprawdę niegrzeczny. Możliwe jednak, że byłem już przewrażliwiony. Będę musiał jej to wybaczyć, jak wybaczam moim ulubionym pisarzom słabsze fragmenty ich dzieł. Nie zawsze byli przecież pijani.

Po kilku kolejkach poczułem, że mam już w głowie upiora. Niejednego nawet. Jeżeli chcę dokonać dzieła, to najwyższy czas, żeby pojechać do jej mieszkania i po tych wszystkich ceregielach przejść do sedna. Pomimo że bardzo chciałem mieć już to pierwsze podejście za sobą, to zdawałem sobie sprawę, że będę musiał się jednak powstrzymać, jak powstrzymuje się straż pożarna spiesząca do pożaru. Tylko idiota chciałby się poparzyć.

Zapytałem zatem Margot, czy nie ma ochoty na dokończenie imprezy u niej w domu, na co zgodziła się oczywiście w pierwszej chwili. Na pewno wiedziała, że sama poczuje się pewniej, gdy będzie miała mnie już u siebie. Nie trwało to długo, zanim otworzyła patentowy zamek.

– Zapraszam, Chris – powiedziała, a ja wszedłem do jej mieszkania.

Na samym wstępie przywitało mnie szczekanie mikroskopijnego psa z trwałą na grzbiecie. Po chwili usłyszałem też skrzeczące *hello*, którym przywitał mnie jej fluoroscencyjny ptak z rozczochraną grzywką. Tylko akwarium z piraniami zachowało się tak, jakby ciszę przechowywało specjalnie dla mnie. Istny zwierzyniec, pomyślałem.

Nie zważając na to wszystko, rozsiadłem się wygodnie pośrodku odnowionego salonu. Pierwsze, co dostrzegłem, to zbyt duża ilość zafajdanych farbami plam na grubej, tłoczonyj tapecie. Dywan z odkurzaczem też pozostawał w najlepszych stosunkach. Kryształowy żyrandol sprawiał wrażenie tak ciężkiego, że sufit aż bladł z wysiłku, żeby go tylko nie upuścić. Każdy przedmiot miał tu swoje miejsce i nie można było sobie nawet wyobrazić, że mógłby znajdować się gdzieś indziej. Całość sprawiała wrażenie, jakby to była tylko dekoracja, przygotowana do kolejnego odcinka brazylijskiego tasiemca.

Margot szybko przygotowała jakieś drinki. Dzięki temu przetrzymałem następną godzinę, zanim ona się dostatecznie wygadała na temat przeprowadzonego remontu, zawodowych sukcesów, osobistych porażek. Moim tak, tak, pięknie i cudownie, towarzyszyło kiwanie głowy, żeby wyglądało bardziej realistycznie, że jestem choć trochę zainteresowany. Umiejętnie stosowany *body language*, jak uczą podręczniki do *public relations*, może więcej zdziałać niż tylko sucha gadka. Niech uczą się z niego związkowcy!

Nie chciałem przedłużać tego jej nudnego monologu w nieskończoność. W końcu musiałem się do niej zabrać. Przysiadłem się więc bliżej. Wiedziałem, że gdy tylko dotknę jej kolana, zrobi się gorąco. Znałem ją dobrze. Wiedziałem, że gdy swoją dłonią musnę jej rozchylonych ud, będzie już mokra, jak świeżo wyjęta z wody ryba. Więc zgodnie z tym scenariuszem postępowiałem krok po kroku. Klaps!

Podczas gdy jedną ręką masowałem jej udo, drugą uciskałem jej mięsistą łydkę. I tak na przemian. Po kilku takich zabiegach Margot uniosła swą kształtną dupę, żebym mógł z niej ściągnąć rajtuzy i majtki. Zawsze miała wspaniałą bieliznę, którą dobierała godzinami w najlepszych butikach. Bielizna jest jednak tylko opakowaniem. Szyńka też owinięta jest sznurkiem.

Wszystko mogłem podziwiać w lustrzanej ścianie naprzeciwko nas, za którą ukryta była jej garderoba. Lubię oglądać te akty symulowanej prokreacji w lustrze. Wydają się wtedy bardziej symulowane, niż są w rzeczywistości. Moje własne oczy dopingują mnie do działań bardziej bezpośred-

nich, śmiałych, odważnych, bo chcę się popisać przed samym sobą. Zamieniam się w łózkowego gladiatora, lechtaczkowego wirtuoza, któremu sam biłbym brawo, gdyby tylko moje ręce nie były zajęte ugniataniem, masowaniem, muskaniem, klepaniem, drapaniem, ściskaniem, wpychaniem i do tego wszystkiego papierosem czasami.

Właśnie przypomniałem sobie, że gdy rozepnę ten koronkowo-fiszbinowy stanik, ujrzę jej kruczoczarny włos, zakorzeniony w aureolce brodawki, na falującej piersi. Przestraszyłem się, że nowa lustrzana ściana, gdy tylko go zobaczy, może pęknąć z obrzydzenia. Ja pamiętam go dobrze, bo za pierwszym razem, gdy go ujrzałem, też byłem zde gustowany, jak nigdy. Dopiero później uznałem, że to jedna z tych atawistycznych cech, odziedziczonych po małpach, które należy cenić ponad wszystko, niczym zioło w chińskiej medycynie. Poza nim nie ma w niej nic interesującego. I wiem, że trochę spłyciłem. Chińską medycynę. Lustrzana ściana nie pęka.

Margot zaczęła oddychać szybciej. Miała półprzymknięte oczy. Nadstawiła się sama na moje pieszczoty. Własnymi rękami podawała mi do lizania jej spragnione cyce, wrażliwe na najdelikatniejsze chuchnięcie, na najłabszy ucisk. Gdy zacząłem je ssać, jeden po drugim, zaczęła posapywać i przeciągle mrużyć. Przypominało to odgłosy marcowego kota do tego stopnia, że jej pudel zaczął warczeć. Aż bałem się pomyśleć, co mogła wyobrazić sobie jej gadająca papuga. Przy mnie nie musiała się jednak powstrzymać. Nie mieliśmy w łóżku żadnych tajemnic. Zналиśmy się bardzo dobrze. Mogła nawet brzmieć jak popsuta spluczka w kiblu. Mogła piszczeć jak nie nasmarowany zawias. Mogła nawet jeść meczące kozy z nosa.

Dotykam jej ogolonej cipy. Śluz na mięsistych wrotach jest gorący. Wiem, że już się gotuje we własnym sosie.

Ja też już byłem gotowy. Trzymała w ręku mojego kutasa, masując go w górę i w dół, dzięki czemu wciąż sztywniał i rósł. Zbliżyłem go do jej piersi. Splunęła między nie i włożyła go tam, zaciskając na nim swe podniecone melony. Zacząłem delikatnie posuwać go tam i z powrotem. Jej podпита ślina zapewniła mu dobre smarowanie. Usta miała otwarte i skierowane w kierunku jego, pojawiającej się i znikającej, głowy. Pozwalałem jej chwilami dotknąć go językiem, a od czasu do czasu wkładałem go tak głęboko, że gdybym miał na nim oczy, to mógłbym podziwiać jej migdały. Może nawet mógłbym zobaczyć kaczkę, którą zjadła ze mną przed kilkoma godzinami. Mój kutas jest jednak ślepy. Jedyńą z tego korzyścią jest to, że nie boi się zębów.

Po kilkunastu rundach zachciało mi się ją w końcu porządnie wyruchać. Wyjąłem go spomiędzy jej gorących salcesonów, czemu też już była rada. Zołądz była nabrzmiąta, lśniąca, koloru sportowego *ferrari*. Chciała już wrzeszczeć do utraty tchu.

Pozbyłem się resztek ubrania i wszedłem w nią jednym pchnięciem. Szybko przeszedłem do cwału, tak, że już po chwili mój koń brał udział w gonitwie. Margot rzucała się pode mną, jakby zapomniąta, że tylko ją porządnie pierdolę, i myślała, że przeprowadzam lobotomię. Wszystko musiało już jej się popierdolić. Insulinowy szok uderzył jej do głowy w momencie, gdy adrenalina zaczęła parować uszami. Ryczała i przeklinała jak podpalana na stosie czarownica. Całe szczęście chlusnąłem w porę i mógłbym przysiąc, że gdy moja sperma skapała na jej skórę, usłyszałem syk, a zaraz potem poczułem swąd, jaki mogłyby wydać ziemniaki pieczone na rozgrzanej blasze pieca. Drgawki po jej ciele biegały jak myszy po młynie. Wcierała w skórę moją przyjemność. Stygła powoli.

15. Śrubokręt

Kolejny kac przywitał mnie dwoma szklankami zimnej wody. To już staje się uciążliwe i nudne, jak życie robotniczej rodziny z popsutym telewizorem. Wiem doskonale, ale nie mogę jednak dać sobie z tym rady. Do ostatniej szklanki wierzę zawsze, że kaca nie zbudzę, że mogę wlać w siebie, ile wlezie, a jutro nie istnieje, bo obudzę się dopiero pojutrze.

Zasłonięte żaluzjami okno, za którym nie dzieje się nic, co mogłoby mnie jeszcze zdziwić, jest tylko pustym oczodołem. Już nie ropieje nawet żadną ciekawością. Znam na pamięć wszystkie wyuczone sztuczki świata kuglarza, tego cyrkowego włóczęgi i choćby obiecał wytresować jeszcze swoje sprytnie zwierzęta matki nadziei, to nie wyjrzę przez nie. Dla mnie tam już nie ma nic. Rynsztok już się zapełnił, a reszta pogrążona jest nadal w odmęcie pruderii. Nawet słońce tak się wstydzi, że oslepia mnie blaskiem, żebym przypadkiem go nie podglądał.

W pokoju kurz, parapet, pościel prosząca o pralnię, bujany fotel nieużywany, spalona żarówka w lampie i letnia woda w szklance. Biurko, niebezpieczne jak przepelnione więzienie. Od tygodnia nie siedzę.

Wczorajsza impreza odbija mi się półmiskami serów i tanim winem. To nie była udana impreza. Nie znałem większości ludzi obecnych na tym przyjęciu. Kobiety były brzydkie i tępe do tego stopnia, że gdyby nawet miały po dwie lechtaczki, to nie zainteresowałbym się żadną z nich. No może znalazłby się jakiś wyjątek, gdyby któraś miała na dodatek głęboki uraz mózgu, czyniący z niej niemowę. Niestety pieprzyły bez sensu, recytując całe rozdziały z podręczników historii sztuki, niektóre z ekonomii, a niektóre z wczesnych pism Anzelma z Canterbury. Myny zmieniały tak często, jak ameba kształty. I wszystkie się uśmiechały.

Faceci z kolei byli nudni, jak antytoksyny, jak marne powieścicidła. Przybierali pozy, jakby artretyzm pożerał już ich kości, jakby dźwigali ze sobą czerwonego guza zaawansowanej przepukliny. Można było uwierzyć, że ich matki były wydepilowanymi samicami goryli, po których odziedziczyli opadłe szczęki, nawyk drapania się po głowie i durną ciekawość. Wtedy nie można by im nic zarzucić. Bali się jednak usiąść choć na chwilę, jak gdyby ich dupska były porośnięte ropiejącymi hemoroidami. Żaden nie potrafił też ustać prosto, zając się z należnym pietyzmem napełnianiem szklanki

czy choćby spróbować zachować obojętny wyraz twarzy. Biegali wokół jak poparzeni i gromkim śmiechem próbowali udowodnić, że bawią się wyśmienicie. Złote zęby błyskały co chwilę, jak flesze aparatów fotograficznych. Nie byli zdolni nawet zjeść z kulturą, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że żeby kupić te swoje rolexy, przez długi czas żyli o kromce chleba z dżemem. Na dodatek ślinili się na widok kręcących się dup do tego stopnia, że sprawiali wrażenie zarażonych wirusowym zapaleniem opon mózgowych. Gdyby przedwiośnie mogło rozłożyć nogi, to by je wyruchali.

Spotkałem jednak starą znajomą, przypadkowo owdowiałą niedawno. Przypadki wypadają czasami z zakrętów z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. W wieku była już mocno zaawansowana. Jej skóra jeszcze się nie rozkładała, ale potrzebowała specjalnej troski, niczym rękopisy Galileusza. Mieliśmy kilka wspólnych tematów, bo prowadziła kiedyś ciekawe wykłady z socjobiologii. Pamiętam, że cenilem sobie te wykłady i specjalnie skracałem nawet swoje posiadówki w bibliotece, żeby zdążyć do jej instytutu. Socjobiologia daje nam więcej praktycznej wiedzy, niż moglibyśmy przypuszczać. Szczególnie w powiązaniu z innymi naukami, choćby tak zwaną wiedzą o społeczeństwie. Na przykład zagadnienie cyklu miesięcznego wśród naczelnych i permanentnej dostępności samic. Toż już piętnastolatek wie, że na Indianina najlepiej. Po czerwonoskórym chuju nie ma alimentów.

Gdyby pójść tym tropem nieco dalej, to naukowo wyjaśnione, tak popularne przecież, samobójstwa wśród zwierząt, jak u szczurów czy u wielorybów, dowodzą z kolei, że czytanie Schopenhauera jest całkowicie bezpieczne.

Najważniejsze jednak jest to, że ona była też smakoszem stołowego wina, więc upłynęło nam kilka godzin na rozmowie. Tak długo z nią dyskutowałem, że moje myśli popłynęły w końcu jej jajnikami do oka samej macicy. Najlepszej maści plemniki, ulepione z podwójnej jajecznicy, którą miałem dzień wcześniej na śniadanie, rozbiły sobie głowy o spiralę z dentystycznej stali. Spazm rozpaczy szarpnął jej zwiędłą różą, której płatki zawięły się na moim berle, zatopionym w szkarłatnym odmęcie śluzu. Do ostatniego skurczu mojej tryskającej armaty trzymałem w dłoniach jej przelewające się cyce. Miała olbrzymie aureole wokół dość płaskich sutków. Spod ich bladej skóry prześwitywały żyły, co sprawiało wrażenie, jakby najebała się jakimś turkusowym napitkiem. Ssałem je bez opamiętania. Lizałem i podgryzałem, a ona skręcała się przy każdej pieszczocie. Z wybaluszonymi oczyma stękała, o tak mi rób, tak mi rób, mocniej, oooo, jak dobrze, jak

dobrze. Jej łososiomokra cipa była z rodzaju tych zasysających. I głębokich. Wciągała, jak powieść z tajnym agentem w roli głównej. Nie powiem jednak, żeby było to ekscytujące, jak na przykład namalowanie pierwszego *graffiti* czy nasranie do szuflady nauczycielce od biologii. To było raczej, jak głaskanie osieroczonego psa w schronisku. Litość wyciska lzy jak obierana cebula.

Najgorszy w tym wszystkim był moment po. Ona przyniosła kawę. Papierosy nabrały tego smaku, dla którego zostały wyprodukowane. Kawa była zachwycona i ja też.

Siedzieliśmy nadzy w salonie z widokiem na spokój. W kominku trzaśkały drewniane kalorie, połykane przez głodne żmije ognia, ocierające się o nasze ciała przyjemnym pulsującym ciepłem łusek zadowolenia. W mojej głowie zabrzmiała pierwsza nuta poczytalności. Spojrzałem na nią, na jej żalotne, obwisłe, wielkie cyce, na których wciąż pojawiały się nowe rozstępy, a które w płaszczyźnie horyzontalnej chciały się dosłownie wylać na podłogę jakąś sflaczałą Niagarą. Musiałem jej powiedzieć, że w sumie nie chciałem jej wyjebać i że lepiej by było dla nas, gdyby tego dupczenia wcale nie było. Lubilem ją przecież, jak drobnomieszczanin lubi prozę Prosta. Trzymać na półkach i nie dotykać. Jeszcze pogięłyby się okładki.

Ciało mamy po to, aby go używać, to fakt, ale mózg jest po to, aby nie wytrzymać. Uważałem więc poinformowanie jej o tym za swój obowiązek. Ludzie muszą przecież ze sobą rozmawiać, choćby byli nawet trzeźwi. Wykałaczką nie są tylko ozdobą stołu.

Potem ubierałem się w pośpiechu. Nie miałem ochoty wysłuchiwać, jakim to skurwysynem się okazałem i tak dalej. Niczego nie rozumiała. Stara, głupia cipa! Chciałem być tylko szczery. Chciałem jej tylko powiedzieć, że trudno, że stało się, że jakoś zawsze mi tak, kurwa, wychodzi. Gdybym wiedział, że to ją tak rozdrażni, to nic bym nie mówił i został do rana. Nie zdychałbym teraz z pragnienia. Leczyłaby mnie zimnymi okładkami, napojami, masażami. Owinęłaby mnie kokonem letniego ręcznika *frotté* i pozwolila się wyspać.

Wróciłem do domu i odespałem dwugodzinne sapanie.

Z oficjalnego listu, który dzisiaj otrzymałem z banku, dowiedziałem się, że znowu zrobiłem debet na swoim koncie. Całkiem spory. Dyrekcja wyraża zaniepokojenie i tak dalej. Cholera! Długi dopadają mnie zawsze niczym peleton maratończyka, który za ostro zaczął. Za każdym razem, gdy wydaję więcej niż zwykle, postanawiam sobie też zarabiać więcej. Żeby tylko jeszcze mój portfel wiedział, co to znaczy. Kac i debet mnie nie opuszczają.

Czasami wydaje mi się, że już niebawem wpadnę na jakiś nadzwyczaj prosty pomysł, który napelni moje konto nieprzebraną furą szmalu, a ja będę mógł wydawać, wydawać, wydawać, bez opamiętania. Komuś wystarczyło przecież, że wymyślił biurowy spinacz, żeby kilka pokoleń w jego rodzinie nie wiedziało zupełnie, co to jest żarówka energooszczędna, i mogło się martwić tylko o to, w co najlepiej zainwestować. Tymczasem, moje wysiłki sprzysięgają się przeciwko mnie, jak zbuntowany anioł przeciwko Bogu Stwórcy w pewnej poczytnej noweli, czy *bessa* przeciwko gieldzie, w świecie wirtualnych finansów. Dzwonię zatem do Leonarda w nadziei, że ten telefon wystarczy, aby przelał coś awansem na moje konto. Niech dyrekcja śpi spokojnie.

W sklepie, gdzie robiłem drobne zakupy, zrobiła się przy kasie długa kolejka. Gdy stanąłem na jej końcu przekląłem bardzo na głos.

– Kurwa! – krzyknąłem sam do siebie.

– Panie, dzieci tu są! Niech się pan opanuje! – odwróciła się w moją stronę bezzębna staruszka.

– Cham! – powiedziała do mnie jakaś kobieta z wózkiem. Siedziały w nim bliźniaki.

– Przepraszam, wyrwało mi się – odpowiedziałem, bo widzę, że one naprawdę są w rozpacz. Stara ma minę, jakbym próbował jej udowodnić, że Chrystusowi w momencie wbicia gwoździ w nadgarstki wypadło jelito grube i rozwinęło się, pokapując sraczką po ostatniej wieczerzy. Jeszcze spowoduję, że znowu komórka jajowa tej młodszej podzieli się na dwoje, z czego nie będzie zadowolony bezrobotny ojciec.

– Co za maniery! No wie pan co! – komentarze nie ustawały.

– A co, kurwa! Nie podoba się?! – ripostuję, bo już się zdenerwowałem. Wystarczyło jedno słowo, a przeprosiłem, ale takich komentarzy już nie zdzierzę.

– Jak się pan wyraża, panie. Boże, co za ludzie! – lamentują obydwie, udając zniesmaczone. Dobrze, że bliźniaki jeszcze nie mówią, bo gotowe poprosić, abym zdefiniował używane przeze mnie pojęcie.

– Proszę pilnować swojej kolejki – kończę ten bezsensowny dialog. Widzę przecież, że są tak głupie, że zaczynam współczuć nawet ich ubraniu. Się wstydzi.

W powietrzu wyczuwam zapach mojego oddechu, który po przepiciu nigdy nie jest zbyt przyjemny. Zastanawiam się, czy one tak naprawdę, czy chodzi rzeczywiście o te dzieci. Nie powinny przecież zwracać na to uwagi.

To mnie właśnie rozjuszyło, bo ich jałowy, jak pegeerowska ziemia, komentarz, więcej udawał, niż wnosił. Znają to słowo, bo przecież rozumiały i zamiast współczuć mojej słabej dzisiejszej kondycji, to one w lament. Rozumiem, że nie chciały mnie przepuścić pierwszego do kasy, wcale tego nie wymagam, ale nie musiały udawać, że nie widzą, w jak fatalnym jestem stanie. To tak, jakby udawać, że w języku nie występują słowa na ka, na pe, na ce, na jot. To tak, jakby udawać, że wśród lojców biskupów nie ma pedałów, pedofilów, fetyszystów, zoofilów, alkoholików i tancerek baletowych. To tak, jakby udawać, że wszystkie samochody to mercedesy. A gdzie trabanty?

Łatwo jest powiedzieć, że coś jest lepsze, a coś gorsze, coś ładne, a coś brzydkie. Łatwo jest udawać, że to ma klasę, a tego nie wypada, że to wyjątek, a to reguła. Takie podziały są jednak idiotyczne, jak pomysł radykalnego rozdziału internatów na męskie i żeńskie. Dorastające, codzienniekilkakrotniemarszczone, małe chujki i miękkołose cipki, zatkane jeszcze kożuchem, ale nie tym z mleka, i tak spotkają się na przystanku autobusowym. Przystanki są koedukacyjne. I dla kleryków też.

Są tacy, którzy nie rzucą chujem przez całe życie. I jest to kwestią wyboru. Takiego samego, jak niezostania milionerem albo tancerzem. I rzeczywiście, jak masz się przewracać na parkiecie, to lepiej nie tańcz.

Są tacy, którzy chcieliby niektóre słowa wyrwać z języka, jak chwasty z ogórkowej grządki, bo biedne rosną nie tam, gdzie potrzeba. Robią miny, jakby ich używanie, to było nieładnie. A nieładnie, powiadam, to jest, gdy zaawansowany student matematyki podaje wynik bez rozwiązania całego zadania. Może się tłumaczyć, że miał widzenie, że intuicyjnie, że w skrócie, w pamięci. Matematyka ma jednak swoje metody. Śrubokręt służy do odkręcania śrubek.

Ale wytłumacz to starej babie, która nigdy nie słyszała o fundamentalnych założeniach ontologii śrubokręta...

Wychodzę ze sklepu z trzema butelkami wytrawnego wina i kefirem o konsystencji mózgu papieża. Szarpnę dzisiaj znowu spazmem rozwścieczonego Satyra! Aha! I nie wydzemiłem żadnej ekspedientki, pomimo że nie nosiły wcale chujoodpornych majtek. Po prostu śmierdziały za bardzo paragonami, tą literaturą sklepowych kas.

Nie przejmując się zatem tą potyczką, kombinuję, co dalej. Jak urządzić ten dzień, żeby dał się przeżyć. Nie rozumiem, dlaczego terazniejszość ma taki problem z powodu zdarzeń przeszłych. Nawet jeżeli to tylko wczoraj. W sumie nie powinno być najmniejszej różnicy pomiędzy ostatnim stule-

ciem a ostatnimi godzinami. Wydaje mi się nawet, że – w rzeczy samej – nie ma jej. Przeszłość powinna być, jak papierosowy dym. Zaciągasz się ze smakiem i wypuszczasz go na wiatr. Znika w promieniach zachodzącego Słońca. Tak, tylko że, kurwa, od tego dymku to niektórzy mają raka. Coś źle dzisiaj kombinuję. Taki argument odpada, jak za gruba warstwa pudru z policzków podstarzałej kurwy.

Sączyłem wino, kiedy zadzwoniła. Znowu na coś narzekała, ale jej nie słuchałem, bo przeglądałem swoją skrzynkę e-mailową. Umówiliśmy się.

Przyszła późnym popołudniem. Była, jak zwykle, trochę podpita. Przyniosła ze sobą butelkę *brandy* i poprosiła mnie. Zdjąłem koszulę, bo uwierała mnie, jak wszyty pod skórę owłosionej dupy alkoholika *esperal*, i zająłem się nią. Pomogłem jej szybko dojść. Ręce mam wprawione do tej roboty. Zresztą przy rozwarciu jej warg sromowych nie jest to trudne. Pizdę ma dokładnie wygoloną, a te dwa różowe plastry wędliny na półmisku jej łona wywinęte są całkowicie na zewnątrz. Jądro jej cipy, wspaniała, gładka, wypełniona gorącą krwią lechtaczka jest jak wrażliwa cysta w galarecie, jak język małża wystający z ciasnej muszli. Otwiera się całkowicie, zsuwa się z niej fałd wilgotnej skóry i pulsuje wtedy w oczekiwaniu na dotknięcie moich poślinionych palców. Jest twarda, jak wypolerowany rubin w koronie pierścienia. To doskonale narzędzie, służące do wypruwania z niej tych szeptów, tak mi rób, Chris, tego właśnie potrzebuję, o tu, właśnie tu, trochę mocniej, nie za głęboko, i szybciej, teraz szybciej, tak, o tak, które przemieniają się w coraz żywsze sapanie, rzężenie, jęczenie, ażeby skończyć na przeciągłym o kuuuurwa! Mam go, Chris, mam. Ja pierdolę! O kurwa! Taaaaak! Przypatruję się wtedy jej twarzy rozlupanej na pół przez grymas rozkoszy. Pokazuje mi białka swoich oczu. Jej język oblizuje sparaliżowane wargi. Kleszczami z kciuków i wskazujących palców miażdży swoje sutki. Gdyby tylko mogły, trysnęłyby niczym dojrzałe węgry. A potem jej ciało podryguje jeszcze przez chwilę. Amplituda drgań jest zmienna. Trzy, cztery szarpnięcia spazmu wyciskają z niej gęsty sok, w którym ubabrane mam już całe dłonie. Nagle wiotczeje i nie może złapać tchu. Wdycham jej zapach. Wszystkiemu winna rura wydechowa jej pizdy. I brak katalizatora wstydu.

Gdy wychodziła, zgasiła światło. W pokoju znowu zrobiło się duszno i ciemno, jak w macicy mojej matki. Mój sterczący kutas był *ferromonem*. Mam na myśli Mona z żelaza. Zastanawiał się, dlaczego nigdy nie może się w nią wbić. Dlaczego ona nie potrafi się normalnie dupczyć, a jebanie ogra-

nicza tylko do tych krótkich spotkań, kiedy rozkładając nogi, prosi mnie o drażnienie jej pęty. Jej orgazm zaczyna się już po kilku dotknięciach. Kończy po długim i przeciągłym wyciu. I wtedy, jak zwykle pijana, zwleka się z trudem z fotela, kanapy, dywanu, czy gdzie tam ją rzuciło, i ubiera się w pośpiechu, mówiąc do mnie, że powinniśmy to byli skończyć jakieś dzień lat temu, gdy wyszła za Leonarda. Za każdym razem mi to powtarza. A ja za każdym razem przyznaję jej rację. Ale wiem, że znowu przyjdzie.

Dopijając przyniesioną przez nią *brandy*, po raz kolejny przekonałem samego siebie, że moja przyjaźń z Leonardem nie ma z tym nic wspólnego. Nic i nikt na tym nie ucierpi. Nie mam zamiaru utyskiwać nad nim czy nad nią. A już na pewno nie nad sobą samym.

Lubię czasami z nią to robić, szczególnie gdy ona ma przynajmniej dwie godziny i chce, żebym włożył jej tam całą dłoń. Pizdę ma dość ciasną, bo nigdy się nie okociła. Pijemy więc wino, albo *brandy*, gdy ja wpycham powolutku swoją prawą dłoń w mokrą szczelinę między jej nogami. Nie mogę się zbyt szybko spieszyć, bo rozerwałbym ją. I nie wiem do dziś, czy to jej soki zmiękczają moją dłoń czy rzeczywiście pity z butelki alkohol ją poszerza, ale wciąż mnie powoli, milimetr po milimetrze, z przyjemnym drżeniem włókien jej mięśni. Gdy mam już całą dłoń umieszczoną w objęciach jej pizdy, dwoma palcami naciskam na szyjkę jej macicy, a wystający trzpień lechtaczki zaczynam delikatnie ssać. Jej pijany oddech staje się szybki i zaczyna coś pierdolić bez sensu, że tego jeszcze nie miała, że moje palce, czuje w gardle, żebym wsadził jeszcze jednego w jej dupę. I wsadzam, a wtedy elektryczne dreszcze dopadają ją, jak skłócone gangi, i próbują ją rozszarpać. Czuję skurcze jej macicy, jelita grubego i wtedy nabrzmiała lechtaczka pomiędzy moimi zębami zaczyna się szybko kurczyć i ucieka do swojej nory, ukrytej w fałdach delikatnej skórki. Wyciąganie dłoni nie jest już tak atrakcyjne. Śluz lepi się do moich włosów na rękach, aż po łokieć. Muszę ją klepnąć dwa razy po pysku, żeby doszła do siebie i spierdała. Wciąż ma majtki, na których momentalnie pojawia się mokra plama spowodowana wyciekami jej przyjemności. Cipa boli ją potem dwa dni, ale mnie to bynajmniej nie obchodzi. Leonardo, co najwyżej, spuści się jej do paszczy.

16. Przemoc milczenia

Nie należała do rasy kobiet białych, więc wolna była od kilku zgrzyot, którymi te zdążyły się zarazić w ostatnich dekadach. Jej twarz w słońcu była czekoladopodobna, ale w cieniu sprawiała wrażenie o wiele jaśniejszej.

Perfumy, których używała, były tanie, niczym żarcie w meksykańskich knajpach. Bukiet niewyszukany, ale łatwo rozpoznawalny. Była za to oszalałymi ubrana. Przyznała zresztą, że w swojego krawca wierzy, jak niektórzy wierzą w Boga. Z pewnością miał on talent do odślaniania jej rzeźby, i to w miejscach najdoskonalszych szlifów. To wyjaśniło mi, dlaczego nie zaziębiła się w ten chłodny wieczór i to pomimo że ledwie tylko była ubrana. Nie ma kobiety, która by się przeziębila, jeśli tylko przekonana jest, że ma wszystko dobrze skrojone. Mogłaby być nawet i półnaga.

Spotkałem ją przypadkiem. Ceremoniał był krótki, klasyczny, bez niespodzianek. Jak zwykle była taksówka, zgrzyt zamka w drzwiach, spadające meteoryty bielizny. Coraz częściej zdarza mi się ostatnio, że zamiast posładków w majtkach szukam majtek między posładkami. Intrygujące.

Rozwiązanie zagadki jej sromu nie nastroczało najmniejszej trudności. Wystarczyło dotknąć jej szyi, musnąć językiem zaułka ucha, poślinionym palcem natrzeć erogenne poletko na jej karku i chuchnąć. Czytałem z jej westchnień, jak Mozart z nut. Dla pewności dodałem jeszcze moje sprawdzone zaklęcie:

Menue mora hombra, morten korda ambrolira

Essen justa maja gonda, tatra borda werkamira

Nigdy dotąd nie zawodziło! Tym razem było jednak zbyt techniczne, tak jak zbyt techniczna jest druga gaśnica na portierni straży pożarnej, gdyż mokrą odpowiedź dzierżyłem już wcześniej w dłoni i przebierałem w niej szybko niczym w ofertach *last minute*. Teraz musiałem ją jeszcze trochę oswoić i zapewnić w przedbiegach, że te kalorie, które zaraz spali, nie zmarnują się. Kurwa, jak ja nienawidzę tej gęby wielbiąda, przestraszonego wizją dotarcia do kolejnej oazy, która zdążyła tymczasem wyschnąć jak wszystkie poprzednie! Taką paszczę mają czasami wahające się kobiety. Wahające się, bo dotąd rżnięte były tylko tępą piłą! Orgazm mają niewyheblowany, zdarzający się tak często, jak zgodność prawdy z rzeczywistością w ujęciu klasycznego rachunku zdań. Po mozolnym wysiłku interpretacyjnym.

Oswoiłem ją zatem dwoma komplementami. Sparafrazowałem najslyniejszy kawał o zabie, zielonej i szerokoustnej, mówiąc, że jest piękna i mądra. Była moja! Wpatrywała się we mnie z ciekawością godną stada japońskich turystów na występach w Europie. Napierała coraz bardziej, a ja coraz śmieiej miętosilem organy, które czyniły z niej samicę. Wbiłem się w nią w następnym momencie.

Byłbym się powtórzył, gdybym wspomniał, że prędzej nagi król w koronie cierniowej spierdoliłby z krzyża niż pizda spode mnie. Więc powiem tylko, że nadziałem ją tak, jak robią to z białymi ptakami w fabrykach gęsich wątróbek, wtykając im głęboko do gardła rury wypełnione kukurydzianym ziarnem. Jednym ruchem, perfekcyjnie, bez zbędnych pytań. Orgazm, który przeżyła po chwili, śmiało można by nazwać mózgojebem! Pierdolał w nią z siłą siekiery, ucinającej łeb gęsi.

Tak też skończyła się nasza krótka znajomość. Błyskawicznie i nieodwracalnie, bo zależało mi na niej tak, jak koncernom farmaceutycznym zależy na zdrowym społeczeństwie. W ogóle!

Byłem zresztą zajęty porządkowaniem swojego życia. Długo oczekiwana gotówka w końcu nadeszła. Ukończyłem projekt, który pochłonął w sumie dwa lata intensywnej pracy na raty, i zamierzałem jego owoce konsumować przez co najmniej następne dwa lata, ale już bez przerw.

Otrzymałem też spadek po siostrze ojca, która zmarła nieoczekiwanie u szczytu kariery. Cztery lata temu otworzyła prywatną klinikę homeopatyczną w zakresie dermatologii. Była niesamowitą kobietą. Studia z homeopatii w Instytucie *Boiron* rozpoczęła w wieku pięćdziesięciu czterech lat, gdy jako szanowany profesor akademii medycznej, powinna właściwie odliczać tylko dni do emerytury. Podziwiałem ją zawsze. Głównie za wnikliwość, upór i uwielbienie podróży. I za jej niezależność! Potrafiła ją zachować nawet w małżeństwie. Bezdzietnym z wyboru zresztą. Lepiej co prawda dogadywałem się z jej mężem, najlepszym religioznawcą, jakiego udało mi się w życiu spotkać, a zarazem największym immoralistą w nietzscheańskim sensie tego słowa. Choć pisał akademickie podręczniki z materiałoznawstwa, to wierny pozostawał swojej ciągocie do demistyfikacji.

Ciotka była zbyt poukładana, aby docenić mój sposób bycia, stąd wynikały czasami niepotrzebne niesnaski, ale i tak zawsze pozostanie w mojej pamięci jako ktoś, kto więcej wniósł do mojego życia, niż zabrał. Jej krytyka była zawsze konstruktywna i nigdy płytka. Jego zabrakło kilka lat temu, nie pamiętam nawet dokładnie, kiedy. Już nie rozłożymy kieszonkowej

szachownicy pod lipą w parku i nie wypijemy kolejnej butelki *Bayanis Pastis de Marseille*. Niestety.

Ze spadku byłem bardzo zadowolony. Odsuwał moje zmartwienia związane z uzupełnianiem funduszy na jakiś czas. Oby jak najdłuższy. Cieszyłem się i to pomimo że oprócz sporych zapasów finansowych, zgromadzili też ogromną bibliotekę, z którą nie wiedziałem zupełnie, co począć. U mnie już więcej książek się nie zmieści. Mam ich i tak stanowczo za dużo. Część z nich porosła już nawet kurzem, którym odżywiał się bluszcz zapomnienia. Poza tym te ich meble, jakieś instrumenty muzyczne, o których nie wiedziałem nawet, jak się nazywają i jak się je trzyma, cała masa drobnych pamiątek po ich egzotycznych wojażach. Musiałem się poradzić kogoś, jak to wszystko dobrze spieniężyć.

Postanowiłem skorzystać z usług prawnika Leonarda. Facet miał podobno wprawę w obracaniu przedmiotów w pieniądze, jak i pieniędzy drobnych w pieniądze grube. Mawiał, że to łatwe, bo w tym pierwszym przypadku, zawsze znajdzie się ktoś, kto czegoś potrzebuje, a w tym drugim, to tylko dodawanie zer. Potrafił wynajdować różnego rodzaju fortele i zabezpieczenia. Doskonały był w sprawach rozwodowych, w których potrzebne było orzeczenie winy. Potrafił, jak nikt inny, skorzystać z psychologicznych narzędzi, aby uknuć intrygę pełną pułapek.

Leonardo opowiedział mi o jednej z ostatnich spraw, jakie ten jego przyjaciel niedawno zakończył. Gość nie wracał czasami na noc do domu. Zdarzyło się to po raz kolejny. Rano bujał, że poznał przypadkiem jakichś ludzi, że pili do rana. Przekonywał żonę, żeby się nie martwiła, bo nic takiego, co pewnie przypuszcza, nie zdarzyło się. Żeby nabrać pewności, czy aby na pewno, za poradą tegoż prawnika wysłała mężowi e-mail z nowo założonego konta o nazwie „szalona noc”. Pytała w nim, czy ją jeszcze pamięta, podając przy okazji konkretną datę, i czy nie zechciałby wkrótce tego powtórzyć. Dodała jakieś bzdury o tym, że to było wyjątkowe, a on sam jest niezwykle interesującym człowiekiem i takie tam. Oczywiście męska próżność zwyciężyła. Jacy faceci czasami są zaślepieni wizją kolejnego parzenia się płci! Co prawda gość nie nawiązywał jakiś stałych romansów, gdyż był na to za bardzo zapracowany, ale odpowiedział na tak i to pomimo że nie przypominał sobie, aby zostawiał komuś swój elektroniczny adres. Wyszło szydło z worka, jak to mówią. Co za idiota! Mnie wystarczyłby jeden procent podejrzeń, że e-mail mógł pochodzić od mojej kobiety, aby wysłać do niej równoległe informację, iż wiedziałem, że to ona, i dlatego napisałem

to, czego oczekiwała. O ile okazałoby się, że wiadomość nie była jej dziełem, wtedy powiedziałbym, że dostałem jakąś przypadkową pocztę, ale wysłałem prośbę o zaprzestanie wysyłania do mnie listów, i że nie wiem, z kim mam do czynienia, bo nie przypominam sobie żadnych okoliczności, składających kogokolwiek do takiej korespondencji. Potem udałbym głębokie rozczarowanie i czekałbym cierpliwie na kolejną randkę. Jeżeli list był podstępem, to nie ma kobiety, która nie odpisałaby od razu ze szczerymi prośbami i próbowała całą sytuację obrócić w żart. Sytuacja szybko by się wyjaśniła. Tymczasem facet, który dał się nabrać, spotkał na randce swoją żonę z jej adwokatem.

Załatwienie wszystkich formalności i sfinalizowanie kilkunastu transakcji nie zajęło mu dużo czasu. Miał wolną rękę w poczynaniach, ale muszę przyznać, że byłem zadowolony ze sposobu, w jaki pertraktował. Sam nie potrafiłbym tak handryczyć się o grosz. Właściciele dużego antykwariatu zaprosił do przejrzenia i policzenia książek, po czym zapytał ich o proponowaną cenę. Gdy ją usłyszał, dodał czterdzieści procent, po czym zgodził się, oddając im dziesięć. Wiedział, że choćby udało im się sprzedać tylko połowę tego księgozbioru, to już i tak wyszliby na swoje. Podobnie zrobił z resztą szpargałów i apartamentem spadkodawczyni. Nie odczuwałem żalu, wypłacając mu piętnaście procent wynegocjowanych cen. Nie jestem pazerny.

Gdy otrzymałem najświeższy wyciąg bankowy, okazało się, że ni stąd, ni zowąd, jestem bogaty na tyle, żeby móc odpocząć od kieratu obowiązków, a nawet zafundować sobie samochód. Już planowałem kilka lazurowych momentów szczęścia. Wiedziałem, że nadszedł czas na pocieszenie się życiem. Mój czas na *amor fati*!

Zaczął się od poematu *toyota land cruiser prado*. Nie zapomnę uczucia, które towarzyszyło mi podczas pierwszego napełniania baku. W zapachu kilkudziesięciu litrów ropy wyczuwałem woń nowej przygody. I utwierdziłem się w przekonaniu, że wolność i niezależność to wcale nie demokratyczne wybory i prawo uczestniczenia w nich.

Czekał mnie również kolejny egzamin z dotrzymywania danego słowa. Jakże ich nienawidzę! Zawsze muszę wyszukiwać ekwiwalenty pustych, nieistniejących dla mnie słów: „konsekwencja” i „odpowiedzialność”, aby pomysłnie je zaliczyć. A słowa rozsypuję, jak dziurawy worek ziarno, niestety. Ten egzamin nie był jednak trudny, bo, wyjątkowo, zdawałem go z niekłamną przyjemnością. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, aby Igor, mój

moskiewski przyjaciel, znów miał szansę wygłoszenia cyklu wykładów w *Collège de France*. Tym razem o pesymizmie współczucia u Lwa Tolstoja.

Postarałem się o jak najszybsze zaproszenie go do Paryża, wykorzystując wszystkie możliwe znajomości. Dopilnowałem też, aby sprawy formalne z tym związane były dopięte na ostatni guzik, pamiętając poprzednie przygody, które Igor zawdzięczał francuskiej biurokracji. Nie ma takiej drugiej na świecie.

Przyleciał natychmiast po otrzymaniu oficjalnego angażu. Jego twarz tryskała takim szczęściem, że zastanawiałem się, jak to możliwe, że człowiek o takim wigorze i tak wesołym usposobieniu może poświęcać tyle swego czasu na rozważania o teoretycznych problematach niesprawiedliwości, niemożności, ograniczeń i nieskończonego *fatum*. On był jednak pełen takich sprzeczności. Przyroda jest czasami okrutna poprzez swoje cyniczne wschody i zachody słońca.

Zatrzymał się u mnie. Spotkaliśmy się pierwszy raz od bodajże trzech lat, jednak on w ogóle się nie zmienił. Znosiliśmy siebie przez trzy tygodnie. Czas upływał nam na dyskusjach do białego rana, głównie o tym, czy można usprawiedliwiać teraźniejszość ze względu na to, co będzie, albo na to, co było lub też przeszłość, gwoli temu, co istnieje teraz. Konkluzje były trochę rozmyte, ale jednak zdecydowanie na nie! Czasami mocno zakrapialiśmy je alkoholem, bo uwielbiam się z nim upijać. Jest niepowtarzalny! Gdy rozwialiśmy ten niekończący się pijacko-poetycki dyskurs, zamieniałem się w *metafizykusa*, aby nie widzieć. Starannie dobierane nazwy drinków, które z radością miksował, czyniły, że czułem się bosko! Ale jakże mogłem się czuć, gdy *Wolę mocy, Jutrzenkę, Zmierzch Bożyszcz, Poza dobrem i złem, Ludzkie Arcyludzkie* wspomagaliśmy toastami pełnymi życzeń zdrowia?

Czasami łądowaliśmy w kasynach, których ja unikam, a bez których on nie potrafi żyć. Grał tam w *boule*, pił duże ilości koniaku i przegrywał notorycznie. W ogóle się tym nie przejmował, gdyż nigdy nie wierzył w wygraną. Na początku to ja nie wierzyłem w jego niewiarę. Mieliśmy na tym tle trochę scysji. Nie potrafiłem bowiem tego zrozumieć. Ponieważ staram się nie używać słów „po co” i „dlaczego”, dyskusja ta była znacznie utrudniona. Argumentów nie mieliśmy żadnych, a tylko trochę jakichś afektów, emocji i niepotrzebnych starć. Nie wiem, dlaczego wtrącałem się w jego życie. Może chciałem sprawić, ażeby utwierdzał się w tym swoim *hobby* jeszcze bardziej, a może, żeby mu je obrzydzić. Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie w żadnej mowie i milczeniu świata.

Nie było to jednak konieczne. Rozumieliśmy się z Igorem wystarczająco dobrze. Był to chyba jedyny oprócz Kamila człowiek, który nie wymagał weryfikacji i wobec którego mogłem zachowywać stosowny dystans. Dystans, który nas do siebie zbliżał. On również rozumiał, że błędne deskrypcje potrafią zamienić się w nieprzewidywalne przeciwieństwa, że mowa i pułapki języka to niebezpieczne pęta dla przyjacielskiej zażyłości i dla pochodku prawdy. Że trzeba szanować przyjaciół, to zgadzam się bez dyskusji. Ale czym są przyjaciele niepoddani próbie? Ot, tandetną dekoracją w przeżywanym spektaklu życia. Doświadczeni, ci, którzy przechodzą przez sito wielkich prób, są bezcenni. Kto to rozumie, ten ich ma. Plewy zabiera z sita najslabszy podmuch wiatru.

Po wyjeździe Igora odetchnąłem. Ostatni bankiet, na którym się żegnał, przysporzył mi wprawdzie nowych wrogów, po tym, jak stanąłem po stronie mojego przyjaciela w sporze z niewolnikami rekontekstualizacji, poplecznikami Nowej Krytyki czy Antyteorii w Teorii Literackiej, ale olałem to obfitym. Te walki o tekst, na teksty, tekstami, przestały mnie już obchodzić. Cały ten bezmiar słów nie jest w stanie posunąć mnie ani o krok naprzód, nie jest w stanie o nic mnie wzbogacić, a rzadko się zdarza, że zainteresować potrafi. Zadowolony jak nigdy dotąd z życia, robiłem plany na najbliższe miesiące. Oczywiście nie opuszczało mnie fatalistyczne przeczucie, że połowy z nich i tak nie zrealizuję. W tym fatalizmie odnalazłem jednak promyk zadowolenia. Niezrealizowane plany pamięta się dłużej.

Pewnego dnia zupełnie przypadkowo spotkałem Froga. Postarzał się jakby, a szlaka, z której był ulepiony, była całkiem wysuszona. W dalszym ciągu nie opuszczał go jednak ten rój nastoletnich pcheł, odzianych w poplamione olejnymi farbami dżinsy, a które to pchły eksploatował tak, jak komunistyczne republiki eksploatowały założenia Marksa. Odwrotnie do ich oczekiwań i bez pozostawiania złudzeń.

Upiliśmy się dość mocno i dałem się namówić na zakup jego obrazu, przedstawiającego scenę z *Mistrza i Małgorzaty*. Na czerwonym tle wyraziły kieliszek pomiędzy kotem i Mistrzem. Niesamowity! Przeplaciłem z pewnością trzykrotnie, ale nie liczyłem się z groszem w tym czasie. W takim towarzystwie można upijać się w nieskończoność! Potrzebowałem dobrego towarzystwa. Prawie uwierzyłbym tego dnia, że on może i potrafi jednak coś namalować. Obraz ten wisi od tej pory po prawicy portretu mojego ojca.

Głównym wątkiem naszej rozmowy był jednak Kamil, który błądzi już od długiego czasu po bezdrożach internetowej sieci, przykuty łańcuchem

linków otwierających bezkresne krajobrazy monitora jego elektronicznego uzależnienia, który pogrążył się w swojej e-chorobie, nie mogąc oswoić sfery zmysłowości i cierpiąc z powodu zwątpienia w sens i poczucia pustki. Pustki, w której pobrzmiwa tylko szmer sypiącego się próchna starych mebli czy opadającego na stopy książek kurzu, wznieconego przez wentylator komputerowego serca. Pustki, w której dobrze czuł się gęsty dym tanich papierosów i wyłączony telefon. Frogy stwierdził, że nasz przyjaciel znalazł sobie swego rodzaju kurort wypoczynkowy, sanatorium czy też lecznicę po przedawkowaniu rzeczywistości, które zafundował sobie wcześniej, a które o mało go nie zabiło. Wydaje mi się, że ta jego emigracja w wirtualny świat jest świadomym aktem desperacji, powodowanym jakimś rozczarowaniem i brakiem woli. O mocy nie wspominał, bo nawet jej woli w nim brak. *Internet Resort*. Martwi mnie to.

I choć takie słowa, jak cierpienie i konsekwencja nie należą do słownika, w którym opisuję świat, to w wypadku Kamila i Soni zawsze odczuwałem ich brak, doświadczałem fatalnej niepełności mojego zasobu słów, mojego zbioru deskrypcji, definicji, znaczeń, określeń. Czy ktoś powrywał kartki z mojego elementarza? Czy może też za tępy byłem, aby pojąć te niby proste słowa i móc konstruować z nich zdania mające sens? O ileż łatwiej byłoby mi zwerbalizować moje odczucia, może to nawet i jakaś liłość, a może niewysłowiona miłość, może poczucie odpowiedzialności za ich losy, tak splecione przecież z moimi, a może tylko jakiś kaprys któregoś z moich przewrażliwionych rozczerdziestosześciookrotniów. Nie mam najmniejszego pojęcia. Być może myślę się, przypuszczając, że byłoby mi łatwiej. A być może nie miałoby to najmniejszego znaczenia, gdybym nie wiedział, że bredząc o tym, popełniam przestępstwo chociażby wobec samej estetyki języka, że o prawdzie nie wspomnę, gdyż ta jedna przynajmniej wymaga zawsze czystości i idealnej struktury. Inaczej nie mogłaby udawać samej siebie. Inaczej nie mielibyśmy nawet tego błędnego pojęcia, że to udawane w ogóle egzystuje.

Te wszystkie przesady i deklaracje najgłębszej wiary, jakie pokładamy w naszym mizernym narzędziu komunikacyjnym, to spadek po akustycznych halucynacjach Sokratesa, które ujawniały się w dialogach osnutych na fiszbinach dialektyki, i raczej dobrze mi z tym, iż dzięki temu wiem, że zdań sensownych jest znacznie mniej, niż można by przypuszczać. Łatwo wierni mają zawsze dużo do powiedzenia. Jest milion słów, przy użyciu których nie da się zbudować zdania zrozumiałego. I dlatego też jest wiele

milionów zdań niezrozumiałych. I nie chodzi mi tu o mgliste pojęcie tego, o czym one udają, że mówią. Zrozumiałego, znaczy dla mnie, czystego. A przecież jedna chwila wahania mąci nasz umysł, jak kropla błota mąci wiadro czystej wody. Piją ją ci, którzy nie widzieli momentu zmieszania. I chwala ją sobie!

Coraz bardziej rozumiem i doceniam ideę eutanazji języka, którą wszczepił mi kiedyś Kamil, a którą traktowałem wcześniej jako teoretyczny wybryk mojego przyjaciela, jako żart niegodny nawet najdrobniejszej uwagi, jako pozbawioną choćby namiastki motywu stratę czasu. Myśliwi polują na wściekłe lisy. Wściekły słownik zaraża bezkarnie. Oczekiwałem od niego jakiejś wyraźnej wskazówki, podpowiedzi, a przecież sam jestem w stanie dostrzec, że narzędzie, którym dysponujemy, jest być może zbyt stare, a już z pewnością schorwane, być może wyeksploatowane, a być może zmodyfikowane jakąś grammatologiczną genetyką, laboratoryjną sztuczką speców od podziałów i kserowania, sprawiającą, że sztuczne zwielokrotnienia znaczeń budzą raczej odrazę niż podziw. I choć wykarmią one całą populację językowych parweniuszy, to z głodu przyjdzie umrzeć smakoszom prawdy. Stanu upojenia nie zapewni nikomu piwo bezalkoholowe.

I choć w rzeczy samej ten wymęczony język kwili z bólu, niczym zarzuczone niemowlę na dwa dni przed przeprowadzką do prosektorium oddziału onkologicznego, tego skupiska najbardziej bezradnych znachorów, to słyszą to tylko ci, którzy są najbliżej. Cała ta popkulturowa automatyka podtrzymująca go przy życiu i lingwistyczne kroplówki nie rokują jednak jego wyzdrowienia. Największym herosem ludzkości będzie ten, który da mu ostatnie namaszczenie i wbije sztylet demistyfikacji w jego serce. A sercem języka jest jego możliwość.

Pamiętam pewną rozmowę z Kamilem, podczas której podjęliśmy kwestię tego mordu, który mordem przecież pozostałby, nawet gdybyśmy osłodziли go mianem dobrej śmierci, i zastanawialiśmy się nad tym, dlaczego nikt nie ma go dotąd na sumieniu. Czemu należałoby to przypisać? Że brakowało nam dobrej okazji? Że zabrakło nam kilku sprzyjających okoliczności? Że nie było do tej pory uprawnionego mocarza? Miejmy nadzieję, że tylko takie jest tego usprawiedliwienie. Nie ma bowiem nikogo i niczego nieśmiertelnego! Gardzić należałoby tymi wszystkimi, którzy nie byłiby w stanie zabić, podczas gdy sytuacja tego by wymagała. I to nawet nie człowieka, a tylko jego narzędzie kłamstwa. Chociaż z człowiekiem poszłoby łatwiej. Krew, która definiuje życie i śmierć przecież,

podpisałaby oryginalnym, ciepłym szlaczkiem akt jego zgonu. Rozprute trzewia języka nie krwawią.

Jakże podziękowania godnym byłby to czyn! Kara w tym przypadku nie istnieje. Uważam zresztą, że w każdym innym również jej nie ma. I to z definicji! Ona nie oczyszcza, bo przecież mord nie plami. Wybielacze spełniają swą zaprogramowaną funkcję tylko w przypadku łańcuchów reakcji chemicznych. Ich zastosowanie jest poza tym zawężone do nielicznej gamy kolorów. Jeżeli zawodzą, to tylko nadzieje praczek. I białych koszul.

I zawsze kiedy rozmyślam na ten temat, przypominam sobie chwile z Sonią, jak zafundowałem jej kiedyś kilka dni ciszy i nieczytelnych gestów. Chociaż miałem ją cały czas na oku, to udawałem, że nie zwracam na nią najmniejszej uwagi. To była moja zemsta, za jakąś kolejną potyczkę, jakąś kolejną niepotrzebną, idiotyczną kłótnię. Podejmowane przez nią próby podjęcia dialogu, kwitowałem powolnym uniesieniem ręki i ucieczką w papierosowe skupienie, czy udawane zamyślenie. I choć wiedziałem, że jej toksyczna przeszłość ciągle więzi w niej ten najwspanialszy rodzaj naturalnej ekspresji i jest wystarczającym powodem jej głębokiego cierpienia, to świadomie molestowałem ją tymi cichymi dniami, bo dobrze wiem, co znaczy przemoc milczenia. Ono więcej bólu potrafi zadać niż kulawe słowa. I nie ma za nie przebaczenia! Za słowa zawsze możesz przeprosić i zawsze prawdą będzie, że nie to miałeś na myśli. Milczenie nie kłamie! O ile powiedzieć nie da się zbyt wiele, o tyle wszystko można przemilczeć. I nie ma słów mających jego moc. Takich lez nie widział świat.

17. Moje ogłoszenia

W strugach jesiennego deszczu, pod parasolem bezgwiazdnej nocy, prze-
mierzałem swoim wozem wąską asfaltową drożynę, gdzieś na bezludziu.
Nie wiedziałem dokładnie, dokąd jadę. Liczyłem na to, że drogę powrotną
znajdę przypadkiem. Musiałem stamtąd wyjechać. Musiałem.

Przyśpieszałem do ponadzdroworozsądkowych prędkości na każdej pro-
stej, ażeby raptownie wyhamowywać przed każdym ostrym zakrętem, od
jakich roilo się w tym lesie. Mieszkała w nim przypadkowa śmierć, ale nie
miałem ochoty na spotkanie z nią. O tej porze byłoby to nawet nietaktowne,
gdyż pewnie już spała.

Szeroki bieżnik opon trzymał się mocno podłoża i to pomimo ulewy,
tworzącej rozległe kałuże, wodniste pułapki. Mocne gitarowe granie, wydo-
bywające się z głośników, powodowało, że papierosy topiły się szybko,
pozostawiając na wyschniętym języku, nieznanym mi wcześniej metaliczny
smak. Dopadł mnie ten refren, który kiedyś dawno zawsze mnie powalał,
a który wydzieriałem teraz z pamięci, zachrypniętym gardłem:

All I want /you to do/ is to take my body home

All I want /you to do/ is to take my body home

Pasował doskonale.

Byłem wściekły. Na nią, na siebie, na cały ten świat. Próby przełamania
mojej samotności z wyboru, jakże żalodne w samym zamiarze, stawały się
jeszcze większym nieporozumieniem podczas ich realizacji. Dlaczego nie
potrafiłem być z Sonią? Dlaczego to wszystko się spieprzyło? Dlaczego jej
imię i jego cień prześladowają mnie w dalszym ciągu i to po tylu latach? Dla-
czego wciąż na każdym kroku, gdy tylko trochę zbliżę się do jakiejś kobiety
wyobrażeniem, że z nią mógłbym trochę dłużej, jak choćby teraz do Miche-
le, pojawiają się obrazy Soni, jej uśmiech, lzy, oddech, barwa jej sutka i jej
orgazmiczny jęk? Dlaczego ludziłem się, że może z Michele, wszystko od-
nowa? Przecież wiedziałem, że kobiety nie wytrzymują z takimi facetami,
jak ja. Facetami, którzy zamiast kwiatów, przynoszą im bukiety perwersji.

Początki są doskonałe. Przełamanie lodów, konwersacja, seks, przyjem-
ność, ekstaza, doświadczenie, szal, transgresja. Lubią to, ale w rzeczywi-
stości są małostkowe, jak ich problemy. A przecież starałem się czasami.
Kilka lat z Sonią, kilka chwil z Michele. Przecież teraz również tak długo

planowana podróż. Sama twierdziła, że potrzebuje wytchnienia, że zmęczył
ją ten akademicki wysiłek i tumult miasta, że chce wyjechać gdzieś, gdzie
nie będzie ludzi, tylko my dwoje. Przygotowałem wszystko, jak nigdy wcze-
śniej, gdyż ubzdurałem sobie, że ona jest inna, że jest jak dobra powieść,
wyklejona barwnymi kolażami rzadko spotykanej wrażliwości, nieskończono-
nymi korytarzami labiryntu znaczeń, nośnikiem niebanalnej narracji. Mi-
chele. Faustyczna nieskończoność w lonie. Michele. Moja droga do tak.
A jednak zawróciłem. Wszystko trzymane jest w ryzach przez wszechwład-
ne prawo rozpadu.

A jeszcze wczoraj rozpalilem miasto świec w przytulnym pokoju małe-
go pensjonatu, daleko, daleko od zgiełku świata. Jezioro, puszcza, spokój.
Zadbałem o wszystko, aby jej *delikatezza* poczuła ten gorąc i delikatne skur-
cze na obrzeżach rozwartych wrót szału, aby zapomniała się w sobie i odda-
ła mi się tak, jak nigdy dotąd i później nikomu. Dobrze wiem, że siła mię-
śniowa dziewczęcia rośnie, gdy zbliża się do niej mężczyzna, ale chciałem
jej zafundować takie bezgraniczne otwarcie, takie napięcie każdej mięśnio-
wej struny, którego nie znalazł nawet świat dzikich, szczerych w swej seksual-
ności przodków. I poznała to uczucie upojenia, które jest największe pod-
czas parzenia się płci. Ale nic z tego nie wynika. I choć muszę przyznać, że ta
noc była niezwykła, że kredytowo zaangażowałem więcej siebie, niż w rze-
czywistości miałem, to czar prysnął. Postawiliśmy ostatni krok w chmurach.

Poznałem ją niedawno. Spotkanie było zainscenizowane przez Richar-
da. Wiem, że nie zruchał jej wcześniej. Chciał mi ją przedstawić, gdyż była
to jedna z jego najzdolniejszych studentek. Do tego najpiękniejsza.

Spodobała mi się od pierwszego wejrzenia, ale nie oczekiwałem zbyt
wiele. W zasadzie to miałem trochę za dużo wolnego czasu, który chętnie
wypełniłbym jakąś kolejną rozpustą. Jednak jej kruczoczarne włosy rozle-
wające się na wątlach, a nawet kościstych barkach, do których ktoś niefor-
tunnie przymocował przyciężki biust, zachwyciły mnie. Dostrzegalem pod
cienkim materiałem bluzki koronkę czarnej bielizny, przez którą chciały
przedrzeć się ciemnobrązowe sutki. Wypielęgowane paznokcie i doskona-
le skrojone brwi skłoniły mnie do wyobrażenia sobie jej zadbanego sromu.
Jak się później przekonałem, była wydepilowana i dzięki temu żołądz jej
podnieconej lechtaczki zawsze była dobrze widoczna. Boski widok. Mój
kutas jest stworzony do łysych cip.

Dała się namówić na kolejne spotkanie, z czego byłem bardzo zadowo-
lony. Liczyłem, że przelecę ją już po pierwszej kolacji. Przeliczyłem się,

lecz, o dziwo, wcale nie poczułem się źle z tego powodu. Przeciwnie. Dostrzegłem, że nasza rozmowa była dla mnie bardzo interesująca. Zafrapował mnie jej ciekawy sposób werbalizacji przeróżnych kwestii. Nie spodziewałem się takiego ujęcia po cybernetyku. Chłodny, matematyczny wręcz rachunek zdań, jakim opisywała historie, recenzowała filmy czy kwestie społeczne, podczas naszych pierwszych dyskursywnych obmacywanek, sprawiał wrażenie, że jest ekspertem w tych dziedzinach, ale łatwo jednak można było się przekonać, że to dziewicza wrażliwość i subiektywne oceny. Dbała po prostu o językową perfekcję. I miała to coś, co nazywam językową klasą, to wyważone, lecz dosadne nazywanie rzeczy. Jakże mogła mnie nie zainteresować? Jakże miałbym odpuścić sobie taki rarytas?

Nie zauważyłem nawet, ile czasu upłynęło od naszego pierwszego spotkania, zanim wyładowaliśmy któreś nocy u mnie. Spotykaliśmy się wcześniej wielokrotnie, a ja zachowywałem się jak otumaniony przez nią szczeniak. Nie umawiałem się nawet w międzyczasie z żadną z moich znajomych, zawsze chętnych na jakieś party z łóżkowym zakończeniem. Pozostawałem aseksualny aż do obrzydzenia. Animalny przymus prokreacyjny się na mnie obraział. Odmówiłem nawet Edith, która zadzwoniła do mnie któregoś piątku. Myślałem byłem przy Michele i nie brakowało mi zbytnio tego utartego finału. Może bałem się, że po tarle przejdzie mi ta fascynacja...

Z tego pierwszego razu nie pamiętam zbyt wiele, gdyż niestety upiliśmy się zbyt mocno. Czerwone wino zagrało o kilka bisów za dużo. Wiem, że podszedłem do tematu delikatnie, co jej się spodobało. Tempo było wolne, a nasze jęki przeciągłe. Przypominały raczej kocie murmurando niż to, do czego przywykłem w ostatnich latach. Miła odmiana. Jednak gdy w końcu doszliśmy do kopolacyjnego celu, orgazmiczne dreszcze pręły nasze misterne siatki nerwów, niczym lodolamacz o atomowym napędzie pruje lodowy kozuch Morza Barentsa. Wiła się pode mną, popiskując wysokim altem i chwytając się szczebli łóżka, jakby szukając w nich ratunku przed zagarniającą falą. Dobilem ją kilkoma mocnymi pchnięciami, podczas których zlałem się jej do środka miesięczną porcją spermy. Potem długo schodziliśmy na ziemię, aby w końcu zasnąć, trzymając się za ręce.

Obudziła mnie kawa, którą przygotowała. Była za słaba, ale skąd mogła wiedzieć, że piję esencję. Była wykąpana, pachnąca, świeża i odziana w mój szlafrok. Tani film. Uśmiechnęła się i przywitała mnie wymownym pocałunkiem. Siedzieliśmy w pogniecionej pościeli i spoglądaliśmy na siebie badawczo. Bez słów. Były przecież zbyt ciche. Na dodatek niemy.

Dopiero później zapytała:

– Chris, czy ty myślisz, że z tego może być coś bardziej serio?

Zamurowało mnie, bo w zasadzie taką możliwość powinienem wykluczyć *a priori* i szybko pozbawić ją złudzeń. A jednak odparłem, że chciałbym spróbować, że mam nadzieję, że jestem nią oczarowany. I chyba nie kłamałem. O zgrozo!

Zjedliśmy nagi lunch, który smakował niczym śniadanie mistrzów. I było przyjemnie. Już w następnej chwili zdenerwowała mnie jednak informacja, że nie brała pigulek. Myślałem, że dostanę szału. Dlaczego nie poprosiła mnie o skafander? Nie używam ich w momencie, gdy mam do czynienia z tak świeżym ciałem, ale mam je zawsze pod ręką. Możliwe, że powinienem zapytać, ale przecież ona ma już dwadzieścia dwa lata. Kazałem jej pobiec do apteki i wziąć „dzień po”. Następnie umówiłem się z nią za trzy czy cztery dni, kłamiąc, że jestem zajęty jakimś projektem. Ale przecież ona i tak rzygała przez cały następny dzień.

Dotarłem w końcu do jakiegoś rozwidlenia. Przestało lać, a kolor nieba złamany był szarzystą świtą. Zorientowałem się po drogowskazach, że kawał drogi jeszcze przede mną. Czeką mnie jednak już o wiele bardziej monotonna jazda. Do drogi szybkiego ruchu pozostało zaledwie kilka kilometrów. Postanowiłem napić się kawy przed tym autostradowym spływem. Musiałem się zrelaksować i wzmocnić.

Znalazłem jakąś przydrożną kafeję. Była prawie pusta. Kobieta z zaspnymi, podkrążonymi oczyma przygotowała pierwszą małą czarną. To dla relaksu i dla papierosa. Jemu też się coś należy. Później była duża *mocca* dla wzmocnienia. Głośniejszy stał się akustyczny rezonans wspomnień ostatniej nocy.

Schlódzone białe wino, w którym gustowała, małowowało jej wargi pożądaniem. Były rozchylone, jakby ich zbyt bliznie do siebie, mogło je poparzyć. Jakaś przywleczona przez nią muzyka, najprawdopodobniej skomponowana została do tańca jej smukłopalczastych dłoni. Krótkie, płynne, perfekcyjne ruchy. Przygotowała wspaniałą kolację z ryby i *frutti di mare*, którą zaserwowała na stole zasypanym wonnymi gałązkami jakiegoś iglastego drzewa. Zapach ten mieszał się z przeznaczeniem, a może raczej karmą, indyjskich kadzidel, których smużki dymu wdzięczyły się do milionów rozpalonych przeze mnie świec. I miałem wrażenie, że to wszystko wymyśliła Sonia.

A potem zmiękla w moich rękach i przyśpieszonym oddechem rozgrzewała skórę mojej szyi, karku, dłoni. Rozpięta powolnymi ruchami koszula

nie chciała upaść na ziemię, bo też było jej dobrze pod gładzącymi ruchami jej delikatnych rąk. I odsłoniła swoje piersi. Sutki wgniecione przez przyciasny stanik szybko wyprężyły się i mogłem się do nich dobrać poślinionymi palcami. Jej pocałunki stawały się coraz bardziej zachłanne.

Gdy w końcu w nią wszedłem, zdałem sobie sprawę, że była ciasna niższym azjatyckim miastu wielkości czternastu milionów oddechów na sekundę. Tak, jak lubię. Czulem tętniące w niej życie. Poruszałem się w niej rytmicznie i bezbłędnie, jakbym znał na pamięć plan i potrafił trafić do celu z zamkniętymi oczami. Były jednak otwarte, ażebym mógł się delektować grymasami jej plastelinowej twarzy. Te rzeźbiłem zapamiętałe. Wspaniałe taniec masek, z których wydobywały się nieartykułowane dźwięki, na podobieństwo odgłosów zachwyconej publiczności plenerowych pokazów sztukmistrza liny, szczudeł, ognia i iluzji. Przeciągle uuuuuUhmhhh i urywane a! i och!

Nie musieliśmy przyśpieszać. Moje nabrzmiate jebadło wypełniało ją po brzegi, prawie ją rozrywało. Wchodziłem w nią wolno, aż po same jądra, które delikatnie odbijały się o mokrą powierzchnię tego fragmentu ciała pomiędzy odbytem a dolnym zwieńczeniem warg większych. Ileż ona miała w sobie śluzu. Brak zarostu potęgował moje odczucia, gdyż czulem gładką pulchność jej wzgórek. Zamknęła mnie w obręczy swoich nóg i napierała nim na mnie z całej siły. Uniosłem się na kolanach, aby wchodzić w nią pod nieco większym kątem, aby trzpień jej lechtaczki ocierał się o żyłaste ciało twardego pręgiarza. Rękoma przytrzymywałem jej barki, ażeby wijąc się, nie wymusnęła się spode mnie. Tak ustawionym pionowo pogrzebaczem roznieciłem ogień w jej kominku. Nie wytrzymała. Zawyla i wgrzyzała się w moją pierś. Drżała, jak tytułowa dziewczynka z zapalkami, więc trysnąłem.

Takiego orgazmu nie przepowiedziałyby nawet zawodowa wróżka. Czulem ten prąd w całym ciele, od podbrzusza poprzez klawisze żeber aż po aureole sutkowych brodawek. Gdyby tylko moje synapsy potrafiły, to zaczęłyby skwierczeć. Dreszcz przebiegł po moim karku, ramionach, dłoniach aż do samych opuszków. Potem napięły się mięśnie ud i ostatnie uderzenie gorąca zamglilo jej wizerunek w moich szeroko otwartych oczach. Ona, z twarzą przeciętą silnym skurczem, szarpała mnie za włosy, co sprawiało, że odniosłem wrażenie, iż to zwieńczenia korzeni moich jąder. Bolało przyjemnie.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to jej kocham, wypowiedziane zaraz po tym. Szybko mnie ocuciło, gdyż było tak niezręczne, jak wejście Soni do naszej sypialni przed kilkoma laty. Wróciła wcześniej z jakiegoś

stażu, a ja posuwałem wtedy Amelię, jej najlepszą przyjaciółkę. Gdybym wiedział, jak to się robi, mógłbym się rozplakać w tym momencie, jak rozplakała się wtedy Sonia. Histerycznie i szczęśliwie. Wtedy mnie wyrzuciła. I wiem, że żalowała i cieszyła się w tym samym momencie. Złamałem jej życie, ale z drugiej strony pozbawiłem ją złudzeń, co do kobiecych przyjaźni i wiernych facetów. Chociaż tyle dla niej zrobiłem.

Po tych słowach Michele, nie mogłem dłużej z nią zostać. Nigdy nie powiedziałbym jej tego samego, a przecież oczekiwałaby tego. To nie miałyby sensu. Nie mam pojęcia, na co liczyłem ja i na co liczyła ona. Rozczarowała mnie tak, jak ja ją po chwili. Ubrałem się, zostawiłem pieniądze na pociąg, autobus, na cokolwiek, co mogłoby ją zawieźć następnego dnia z powrotem do domu i odszedłem. Pamiętam jej zaskoczenie, jej rozdziawione usta i maleńkie łzy wypływające z kącików jej piwnych oczu. Z pewnością nie były nadzwyczajne. Z pewnością były słone, jak wszystkie inne, których kiedyś spróbowałem. Tym razem degustację sobie podarowałem. Całe to zajście w tym momencie wydaje mi się bardziej żalosne niż smutne. Pamiętam, że większość świec już dogasała.

Pożegnałem się z nią tak, jak żegna się w odpowiednim momencie puma z dorastającym kocięciem. Fuknięciem, machnięciem ręki i szybkim, bezszelestnym skokiem za drzwi. Jeszcze na chwilę się zatrzymałem i ostatni raz zadałem sobie pytanie, czy aby na pewno tak chcę. Chciałem. Nie ma szczęśliwszego zwierza niż puma uwolniona od balastu głodnego kociaka.

Wróciłem szczęśliwie do domu. Odespałem te dwie noce zarażone jakąś pozbawioną sensu nadzieją i postanowiłem nigdy więcej. Dużo wolnego czasu potrzebowało kolejnego wyzwania, więc wpadłem na pomysł zamieszczenia ogłoszeń w sieci. Miałem już dość tych wszystkich podręcznych przyjaciółek, przerobionych niejednokrotnie tematów, ogranych kompozycji poruszeń. Znudzony też byłem polowaniem w knajpach. Potrzebowałem jednak kobiety. Kobiet. Wielu. Nowych. Tylko na chwilę, na moment. Na wypełnienie fragmentów poszatkowanej rzeczywistości. Na ponowne oswojenie się z moim dawnym stanem ducha. Na odnowienie niepamięci.

Zamieściłem dwa ogłoszenia:

Jeżeli nie chcesz ruchania poezją

napisz. Spotkamy się. Napierdolimy się w małej, taniej knajpie. Ścisnę Ci parę razy pizdę pod stołem i opowiem przy kilku drinach, co mój kutas robi z Twojej dziury. Pojedziemy do Ciebie i zapewniam, że już w tak-

sówce Twoje wary zamienią się w ślinotok. Pochędożymy soczyście. Wypierdolę Cię konkretnie. Będziesz wrzeszczeć tak, że pobudzisz sąsiadów. Jeżeli nosisz okulary, to dobrze, bo lubię się na nie spuszczać. Uwielbiam widzieć, jak oglądasz moją spermę z tak bliska. Potem możesz ją zlizać albo powycierać. Zależy, co lubisz. Czekam.

Jeżeli chcesz ruchania poezją

napisz. Spotkamy się. Pójdziemy na kolację do Belle Epoque. Skosztujemy bordeaux z 1995. Całkiem dobry rocznik i na moją kieszeń. Obiecuję wyprasować kołnierzyk. Z kieszeni marynarki będzie mi wystawać wyświechtana okładka tomiku wierszy. Będziesz się dobrze czuć. Z wyglądu sprawiam wrażenie intelektualisty. Nie przeklinam. Mam dobre maniery. Jestem uczuciowy i dyskretny. Trochę nieśmiały. Gondolę nocy przycumujemy u stóp Twego łóżka, skropionego dzikimi perfumami. Dozę nieśmiałości strzepnę zakłamię romantyka. Nasze uniesienie będzie mieć kolor obrazu impresjonisty. Czekam.

18. W międzyczasie

Czekając biernie na odpowiedzi, zastanawiam się, czy są jeszcze gdzieś bachantki, a nie tylko masturbantki, jak mawiał Thomas. Przyszło już trochę listów, ale nie miałem czasu ich wszystkich przeglądać. Napisała w każdym bądź razie pewna maciora, że lubi tylko poezję, a nie ruchanie nią. Co za świnią! Pewnie nie zmienia wkładek higienicznych w majtkach, bo to przecież takie niepoetyckie. Wkładka, majtki i chuj wie, jakie zarazy jeszcze ma w okolicach dupy. I kto jej POE zje, jak się zaśmierdnie? Kto jej POEtry?

Spotkałem wczoraj Sue. Zupełnie przypadkowo. Co prawda, to jedna z tych kobiet, którym Kafka kojarzy się z poranną przyjemnością, ale chędożenie z nią przez całą noc to jest naprawdę coś, co lubię.

Pilem jakieś koktajle w restauracji znajomego Ludwiga. Małe męskie party. W końcu zrobiło się na tyle ciepło, że mogliśmy siedzieć na świeżym, majowym powietrzu. Słońce opiekalo nas jak maszynka do gofrów. Dyskutowaliśmy o jakichś filmach, od czasu do czasu, schodząc na temat dupy Maryny. Wokół nas roilo się od rozneglizowanych studentek, dziewcząt specjalnej troski ze strony starszych sponsorów, młodych matek, zadowolonych ze spełnienia prokreacyjnego obowiązku, czternastoletnich nimfetek, zdających już sobie dobrze sprawę z tego, jak na nie patrzyliśmy. Sielanka.

Wtedy ją dostrzegłem. Szybkim krokiem przemieszczała się z jednego końca Rynku na drugi. Niosła ze sobą walizkę, z pewnością zapełnioną dyskietkami, damskimi szpargałami i jej nieodłącznym laptopem. Widać było, że się śpieszy. A jednak przystanęła!

– Chris! – zawołała i rzuciła mi się w ramiona. – Jak wspaniale cię znowu widzieć!

– Też się cieszę, Sue! – odpowiedziałem i chciałem sobie zafundować szampana za to, że pamiętałem jej imię.

– Chris, śpieszę się, mam spotkanie za pół godziny. Zostawiam ci moją wizytówkę. Zadzwoń koniecznie. Musimy się spotkać – wyklekotała w pośpiechu i podała mi numeronośny kartonik.

– Zadzwoń, Sue! Wspaniale wyglądasz – rzekłem.

– *Give me a hug!* – wrzasnęła po raz ostatni i ściskając mnie, pocałowała delikatnie w policzek.

Poczułem zapach jej perfum. Mieszanka piżma i wanilii zawsze na mnie działała, tak jak i wyciąg z sandałowego drzewa, którym smarowała się Mary. Ona pobiegła w swoją stronę, a ja już się cieszyłem, że niebawem znowu będę ją pierdolił.

Zadzwoń. A zatem koniecznie, wkrótce, spokojnie, nie mam nikogo, czas jest, jak pieniądz, kiedy, zobaczę, mam dużo pracy, za trzy godziny?! Dobra, będę. Na pewno!

Czekając na nią, wyobrażałem sobie jej przygotowania. Z pewnością w tej chwili siedzi w pachnącej wannie i obmywa dokładnie każdy centymetr swojego ciała. I wiem, że to, co robi, robi dla mnie. Będzie czysta i pachnąca. Jej śluz będzie świeży i pożądający, bo z pewnością jej tech-taczka już dostaje szału. Pulsuje, ukryta w tej delikatnej faldce na szczycie jej miękkiej przyjemności. Cieszę się, że będzie taka, bo nie ma nic gorszego, niż objeść się serem z pizdy przed pierdoleniem. Odbija się godzinami.

Przyjechała w końcu. Była rozpromieniona i gorąca tak, że jej żar mogłem poczuć na odległość, jak czuje się wysokokaloryczność płomieni z kominika. Udawałem trochę zapracowanego. Poprosiłem, żeby rozsiadła się wygodnie, przygotowała jakieś koktajle *margeryty* i obiecałem, że zaraz wrócę. Oczywiście wyraziłem nadzieję, że się rozbierze.

Przez dłuższą chwilę udawałem, że coś wklepuję na klawiaturze komputera. W rzeczywistości wciągałem nosem zapachy, które przyniosła na sobie. One zawsze mnie pobudzały. Robiłem to z intensywnością wyglodniałej hieny, poszukującej na rozległym stepie zzieleniałego ścierniska, inkru-stowanego gęsto czarno-purpurowymi odwołkami małych koproforów, jak najsmaczniejsze kąski rodzynekowego sernika.

Musiałem już w końcu wkroczyć do akcji. Przyszła tu przecież, niczym głodna stonoga do śmietnika! Wiem, że to dupczenie będzie jej smakowało, jak Chrystusowi pierwsze śniadanie po czterdziestodniowym poście. Młaskał cham przy nim, jak dzik w polu ziemniaków. Cieszę się bardzo, bo mam taką chęć, że wyruchałbym wiosnę, gdyby potrafiła rozłożyć nogi.

Ona też była napalona tak, że usiadłaby chętnie na iglicy Pałacu (to mam) Nauki (która mnie karmi) i Kultury (której nie można mi odmówić). Miała dość skomplikowaną, niczym edytor HTML, instrukcję obsługi. Hujem (tym specjalistycznym, przez samo h) Tylko Mogłem Lizać, i to delikatnie, po wierzchu. Po samym wyprężonym w jego stronę ogrodzie przystrzyżonych krzaków, porastających tereny służonośne jej gondy.

Gdy wszedłem do pokoju, w którym siedziała, zauważyłem, że ma na sobie tylko prześwitującą bluzkę. Bielizna i reszta ubrania poniewierala się pod stolikiem. Usiadłem i wzniosłem toast za spotkanie. Zrobiła dobre drinki. Po krótkiej wymianie zdań dobrałem się do niej. Zacząłem masować jej uda. Pośliniłem też te miejsca pod kolanami. Uwielbiała to zawsze. Przesu-wałem ręce po całym jej ciele. Czuję jej szybszy oddech i pierwsze dresz-cze. Była bez majtek. Jedną ręką zacząłem ugniatać delikatnie jej wzgórek, nie śpiesząc się zbyt, aby zejść niżej. Jej bluzka ślizgała się po gładkiej skórze. Ssałem jej sutki przez ten cienki materiał. Zaczynała odpływać. Usłyszałem nieśmiało i jeszcze niedojrzałe westchnienia. Nie przestawałem.

Miała całkiem spore rozwarcie. Jej landryna, czerwona już z podniece-nia i nabrzmiała, jak dojrzała przepuklina, została mi podstawiona do ssa-nia. Złapałem jej nogi za kostki, rozwarłem je i zrobiłem sobie miejsce do nieskrępowanych działań. Chciało mi się już tak walić, że zgodziłbym się na wszystko, o co tylko poprosiłaby w tej chwili, nawet o zgaszenie świa-tła. Na całe szczęście też lubiła patrzeć. Wziąłem zatem swoje pulsujące narzędzie do ręki, zademonstrowałem je w pełnej okazałości, po czym przy-łożyłem dokładnie w punkt pomiędzy wargami wielkimi i tymi jeszcze więk-szymi. Poczułem jej ciepło. Ona jęknęła.

– Pieść mnie nim – powiedziała z rozpoczynającym się obłędem w jej oczach.

Wyprężyla się jeszcze bardziej. Jej młode jeszcze cyce nie poddawały się grawitacji, choć rozwarłem ją przede mną w płaszczyźnie horyzontalnej. Nie zwisały jakoś tak nędznie, niczym worki mleka z przepelnionej skrzynki. Przeciwnie! Pięły się w górę różowością twardych brodawek. Uwielbiam widok wyprężonych sutfów! Właśnie je ścisłała poślinionymi palcami. Ja też pośliniłem mojego chuja, któremu ciśnienie krwi wycisnęło żyły u podstawy. Żołądz była purpurowa. Ręką rozwarłem jej wstyd i zacząłem szybko po niej napierdalać. Potem zwoiłem, a kiedy ona znowu na mnie napała, zacząłem naciskać na nią z całej siły, wykonując ruchy szybkie, jak skrzydła najebanego kolibra. Tego już nie wytrzymała. Zaję-czała i zaraz potem rozsunała firanki swoich wrót rozkoszy. Oddychała szybko. Mogłem już tam wpierdolić swój baner do dna. Myszą mojego wskazu-jącego palca klikałem na jej przycisk. W całym pokoju, aż zakurzyło się od chaotycznych jęków. Tuman westchnień i nieświadomych pisków odbijał się od ściany do ściany. Posuwałem ją tak, rozpędzając się, niczym wagony seulskiego metra. Stacja: nienasylenie. Później zapierdalały już pełną parą

po ciemnych tunelach naszych pragnień, naszych żądz. Sapiemy do siebie potem, spalającym się tak szybko, jak olej we frytkownicy. Piszczą w piczy pajęczyna nerwów! Piszczą w piczy pajęczyna nerwów. Piszczą w piczy pajęczyna nerwów. I wtedy, gdy ona krzyczy: – Chris! Ja płonę!, tryskam w nią jej skomleniem. Orgazm szarpie moje jaja, jak rumuński dzieciak chleb. Na pustym niebie pod jej czaszką wybucha Hipernowa doznań! Rozpędzona kometa mojej spermy zabiera ją w otchłań Obłoku Magellana, która rozpruwa ją w okolicach Czarnej Dziury. Pojęcie czasu poszarpało się od mojego pulsującego wciąż szydła. Zachorowała na wieczność! Jest moja!

Wiedziałem, jak wyjechać to zwierzę! Choć nie było to łatwe. Ona czasami stroi za dużo fochów. Jest kapryśna. Teraz nie pozostało jej nic innego, jak tylko się ubrać i spierdalać. Na pewno spotkam ją znowu przypadkiem. Może za pół roku, może pojutrze. To jest nieistotne. Sue jest uzależniona ode mnie, jak hollywoodzkie gwiazdy od operacji plastycznych. Odkrycie tego zabrało mi trochę czasu, ale jest oczywiste, jak to, że seks we dwójkę jest niezły, ale w trójkę lub czwórkę – rewelacyjny.

Musiałem się dość szybko pozbierać, gdyż dzień zapowiadał się na bardzo obfity w wydarzenia. Byłem poumawiany, nazapraszany i jeszcze na dodatek poddany przypadkowym ingerencjom, jak to zwykle bywa, gdy tylko wychylę nos na zewnątrz. Moje ciało było zrelaksowane, powyginałem przecież nawet te jego części, których nie używałem już chyba od ponad tygodnia. Uwielbiam to uczucie swoistej lekkości po dobrym pierdoleniu. Czysta głowa, mięśnie odzyskują młodzieńczy wigor, a wyplute przez różne gruczoły związki chemiczne nakręcają człowieka lepiej niż *prozac*. Warto się pieprzyć choćby dla tego momentu po, choć oczywiście to tylko deser po daniu głównym.

Miałem na dzisiaj zaplanowane spotkanie z facetem, którego zupełnie nie znałem, ale na prośbę Leonarda postanowiłem się z nim umówić. Kilka razy już przekładałem terminy, więc postanowiłem, że koniecznie dzisiaj muszę być punktualny i nie mogę go anulować. Pobiegłem zatem czym prędzej do hotelu *Monopol* na kawę. Moje ostatnie wolne pół godziny tego dnia chciałem spędzić w lepszej atmosferze, niż oferowało mi moje własne mieszkanie i ze samym sobą. Reszta czasu już była rozszarpywana przez obcych.

Rozłożywszy gazetę, spijałem rewelacyjną kawę. Żadnych zdeszlachetniczy. Była boska! Czulem, jak wypełnia wszystkie, głodne kofeiny, pory mojego ciała swoim aromatem. Papieros przy niej stał się wspaniałym dopełnieniem, niczym dobrze dobrana rama do arcymistrzowskiego płótna.

Błękitna stróżka dymu szkicowała w powietrzu wiolinowe klucze suity południowego relaksu. Uczta duchowo-cielesna.

Niestety, musiałem szybko ją przerwać. Śpieszyłem się.

Na spotkaniu związku jakichś pojebów od makulatury pokłóciłem się dość szybko. Nie podzielali mojego zdania o tym, kto jest najlepszym pisarzem polskojęzycznym. I to nie od czasu śmierci Marka Nocnego, ale od czasu śmierci ostatniego mamuta, który zapisał się tylko gównem z prehistorycznej trawy, zaledwie bredzącej coś o zieleni zielonego zielonizmu. W sumie dobrze się stało. Miałem więcej czasu dla siebie. Przysiadłem w ogródku restauracji *Sankt Petersburg*, gdzie byłem umówiony ze znajomym Leonarda, i poczęstowałem się dobrze schłodzonym wytrawnym *martini*.

Facet był punktualny. Momentalnie spostrzegłem też, że jest trochę nieśmiały. Z kieszeni wypłowiałej kurtki wystawała jednak okładka dobrze znanej mi książki. *Ludzkie, Arcyludzkie*. Od razu musiałem go polubić.

Był co najmniej pięć lat młodszy ode mnie, przynajmniej z wyglądu. Przypominał mi Thadeusa, mojego starego przyjaciela z Polski, który chcąc, nie chcąc, osiadł w *New York City*, a raczej przytulał się od dobrych kilku lat do brudnych koców tamtejszych noclegowni dla *homeless*. Potrafił wyciągać wnioski z najgrubszych tomisk, niczym gorąca woda wyciąga esencję z herbaty. Puentował ostrożnie, aczkolwiek zawsze w samo sedno. Nigdy nie dokończył swego dzieła życia, a mianowicie uporządkowania jakichś apokryficznych przypowieści. Zajmował się dość długo życiorysami kilku co poczytniejszych pisarzy. Chodził po ich śladach. Fotografował ich domy. Fotografował parki, w których rozkładali kieszonkowe szachownice albo w których spacerowali ze swoimi psami, muzami, kurwami, chłoptasiami, żonami czy chuj wie, kim jeszcze. Jadał w restauracjach, w których oni jadałi, i pił w knajpach, w których oni pili. Oczywiście, o ile jeszcze istniały. Nie robił tego absolutnie z jakiegoś snobizmu. Miał takie *hobby*. Drugim było wdychanie samochodowych spalin z kilku co ładniejszych francuskich modeli, gdy odpoczywały na czerwonych światłach. Dziwny był. No i rozpił się za bardzo.

Na nowo poznanego filozofa muszę uważać. Nie chcę się zadawać z byle kim, bo nie mam i tak wystarczająco dużo czasu dla samego siebie. Jest młodszy, więc przykładam wagi do używanej nomenklatury. Staram się nie używać przebrzmiałego dyskursu, niemodnych metafor, jakich oni już nie używają. To tak na wszelki wypadek. Nie znam przecież progę jego wrażliwości, a pozory mogą zawsze mylić. To tak, jak z feministyczną skórą.

Wydaje się twarda, szorstka i zbrojona. Nie jest to jednak okrycie gruboskórnego nosorożca. Żeby wbić włócznię w pancerz tego zwierza, musisz się mocno wysilić. Feministce z kolei wystarczy, że facet pokaże jej język. On chce jej tylko powiedzieć, żeby spierdała, ale ona to zawsze zinterpretuje jako seksistowską napaść.

A zatem bardzo powoli przechodzimy do sedna dyskusji, z każdym słowem częstując się wzajemnie uprzejmościami. Wypuszczam z klatki łasicę komplementów. Zgadzam się na przejrzenie jego tłumaczeń, tym bardziej że Leonardo mi za to zapłaci. Jakoś podskórnie już je akceptuję. Liczba tematów, na które chciałbym z nim wymienić poglądy, rośnie niczym Syzyfowa góra. Czuję, że nigdy się nie skończy.

Facet okazuje się bardzo w porządku. Rozmawiając o modnych obecnie zasadach stosowania żeńskich zaimków w tłumaczeniach, głównie amerykańskich popluczyn, zgadzamy się, że to płytka, jak odbył myszy, feministyczna grammatologia. Jest ona czystym zaprzeczeniem inspiracji, a na dodatek czystą formą hipokryzji, niczym popijanie dietetyczną *coca-cola double buttered popcorn!*

Zakrapiamy nasze dywagacje mocnymi drinkami, co powoduje, że wypruty *logos* plecie coraz dłuższe i węższe ścieżki, oddalające nas od głównego tematu spotkania. Nowy znajomy rozgadał się na dobre. Już nie jest nieśmiały. Opowiada ciekawie. Niektórych rzeczy nie dopowiadamy, bo dopowiedzenia są czasami zbędne, jak szminka w szpitalu onkologicznym. Albo i różaniec.

Najgorsze jest to, że zapomniałem jego imienia. Pamiętałem je jeszcze piętnaście minut temu. Teraz to jednak dla mnie piękna antyczna przeszłość. Alkohol upolował pomyłony czas.

Opowiadał mi trochę historii ze swojego krótkiego życia. W pierwszym momencie starałem się poczuć w jego skórze. Dość szybko jednak poniosło mnie rzeką wspomnień do moich czasów studenckich i tych krótko po studiach bo zdałem sobie sprawę, że to zupełnie niemożliwe. Tak jak niemożliwe jest poczucie się prawdziwym facetem przez lesbę, pierdołącą drugą szparę za pomocą imitacji fiuta, przytwierdzoną do jej szynek skórzanymi paskami. Głupia nie wie, że w takich momentach wszystkie ośrodki czucia faceta zostają przerzucone desantem w miejsce, gdzie ona ma jego gumowy ekwiwalent.

O wiele ciekawszy był nasz *performance* filozoficznych abstrakcji. Dyskursem tym wpisywaliśmy się oczywiście w nieskończony ciąg podobnych,

nigdy niedocierających do puenty słowotoków, ale zawsze to bardziej interesujące, utylić się w *quasi*-problemacie, sugerując *quasi*-intelektualną gierkę. Dialog i tak nie jest możliwy, więc dobrze jest, gdy możemy chociaż konstruować przemyślnie pułapki, aby schwytać siebie nawzajem i wytknąć sprzeczność, logiczną nieudolność. Remis.

Piliśmy długo. Zrobiło się ciemno. Na niebie było tyle niedopalków gwiazd, ile petów w naszej popielniczce. Dużo.

Siedzieliśmy nadal w ogródku, na zewnątrz. Przyjemny chłód muskał nasze pijane ciała. Obok nas przechodziła jakaś niewielka grupa protestującej przeciwko czemuś młodzieży. Klaskali w dłonie, by było ich więcej. Bez sensu!

Nie zorientowaliśmy się nawet, kiedy minęły cztery sześćdziesięciminutowe pory roku. W końcu żegnamy się. Wymieniamy numery telefonów. Zapisujemy je na kartkach, które jeszcze dzisiaj zgubimy. Na pamiątkę spotkania tworzymy w katalogach naszych mózgów nowe foldery. Będą się nazywać: „miło było poznać”.

Zostałem sam i nie miałem pojęcia, czy rzeczywiście chcę wracać do domu. Rozszczękało się stado moich różnorasowych myśli. Skundlone stado! Oswojenie się z nimi jest dla mnie chyba nie do osiągnięcia. Największy siłacz świata nie połamie w swych dłoniach powietrza.

Atakują mnie zatem ciągle. Ujadają, na podobieństwo psów sąsiadów. Jestem dla nich jakby znajomym obcym. Nie chcą się jednak zaprzyjaźnić. Nawet gdy wyciągam w ich stronę rękę z kieliszkiem, nie chcą się ze mną napić. Nie chcą nawet chcieć. Wypiałbym się chętnie na ten rój, ale to niemożliwe. Ich satelity namierzyłyby mnie, zanim zdążyłbym wziąć pierwszy wdech wolnego od nich powietrza. Z biegiem lat dowiaduję się, co oznacza pozostanie nieokielznanym. Niemoc z drugiej strony.

A zatem myśli stłoczone, niczym barki w przyciasnym rzeczonym porcie.

– Chodźmy spać, nie róbmy już nic więcej. Już wystarczy! – namawiam je.

Odpowiadają, żebym poczekał, aż one wytrą ręce z brudów, które zostawiłem tu i ówdzie.

– Tłumaczę wam! Nie warto się myć! Znowu was pobrudzę! Zaakceptujcie to, czego nie pokonacie! Człowiek zaakceptował przecież własne, wrodzone lenistwo, wymyślając nieskończoną ilość wynalazków, nazywanych „zrobię to za ciebie”, właśnie w czasie, kiedy to lenistwo mu doskwierało. Wynalazki też brudne, a jednak zaakceptowane.

Nie słuchały.

Szedłem jakoś niemrawo. Wiatr głaskał liście drzew, które więcej wiedziały o smaku betonu, asfaltu i psich szczyn niż o wilgoci leśnego mchu czy wiosennej kroplówce burzy. Ot, wielkomięjskie dekoracje, oswojone przez dekoratorów przestrzeni i stroicieli instrumentów urbanistycznej filharmonii.

Dotarło do mnie, że wynajęte dłonie pracują w wielu punktach miasta, nawet o tej porze. Jedne głaskały po głowach pobite, wygłodniałe, przestraszone kilkuletnie dzieci, budzące się z powodu nocnych koszmarów w niedoinwestowanych przytuliskach, inne pisały jakieś prace, referaty, rozprawy, służące dodawaniu sobie do imienia i nazwiska paranaukowych tytułów, a jeszcze inne dawały ostatnie namaszczenie tym, którzy już nie mogli. Były też i takie, które waliły konia niedojebanym ojcom drobnomieszczkańskich rodzin, drobnym złodziejaszkom, drobnym biznesmenom w delegacjach. Wynajęte dłonie nadają się do wszystkiego. Chciałbym je wszystkie poobcinać! Dłonią wynajętą!

Byłem już wyczerpany, niczym motyw wrażliwego mordercy we współczesnej kinematografii. Pragnąłem znaleźć się w domu, dopić ostatniego drinka i pogрузić się w otchłani próżnego snu, wypełnionego jedynie pochrapywaniem mojej pijanej mordy. Z drugiej strony, coś mnie jednak nosiło. *Viva Amba* zaczynała swoją przygodę. *Viva Amba* napierała.

Zacząłem się zastanawiać, czy nie pójść do jeszcze jednej knajpy. Jest piątek, więc samotne kobiety pachną dziś intensywniej niż zwykle. Dopadła je *weekendowa* ruja, a nic nie pachnie lepiej niż chcica niedorzęniętej samicy. Poznałbym jedną z nich i uprawiając z nią moją ulubioną gimnastykę, ukatrupiłbym rozlażące się robaki refleksji. Jej ciało mogłoby być inkrustowane piegami, niczym wypracowanie dyslektyka błędami ortograficznymi. Nie przeszkadzałoby mi to, bo ani to jej, ani to jego wina. Ot, Zarządzenie Losu nr 1451, tom I, *Defekty usprawiedliwione wraz z komentarzami*, wydanie: popularne. Nie wczytywałem się w to za bardzo, gdyż nudzi mnie to, jak przepisy kucharskie nudzą szefa kuchni w ekskluzywnej restauracji. Cipsko miałaby za to bez zarzutu! Przystrzyżone, podgolone, wypielęgnowane tak, jak lubię! Gdyby nie brzmiało to banalnie, to porównałbym je do ogrodów Wersalu. Gdyby nie było wypełnione śluzem, to porównałbym dostrzeżone proporcje, do idealnych proporcji wyprażonej słońcem piramidy egipskiej. Ale to byłaby zwykła, czysta, chętna dziura! Rozwarcie jej warg sromowych byłoby dla mnie bardziej dosłownie namacalne, niż mogłaby to oddać jakakolwiek metafora. Nawet tak świetna, jak ta, którą mógłbym wymyślić w tej chwili!

Więc gdybym tylko poszedł teraz do knajpy, to już za godzinę znalazłbym się z nią w łóżku. Piwnookie Radio Romans złapałoby ultrawysokie fale w momencie, gdy zamontowałbym w nim mą pulsującą antenę. Z szeroko otwartego głośnika wydobywałyby się różnorakie jęki. Pierdoląc ją od tyłu, wsłuchiwałbym się w te odgłosy, przefiltrowane przez gryzioną poduszkę.

– Uhm, Ooo, ssss, taaak, uuhm, Uuhm, och, tak, jeszcze, mmmmm, och,

– oooo, nie tak głęboko, o!, o!, o!, o!, sssssssss, pieprz mnie!, szyb-
ciej!, Uuuhm,

– ooo, tak, tak, tak, tak, ooO, Ooo, dochooodzę, a!, a!, uhm, Ooo, Chriiis,
coś ty ze mnąaaa...

– mmmmm, ssssss, mmmm, och, mmm, o!, o!, mmmmm.

Jej pizda dopadłaby mnie swoimi silnymi skurczami. Czułbym moim chujem, pogrążonym w odmęcie jej śluzu, pulsara kobiecej przyjemności. Wiem, że oczy miałaby wywrócone obłędem. Nie widziałbym tego, ale byłbym pewny, bo rzeziłaby do wkurwionej tym cyrkiem poduszki, w jakimś amoku. Ja trzymałbym mocno jej pośladki, rytmicznie je ściskając. Przyśpieszyłbym. Jądra odbijałyby się od jej orgazmorodnego sklepienia, podczas gdy swoim pługiem oralnym żyzną miękkość, w okolicy ujścia szyjki macicy. W końcu poczułbym pierwszą płamkę gorąca na swoim karku, która pojawia się u mnie tuż przed wytryskiem. Prawą dłonią klepnąłbym ją w opaloną żarówkami solariów dupę. I jeszcze raz! I jeszcze! Całkiem mocno. Drugą ręką złapałbym ją za włosy i wcisnął jej głowę w pozwijaną pościel. Gdyby miała przy sobie biblijnego nielota, to na ten widok pierze wypadłoby mu ze skrzydeł! Ale nie miałaby. Więc chlusałbym w nią gęstą bryzą, która oblepiłaby sprężynę w jej jajoprzechowalni i zawyłbym:

– O kuuurwa!

Potem zasnęlibyśmy, wtuleni w siebie jak spółkujące ślimaki. Na jej prawym pośladku zostałby czerwony ślad mojej dłoni. Taka kilkudniowa pamiątka. Nad ranem pozbierałbym się i udawał przed nią, że zapisuję numer jej telefonu. Ubrałbym się i zniknął, jak rekwizyt iluzjonisty. Jej zdziwienie nie byłoby większe niż publiczności podczas przedstawienia. Tego samego oczekiwałaby przecież. Zniknięcia.

Gdyby jeszcze w domu czekała Sonia, powiedziałbym jej, że znowu upiłem się z Kamilem. To dobre wytłumaczenie, dlaczego przygotowana przez nią kolacja musiała wystygnać. Kłamstwa mam doskonałe, bo zawsze sam w nie wierzę. To jest certyfikat ich jakości. Odparłaby tylko, że jakoś

tak bardzo, bardzo, bardzo, chciała się do mnie przytulić. Nie odmówiłbym jej. Nigdy i niczego jej przecież nie odmawiałem.

Ale wszystko jest już inaczej. Pójdźcie do knajpy w tej chwili, to byłby tylko zmarnotrawiony czas. Beznadziejnie zmarnotrawiony czas, niczym materiał genetyczny pozamykany w męskich i żeńskich klasztorach. A ja muszę go przecież oszczędzać, jak ostatnią kroplę wody na pustyni. Czas to jedyna rzecz, której nikt mi nie odda, której nikt mi nie pożyczy, której nikt mi nie zafunduje, której nie odzyskam. Choć jest ustawicznie tracony, to pomimo wszystko nie jest on na straty.

O kalineo madagaskar! Bulituro propylene! Na boga Peworu! Me sonka bita kura hamsamhamnida! Rzeka nie zawróci tylko dlatego, żebym nie mógł się oddać!

Zrobiło się już późno. Późno dla mnie, bo dla mieszkańców małych wiosek, rozsypanych w promieniu stu kilometrów od centrum tego miasta, jak drobiny cukru wokół filiżanki kawy, należącej do trzęsącej się ręki, to była pora wczesna. Stoją właśnie na peronach, do których cumują najzwyczajniejsze pociągi, nie brudniejsze niż wczoraj i nie bardziej spóźnione, i jadą sprzedawać swoje krótkie życie na godziny w najlichszych zakładach drobnej i masowej wytwórczości. I dobrze im tak! I nie chcą nic więcej! A ja nie jestem w stanie sobie nawet wyobrazić, że tak można spierdolić własne życie. Oni mówią: ułożyć.

Więc nie było już wyjścia. Bulwarem *Postanowienia* odprowadziłem wiwatującą *Ambę* do skrzyżowania prospektu *Spokoju* z amfiladą *Ciszy*, pożegnałem się zgodnie z obyczajem, odczekałem chwilę, aby nabrać pewności, że już mnie nie dogoni i obudziłem się po południu następnego dnia. Mocno się obudziłem!

W moim uchu błyszczał kolczyk prawdy. Nie wiem, skąd się wziął, bo nie lubię takiej biżuterii. Lokata złudzeń, na której zawsze się traci. W lombardzie idei już zacierają ręce.

19. Odpowiedź Agaty

W końcu się doczekałem. Odpowiedzi było mnóstwo. Spam! Po prostu totalne zalanie! Tak, jakby sam Internet spuścił się w moją ciasną skrzynkę piktogramem gęstych bajtów. Nie mogę odpowiedzieć na wszystkie zachęty. Już się zastanawiam, kto to wszystko wyrucha? Wybrałem na początek to jedno zaproszenie, bo zapowiadało coś ciekawego. Napisała tak:

Na imię mam Agata. Mam mokrą pizdę o pojemności dwudziestu kutasów w roku. Jeżeli po włożeniu Twojego chuja nie będzie pusto w mojej zaokularzonej głowie, to wpadaj. Mam wolne tylko weekendy. Aha! Tweensy-weensy hint! Tania knajpa odpada. Adres: Hotel Renaissance.

Mój kutas też uszyty jest przez najlepszego krawca słów. Kostium z pierwszorzędnego materiału. Przynajmniej czterdzieści pizd rocznie paraduje w nim na wystawie awangardowych orgazmów. Nie potrzebuję aukcji, żeby go dobrze sprzedać. Ciągłe jest w modzie. Moja sperma klei się do okularów równie dobrze, jak pięciolatek do kota ze schroniska. A jej głowy nie pozostawię pustej, bo przecież, gdy zobaczy przez swoje szkła, oby to były przynajmniej plus dwa, strugę mojego krochmalu, to musi się w niej pojawić obraz magła i gorącego walca Straussa, który ją właśnie przejechał. Odpowiedziałem.

Pytała, kim jestem. Ponieważ preferuję pozostawanie *incognito*, więc napisałem, że jestem facetem, który się nigdy nie nudzi. Bardzo jej się to spodobało i w zupełności wystarczyło. Choć osobiście wolałbym zrobić na niej większe wrażenie. Od dawna pragnąłem zostać wynalazcą różowego dymu papierosowego. Czyż nie brzmiałoby to lepiej?

Zatem pole mojej radości już elektronicznie obsiane. Dokarmiam uśmiechniętym gnojownikiem wzrastające łądygi spazmów. Spuszczam deszcz komplementów, który ona przerabia w fotosyntezie swojej głupoty. Dojrzewa mi w czasie, gdy ja sączę krwistoczerwone wino.

Pora jednak naostrzyć kosę, naostrzyć sierp. Przygotować zagrodę chuja na młócenie. Rozpalić w piecu, z którego przecież nie jeden chleb. Żniwa nadchodzą w pijanych żartach. Moja ręka już grzebie w jej miedzy. Rzygać będziemy po dożynkach.

Umówiliśmy się w znanym miejscu, nieopodal *Troccadero*. Nie sposób było się nie znaleźć. Dostrzegłem ją z daleka i od razu wyczułem, że jej cipa będzie otwarta, niczym źródłosłowie.

Pierwsze, co mi się rzuciło w oczy to jej twarz. Przestraszyła mnie, jak długi pojawiające się pod koniec każdego miesiąca. Ale nic to! Przyzwyczajony jestem, choć od momentu odebrania spadku, udaję, że zapomniałem o tych momentach. O zdjęcie nie prosiłem przecież, bo dobrze wiem, że nawet kaszanka opakowana w gazetę, może smakować. Przeżyłem stan wojenny w Polsce. Najważniejsze, że pochędożę jak dzikus.

Po krótkich ceregielach, jak to nam miło i innych w tym stylu, umieszczamy nasze dupy w wygodnych objęciach foteli restauracji *Opus VII*. Dodajemy sobie dzina do butelki i go z tej butelki po troszeczkę. Na wstępie ona mi wyjaśnia, że mój scenariusz jej się podobał, ale z racji zawodowych zboczeń musi go trochę zmienić. Agata jest zawodowym reżyserem. Jej mózg stoczył już robak dominacji. Ale na całe szczęście nie rozsiadł się w gabinecie gmachu feminizmu. Ten runął już dawno. Miał zbyt słabe fundamenty. Z betonu!

Więc rozmawiamy sobie. Próbuję ją przekonać, że świat jest złudzeniem optycznym, że przysięgam codziennie prawdę i kłamię możliwie najlepiej, tylko po to, żeby umieć wysłuchać jeszcze większego łajdaka od siebie. Nie muszę jej przekonywać i wyjaśniać całej tej metodologii, bo ona robi zupełnie tak samo. Zgadza się, że nie ma hipokrytów w przyjemnościach.

Nie wiem, czy muszę dodawać, że nęciłem bez przerwy jej pizdę pod stołem. Sprawdziłem jej zapach, sprawdziłem konstrukcję, sprawdziłem metodę działania. Pachniała piękniej niż śledź do wódki. Muszlę miała tak kształtną, że sam duch symetrii musiał ją zaprojektować. Bódźcoodbiorczy zakamarek u biegu warg mniejszych i większych, funkcjonował bez zarzutu. Wydawała dźwięki jak jakiś *hot* kot! Jej frajda ma frajdę.

Trochę się ubzdryngoliliśmy i zapragnęliśmy w końcu wymienić płyny, poznać się bliżej, i to z każdej strony. Mój chuj był najwyraźniej znów *ferromonem*. Mam oczywiście znowu na myśli *Mona z żelaza!* Dopadłem ją zaraz za drzwiami. Oddychała szybko i tak głęboko, że jej płuco chyba kończyło się w dupie. Jej czeluść napierdała głośnym ślinotokiem. Śluzolubne lilie w niej zasadzone dymity jak kominy koksowni w zagłębiu *Ruhry*. Zabrałem się ostro do dzieła. Rzuciła się jak szprot w sieci. Czy miała szeroko otwarte. Miałem ją dobrze nądzianą. Prędszej Chrystus spierdoliłby

z krzyża, niż ona mogłaby się uwolnić. Jębię ją swoim łajdackim wyciorem, a ona jęczy jak reumatyczna sprężyna.

W pewnym momencie powiedziała, żebym przemawiał do niej wolniej i głośniejsz, bo jej pizda nie rozumie i traci wątek. Więc zwalniam i poprawiam akcent. Najpierw na dziesięć, potem na dziewięć. Intonuję na osiem i siedem, pauza na sześć, nacisk na cztery i na trzy, pytam na dwa. Jej śledziomokra odpowiada drżącymi wargami, że tego jeszcze w życiu nie słyszała. Więc tryskam strugą czaru, dwie krople do środka i resztę na okulary. Moja chara zwisa jej z nosa. Zgarnia ją łapczywie palcami i ssie je, bo jeszcze się trzęsie, jak japońskie wyspy podczas trzęsienia ziemi. Piorun niepo czytliwości trzasnął w nią z całej siły! Wypizgał w jej głowie ciężką dziurę. Chociaż tyle po mnie zostanie!

Spałem jak po dobrym dupczeniu.

Okolo południa następnego dnia pożegnaliśmy się w podobnym stylu, ale już mi się nie chciało tak dogłębnie wszystkiego tłumaczyć, jak poprzedniej nocy. Trochę jej umknęło, bo pizda to przecież nie dyktafon, choć puentę wyciągnęła, wyjąc w tym samym momencie, co ja.

Po powrocie do domu zrobiłem *reset*. Zdjąłem swoją witrę z internetowej pajęczyny. Szybko się nudzę, niestety. A poza tym nie chcę się zarażać jakąś e-chorobą. Antidotum wszak na nią jeszcze nie wymyślono.

20. Mieć siebie w mocy

Obserwowałem go już dobre dziesięć minut. Udawałem, że szukam czegoś wśród tych pluszowych kołysanek, zamkniętych w kształtach misia Puchacza czy myszy Kiki, wśród modeli kolorowych samochodów, z których połowa była zdalnie sterowana, lalek wywracających oczy i sikających po napojeniu herbatą, ogromnych kartonów różnokształtnych klocków. Półki stoisk z zabawkami są przepełnione zawsze, a szczególnie o tej porze roku. Nawet w dzień Wigilii nie widać, żeby coś z nich ubywało i to pomimo rozrzutności dbających o rozrywkę swoich piskląt rodziców. Obsługa musiała się już zorientować, że nie zamierzam nic kupić, bo szklane oczy trzech kamer wpatrywały się we mnie bez mrugnienia. Nie przejmowałem się tym. Postępowałem za nim krok w kroku.

Bardzo sfatygowane i za obszerne palto, które kiedyś było z pewnością brązowe, wisiało na nim jak na pogiętym wieszaku. Wytarte na przedramionach, z postrzępionymi rękawami i poobrywanymi guzikami, z wgrzyzionym aż do podszewki wielkomięskim kurzem, zaciekami pozostawionymi przez odparowany deszcz i plamiastymi odbiciami chodników, dotykało wykryształizowanego marmuru posadzki, jakby miało za zadanie zacierać śladów po podszewkach jego butów. Te rozłazące się buty były z kolei przerysowaną karykaturą rekwizytów z jakiegoś wstrząsającego filmu o nędzy. Podobnie trzy swetry, które rozciągnęły się z głodu aż do kolan i były tak brudne, że bardziej brzydzę się tylko złodziejami. Postrzępione włosy, w kolorze chybablond, które wystawały spod solidnej czapy, musiały być podcinane żyłką, albo może nożem, o śmietnikowym rodowodzie. Jego fryzura to było coś więcej niż nieład.

Był niezdecydowany. Wodził oczyma wśród tych setek zabawek i najwyraźniej bał się nawet dotknąć którejs z nich. Przemagał się jednak i brał, od czasu do czasu, jakąś rzecz, po czym starannie odkładał ją na miejsce. Bardzo starannie. W tych chwilach skurczone napięcie pojawiało się na jego twarzy, a przygryziony język mimowolnie wychylał się z ust.

Dostrzegli również i jego. Może zresztą od samego początku mieli go na oku. Już zbliżał się do niego facet z ochrony, budzący respekt nie tylko posturą, ale również wzrokiem tęnym jak obuch.

Postanowiłem zareagować.

Bysior zbliżył się do malca i chwytając go za połę palta, chciał go wyprowadzić ze sklepu. Mały przeląkł się i nie stawiał oporu. Chyba już to przerabiał. Musiał wiedzieć, że opór działałby na jego niekorzyść. Ze smutkiem w oczach starał się tylko powiedzieć, że ma pieniądze. Nie pomagało. Zbliżali się do szklanych drzwi wejściowych, ozdobionych tabliczką z napisem „zakaz wprowadzania rowerów i psów”, która była świadectwem jawnego spisku tejże korporacji przeciw nim. O bezdomnych się głośno nie pisze.

Podbiegłem i zatrzymałem ich.

– Proszę go puścić. On jest ze mną! – rzuciłem ochroniarzowi prosto w twarz.

– Jak to jest z panem? – usłyszałem.

– Normalnie, zamierzam coś kupić dla niego i pozwoliłem mu wybierać – odrzekłem.

– Przepraszam, ale obserwowaliśmy go już kilka minut i myśleliśmy, że chce tylko coś ukrąść. Poza tym, wie pan, jest Wigilia i nasi klienci... no, rozumie pan... są zabiegani. Za duży tłok w sklepie się zrobił... Nie jesteśmy w stanie upilnować... – starał się usprawiedliwić, nie wspominając, że rzeczywiście w dzień Wigilii widok tych bezdomnych druidów jest bardziej bolesny, szczególnie jeśli mają sześć lub siedem lat. Wspomnienie o nich w trakcie kolacji może odebrać apetyt, a co dopiero ich realne wizerunki i realny zapach.

– Rozumiem. Proszę już jednak odejść, ja zajmę się nim – powiedziałem, a on obrócił się na pięcie i poszedł w swoją stronę.

Zostaliśmy tylko on i ja. Spojrzeliśmy sobie prosto w oczy. Moje są niebieskie, a jego były pomalowane strachem. Przelknąłem uśmiech, którym chciałem oswoić to dzikie dziecko, tego beneficjenta nowoczesnych systemów politycznych i ekonomicznej nieudolności zachodniej cywilizacji. Na taki tani grymas go nie nabiorę. Z poważną miną zapytałem:

– Jak masz na imię?

– Zack – odparł, wlepiając wzrok w czubki tego, co było kiedyś butami.

– Chodź Zack. Ja też jestem tu sam. Czego szukasz? Wybrałeś już coś? – w dalszym ciągu zachowywałem poważny ton głosu.

– Chcę kupić dla mojego brata samolot na gwiazdkę – odpowiedział.

– To poszukajmy go.

Drgnęliśmy i wolnym krokiem rozpoczęliśmy poszukiwanie plastikowego samolotu, który za kilka chwil on będzie ścisnął w swoich ramionach.

który będzie dla niego największym skarbem, o jakim mógł pomyśleć, największą spełnioną nadzieją, jaka mogła okocić się w jego sercu. W okolicy jakichś kłopotów o kosmicznych kształtach przyśpieszył. Dostrzegł coś. Podbiegł i dotknął.

– O ten! – zawołał, już jakby bardziej ośmielony.

– Czy na pewno ten? Zobacz, tu są też inne – odpowiedziałem.

– Tak, ale ten jest niebieski. Mój brat ma niebieski płaszcz i on lubi niebieski. I niebo jest niebieskie i kiedyś nasz samolot też będzie niebieski i nikt go nie będzie widział z ziemi – wyterkotał, jakby wyuczył się tego na pamięć.

– Więc dobrze. Weź ten samolot. Czy chcesz jeszcze coś?

– Nie, ja tylko po samolot przyszedłem – odparł, a w jego oczach już widziałem ognik dziecięcego szczęścia.

– A ile to kosztuje, proszę pana? – zapytał w następnym momencie.

Zaskoczył mnie tą zimną logiką. Już chciałem odpowiedzieć, żeby się nie martwił, że ja go kupię dla niego, ale zdałem sobie sprawę z tego, że chyba nie o to chodzi.

– A ile masz? – zapytałem.

Mały włóczęga wyciągnął dłoń i rozchylił palce poznaczone kreskami brudu. Podduszone kurczowym ścisaniem małej dłoni monety o mało nie wysypały się na kamienne, lśniące płyty posadzki. Zemdlały jednak w jego ręce. Była to sama drobniaka. Z pewnością cenił jednak każdą z tych drobnych monet, jak sprinter ceni każdą setną część sekundy. Wygrał już dzięki nim niejedną dzień z głodem

– Wystarczy ci – odrzekłem tym razem z uśmiechem, choć jakiś niewysłowiony żal, a zarazem podziw dla tej prostodusznej naiwności, ścisnął mnie za gardło.

– To dobrze, bo długo zbierałem to siano – odpowiedział.

– Daj, pomogę ci, daj mi te pieniądze. Pójdziemy do kasy i zapłacimy – poprosiłem go i nadstawiłem rękę.

– Nie. Ja sam – bronił się.

– Zgoda – odparłem

Podążaliśmy w stronę kasy, nie wzbudzając już większego zainteresowania ani ochrony, ani pozostałych klientów. Jedyne królowa lakieru do włosów rozdziawiła na jego widok paszczę, jakby ujrzała zabłąkany tani żel na półce z ekskluzywnymi kosmetykami *Chanel*. Najwyraźniej wzbudzał w niej odrazę.

Udało mi się niepostrzeżenie wysupłać bezwartościowy dla mnie banknot i wręczyć go kasjerce w taki sposób, że Zack w ogóle tego nie zauważył. Wciąż rozglądał się wokół siebie, jakby nieco otumaniony pluszowym rajem, w którym tak nieudolnie polował na ten samolot. Po zapłaceniu rachunku malec wkładał do kieszeni więcej, niż przywłókł ze sobą. Był zaskoczony, że otrzymał jakąś resztę, ale wyraźnie zadowolony.

– Czy to na pewno wszystko, co chciałeś tutaj kupić, Zack? – zapytałem go na zatłoczonym chodniku.

– Tak, proszę pana. My dzisiaj mamy specjalny dzień i to jest prezent – odparł.

– Jacy wy? – zapytałem ponownie.

– Ja i mój brat, Tim. To prezent dla niego – odrzekł, jakby to było oczywiste.

– Ach, rozumiem. A dlaczego samolot? – kontynuowałem.

– Bo mój brat lubi samoloty i my będziemy kiedyś mieć własny samolot. Nasz tata był pilotem. My też będziemy pilotami i polecimy nad ciepłe morze. I nikt nas nie będzie widział, bo on będzie niebieski jak niebo – malec recytował te bzdury z takim zaangażowaniem, że musiał naprawdę w nie wierzyć. – Mój brat mnie zabierze i wujka Philipa też zabierze.

– A co robi twój brat?

– On codziennie jeździ za lotnisko i podgląda samoloty, jak lądują i startują. Czy pan wie, jaki to jest hałas? Czy leciał już pan samolotem? – tym razem to on odważył się zadać pytanie.

– Tak, Zack. Leciałem i wiem, że samoloty robią dużo hałasu. A gdzie wy mieszkanie? – chciałem upewnić się w swoich podejrzeniach.

– My nigdzie nie mieszkamy, bo mamusia zachorowała i musiała pójść do szpitala, a my do wujka Philipa, ale on też jest chory i go boli brzuch i dlatego musi pić wódkę, ale on nie ma mieszkania. I my teraz tak podróżujemy, tylko jest zimno czasami, ale to nic – terkotał, jakby chciał opowiedzieć mi w tych kilku zdaniach całą historię swojego ubogiego życia.

– A ile lat ma twój brat?

– On ma piętnaście lat i potrafi nabić sześćdziesiąt siedem tysięcy na *Conney Island*, a w inne gry też nie jest słaby! Czy pan zna mojego brata? – zapytał.

– Nie, Zack. Nie znam, ale może kiedyś go poznam. Może razem z wami polecę nad to morze? – starałem się być jak najbardziej naturalny.

– Pan nie może polecieć z nami. Tim nie zabierze nikogo oprócz mnie i wujka – szybko sprowadził mnie na ziemię.

– W takim razie życzę wam powodzenia. Nie jesteś głodny, Zack? – zapytałem, gdyż wiedziałem już, że nasz czas dobiega końca, a jego kondycja, nie wiedzieć dlaczego, rozczuliła mnie.

– Nie. Ja muszę już iść – odparł.

Czas się pożegnać. Zupełnie nie miałem pojęcia, jakie powinny być moje ostatnie słowa. Doradzałem mu, aby dbał bardziej o siebie, aby korzystał z ciepłej zupy rozlewanej w licznych przytuliskach, aby ubierał się cieplej i strzegł się tych miejsc, o których dobrze obaj wiemy, jest tak samo idiotyczne, jak rady dawane kalifornijskim ćpunom przez wolontariuszy niedofinansowanego ośrodka zapobiegania narkomani. Jedyne, co mogą im radzić, to żeby dokładniej czyścili igły za pomocą wybielacza. Pozostało mi tylko życzyć mu, aby termometry wskazywały przez całą zimę łaskawą temperaturę.

– Niech się pan o mnie nie martwi – odpowiedział i zniknął, podczas gdy mnie napadło jakieś współczucie, jakiś smutek, jakiś żal.

Wydawało mi się, że jestem w pełni odporny na takie sytuacje, że nie wzrusza mnie los tych brudnych pokrak włóczących się po ulicach miast, okupujących co cieplejsze ich obszary, zaszywających się w niedostępnych zakamarkach, specjalizujących się w wyciąganiu ręki w żebraczym geście lub wyciąganiu z odmętów śmietników wszystkiego, co dałoby się spieniężyć. I dopóki jest to anonimowy tłum, jakiś abstrakt potrzebny do pełnego zdefiniowania innego socjologicznego abstraktu, jakim jest tak zwane społeczeństwo, czy też relacje i zależności zachodzące w jego obrębie, to nie wzrusza mnie on zupełnie. Sprawy mają się jednak inaczej, gdy poznajemy imię jednego z nich, gdy w geście dobrej woli oferujemy mu jakiś nasz mały zbytek, nadmiar, niepotrzebny kawałek luksusu, kilka minut naszego równie skończonego, jak ich, życia. Zastanawiamy się, czy to znowu tylko przypadek, ale już po chwili zdajemy sobie sprawę, że sens i bezmyślny ruch *Adonai* poniewierają się na zsyłce w kraju błota. Dożywotnie galery wynalazcy pojęć sprawiedliwości i współczucia. Uśpione idee równego startu, wściekle śniące o ich przygarnięciu do domów, w których jednak nikt nie chce się nimi zarazić. Niewysłuchane modlitwy o sprowadzenie szczęśliwszego księżycy. A niebo gwiazdziste nad nami wszystkimi.

Ile jeszcze trzeba czasu, ażeby ów mały włóczęga nauczył się, że żebrania jest nieefektywna, że ukraść nie jest tak trudno? Kiedy nauczy się podchodzić niepostrzeżenie do stolików w dworcowym barze, aby napluć komuś do talerza i móc skosztować porzucone żarcie. Kiedy zacznie pluć w ten sposób do piwa w letnich ogródkach restauracji? Kiedy odmitologizuje ojca

i przestanie się bić o niego z ufryzowanymi i wypieszczonymi dzieciakami z lepszych dzielnic, gdy te starają się mu udowodnić, że takie śmieci jak on, biorą się z anonimowej spermy spuszczonej na buta, który skopał jakąś pizdę? Jak długo trwa umieranie, spowodowane podcięciem skalpelem takiego życia tętnicy każdej nadziei? Kiedy jego ulica zamieni się w *bestiarium*? Kiedy jego samolot marzeń wpadnie do ciepłego morza pomyj w więzieniu? A może jest możliwa też najsmutniejsza wersja jego śmierci? Nagły zgon od piorunów przykazań którejsz z religii. Prorocy zabijają po cichu.

Świat, który jest, nie jest tym, jaki powinien być. To oczywiste i brak desperata, który by z tym polemizował. Świat, który powinien być, nigdy nie będzie. Co do tego też nie mam najmniejszych złudzeń, chociaż wielu marzycieli chciałoby się tu posprzeczać. Jeżeli jednak mówią, iż każda epoka spłodziła ludzi na swoją miarę, to ja się z tym w zasadzie zgadzam. Współczesny człowiek jest chory.

Dlatego też całym wysiłkiem naszej woli powinniśmy starać się mieć siebie w swej mocy, aby z dowodami, a nie z afektami przystępować do walki. Abyśmy nie ulegli, gdy tylko przyjdzie nam ochota dowiedzieć się, jak wyglądają wnętrzności manekinów, i nie bali się ich roztrzaskać. Aby próżnia tych pięknych, aczkolwiek sztucznych kształtów, które ubierają na pokaz w starannie skrojone sukienki naszej kultury, nie zaskoczyła nas. Abyśmy potrafili uznać, że prawo do ich zniszczenia dano nam wraz z prawem do oddychania. Nikt nie usłyszy chrobotu kręgow łamanego kręgosłupa. Nieistniejące jest niesłyszalne. Takie sukienki mogą się poniewierać w ryszotoku.

I z pewnością nie wolno nam marnować czasu na wysiłki, które oddalają nas od celu. Repetytywność zdarzeń powinna zniechęcać do ponawiania tych samych prób. Jakże tępy okazuje się człowiek, który przegrywa w nieskończoność tę samą sprawę. Porażka to nie jest powód do dumy. Trzeba mieć siebie w mocy, aby móc sobie na nią pozwolić choć raz, gdyż w przeciwnym razie uznać należy, że skazani jesteśmy na nią dożywotnie. Jakże nieszczęśliwy i słaby jest ten, kto nie zaznał porażki. Jakże witalni są ci, którzy nie wierzą w wygraną, a wygrywają. Cesarz od niechcenia brzmi jednak niewiarygodnie. A przecież, gdyby dobrze się nad tym zastanowić, największe zwycięstwa są po stronie tych, którzy podjęli próbę tak wielką, że szaleństwem byłoby wierzyć w jej powodzenie. Jakże bardziej heroiczny byłby Syzyf przygnieciony głazem, swoim dożywotnym jarzmem, przerażającym jego siły, a jednak poddany próbie? To jednak w helleńskiej pop-

kulturze było nie do pomyślenia. Mitologia nie różni się niczym od superprodukcji hollywoodzkiej wytwórni.

Greccy bogowie nie istnieli. Istniały przyczyny, dla których powinni oni byli istnieć. Potrzebujemy czasami mglistych usprawiedliwień, gdy *ratio* okazuje się bezsilne. Potrzebujemy tych przykładów nieustających wysiłków, aby nie poddać się niszczycielskiemu *fatum*. Ale to nie oznacza, że nasz oręż stanowić powinna nadzieja. Ona jest cykutą siły, a nabieramy się na jej zabójczy skład, gdyż smakuje wyśmienicie. Zbroja błyszczy świadomością. Zabijamy naszą wolą mocy. Próba ostateczna jest najlepszą taktyką. Ta sama próba podjęta ponownie jest oznaką niemocy. Przegranie tysięcy bitew na różnych polach walki jest o wiele więcej warte niż przegranie w tym samym miejscu dwukrotnie. Kamień, który nie potrafi zabić, niewart jest wysiłku podnoszenia. Człowiek, który boi się śmierci, nie ma w sobie mocy. Kto nie potrafi zabić, ten nie powinien żyć. Już lepiej, aby zabiła go doktryna dobroduszości lub encyklika przebaczenia.

Jednak na mit o człowieku znudzonym już tym ciągłym wtaczaniem owalnego głazu na wzgórze pokuty i ciągłym jego spadaniem tuż przed osiągnięciem wierzchołka, potrzeba ludzkości nowej epoki. Ale ona nadejdzie. I to już wkrótce. A wtedy stanie się to, co stało się z instrukcjami nakręcania zegarków w momencie pojawienia się małej baterii, serca elektronicznych mierników czasu. Choć i tak nikt nie zwracał na nie wcześniej uwagi, nie przeszkadzały zbytnio, można by rzec, to dokonano ich spektakularnej egzekucji. Czas nie potrzebuje tego ceremoniału pokręta. Tak jak i my do życia nie potrzebujemy upartych kamieni.

Od tych wszystkich myśli, które dźwięczały w moich uszach po spotkaniu Zacka, rozboleła mnie głowa. Postanowiłem odprężyć się w zacisznym kącie restauracji *Sankt Petersburg*, która jako jedna z nielicznych była otwarta nawet w Wigilię. Lubilem ją od dawna i bywałem w niej dosyć często. I to zarówno w czasach, gdy stołując się tam, popełniałem finansowe samobójstwa, jak i teraz, kiedy jestem człowiekiem zaopatrzonym w całkiem sporą gotówkę. Liczyłem bardzo na gitarowe ballady odgrywane tam czasami przez rosyjskich emigrantów. Koily mnie i często wprowadzały w lepszy nastrój.

Nie było tłoku i mogłem zająć moje ulubione miejsce. Obrus, na którym próżno szukać śladów ostatniego klienta, wdzięczyl się słowiańskimi ornamentami, wyszytymi tak misternie, jak charakterystyki postaci tytanów słowiańskiej literatury. Ekskluzywne wnętrze dodawało temu miejscu pewnej intrygi. Nigdy nie byłem pewien, czy jest ono przeznaczone dla uczciwych

utrącjuszki czy też dla ciężko pracujących gangsterów. Wolne było jednak od najtańszych kobiet świata z rodowodami zakorzenionymi w mocarstwie radzieckim, które zamieniło się po jego rozpadzie w skudłone stado ujadających republik, kopulujących między sobą, aby płodzić jakieś pokraczne mutacje. Właśnie za to i za rewelacyjną kuchnię cenilem to miejsce. Ono przypominało lata świetności kultury wyrosłej bliżej wschodzącego Słońca.

Dzisiaj jednak, nie wiedzieć dlaczego, drażniły mnie te złote ornamenty dekoracyjnych detali, ciężkie, bordowe aksamitne kotary, sugerujące przepych i dostojne, kunsztowne meble, nadające się równie dobrze do mocno zakrapianej imprezy, podczas której opowiada się rubaszne żarty, jak i do romantycznej kolacji dla pary poddanej presji animalnego przymusu kopulacyjnego. Chciałem coś zjeść w pierwszej chwili, ale obawiałem się, że wyśmienity smak serwowanych tutaj potraw zepsują mi dzisiaj nie srebrne sztucce i droga zastawa, a sączące się z ukrytych gdzieś po kątach głośników kolędy. Zrezygnowałem. Wyczulony jestem na takie szczegóły, tak jak zawodowi przeszukiwacze najtańszych bazarów, podróżujący od miasteczka do miasteczka, są wyczuleni na niespodziewane okazje, znajdowane w stertach zużytych klamotów. Po trzech drinkach zdecydowałem się na zmianę lokalu. Dzisiaj nie będzie święta luksusu. Nie będzie dzisiaj żadnego święta!

Włóczyłem się wolnym krokiem po opustoszałych ulicach, zalanych neonowym światłem i upstrzonych rozsypanymi śmietnikami. Księżyc obliżywał lśniącem językiem tłuste od sadzy wnętrza kominów. Wielkomijska biżuteria stali, chromu, szkła, różnokształtnych lampionów, tablic informacyjnych i reklamowych billboardów grała swoją rolę w nocnym przedstawieniu, ograny już do znudzenia. Dodatkowe dekoracje z kiczowatych światełek rozwieszonych na choinkach, wysiadających atrapy prezentów, wzbudzały jeszcze większy mój niesmak. Popijałem z butelki jakiegoś podlego *bourbona*. Bawiłem się ze swoim cieniem, którego trzymam tylko dlatego, że nie mam psa. Dokarmiam go spacerami o zmroku, aby nie zdechl za dnia. Drażniłem też nieprzyzwoitymi gestami, symulacjami walki, prowokacyjnymi znakami raz to podziwu i uwielbienia, a chwilami obrzydzenia i dezaprobaty, własne odbicie przechadzające się w szybach wystawowych sklepów. Ono podjęło wyzwanie i robiło to samo ze mną. Gdyby ktoś nas widział, odniósłby wrażenie, że dwóch idiotów uciekło z przechowalni dla nich przeznaczonych.

Przechodząc obok sławnego skweru, na którym zazwyczaj młode dziewczęta wielu ras i narodowości wdzięczą się niczym egzotyczne owoce obra-

ne ze skórki tabu, przyspieszyłem kroku. To z przyzwyczajenia, gdyż nie było tu nikogo. Nawet one celebrują ten dzień. Nie jestem jeszcze stary i niedołączny na tyle, aby płacić za ich miąższ, za ich soki czy ich straganiarski *image*. Nauczyłem się być tu obojętny. Idąc lekko zataczającym się krokiem, recytowałem w pamięci najbardziej naburmuszone metafory młodych poetów, wywołujących zużyty świat na śmietnik, aby rozbawić samego siebie ich zniedołącznieniem i ich belkotem, ich językowym kalectwem. Na ich wydmach impresji nie da się zrobić dobrych zdjęć i to nawet przy użyciu najnowocześniejszych aparatów, zaopatrzonych w te wszystkie nowinki techniczne, choćby i cyfrowe. Chciałbym ich zaprosić na wystawę, na której zyletkami fotografii pokaleczyłbym ich oczy, aby już w końcu zamilkli. Poezja jest milczeniem. Milczenie jest nie tylko rozsądkiem.

Na srebrnym owadzie obojętności podązałem w kierunku małej speluny, oddalonej od centrum o kilkaset lat. Własne odbicie zostawiłem w szklanej pułapce sklepów. Dało się złapać, jak drobnomieszcząska kura domowa w okresie przedświątecznych zakupów i będzie tam pewnie siedzieć do rana. Nie miałem czego żałować. Tylko cień włókł się za mną jak niedorobiony kundel, chwilami znikając w zacienionych zaroślach, aby się odlać zapewne. Gdy się pojawiał wkrótce po tym, był jakby żwawszy. Oddychałem antycznym powietrzem, wolnym od miejskich wyziewów. Im dalej szedłem, tym lepiej się czułem. Nie zwracałem uwagi na mijane przeze mnie, a rozpalane nocną porą stosy dla czarownic. Omijałem je łukiem, gdyż nie lubię zapachu palonego mięsa i widoku gotujących się twarzy, ściętych skurczem bólu, wykrzykujących w konwulsyjnych drgawkach najdoskonalsze wulgaryzmy i najbardziej skomplikowane zaklęcia. Nie zatrzymałbym się nawet wtedy, gdyby jakiś znany całemu światu rzeźnik, patroszył publicznie Boga, wypruwając jego trzęsące się jelita z trzewi i depcząc je w kałuży szerniałej krwi i innych płynów ustrojowych. Bóg, gdyby nawet istniał, zadowolony byłby ze mnie niezmiernie, bo któż chciałby, aby oglądać rzeźnię nad nim, krwawą barbarzyńską jatkę, kiedy nieprzytomny z bólu nie ma nawet do kogo się modlić. Tłumowi, który zawsze gromadzi się podczas tych widowisk, już dawno temu radziłem, aby zamiast zwiędłych czarownic palił ryż każdego dnia. Wystarczyłoby na wieki. Wystarczyłoby, aby się znudzić. Tłum nie usłuchał.

Dotarłem w końcu na miejsce i zamaszystym ruchem ręki, który zdradzał moją witalność, pozdrowiłem znanego mi czarnego chłopaka, opiekuna zabłąkanych pijaków i ich aniołów. Pracował już tu dobre kilka lat i choć

nie bywałem tutaj często, to jednak zawsze mnie rozpoznawał. Poprawiałem mu pamięć napiwkami, co działało lepiej niż skondensowany roztwór lecytyny. Musiał też czuć do mnie jakąś sympatię, bo zawsze próbował do mnie zagadywać, a nie robił tego nigdy z resztą bandy, która się tu pojawiała. Dzisiaj jednak nie miałem ochoty na jego odzywki.

Była to nędzna knajpa, z gatunku tych przeznaczonych dla tego typu facetów, którzy nawet w dzień Wigilii, nie wiedzą, co z sobą zrobić, i piją najtańsze sikacze, aby doczekać Nowego Roku, który w ich mniemaniu przyniesie im na tacy puchary pełne pomyślności.

Usiadłem przy chwiejącym się stole i świadomie poprosiłem o chmielowy napitek, jeden z najgorszych, jakie można znaleźć w promieniu stu kilometrów. Wytwory ludzkiej wyobraźni nie zmieniają jednak świata ani żadnego szczegółu w nim egzystującego. A jakże wspaniałe byłoby, gdyby było inaczej.

O Zacku zapomniałem już prawie zupełnie. Dobiłem tkliwe wspomnienie o nim przykładem z innego świata. Są však miejsca, gdzie dziecię mogłoby równie dobrze umrzeć zaraz po urodzeniu, jak i urodzić się z pizdą. Pies jest tam wyżej na hierarchicznej drabinie. On też niech się cieszy przynajmniej z tego, że nie jest kobietą. I niech będzie szczęśliwy, nie migdałać się do żadnej z nich zbyt długo.

Sączyłem to coś, co udawało piwo i w zasadzie nie mogłem się skupić na niczym istotnym. Migawki filmu o moim życiu zdawały się być wyświetlane chaotycznie. Nie wiedzieć dlaczego, przypominałem sobie historię pewnego człowieka.

Znałem kiedyś zdziwaczałego, żeby nie powiedzieć szalonego, starca, z siwą kozią bródką i falującymi białymi włosami. Gdyby fryzjer spróbował dotknąć tych włosów, skłąłby go zapewne w kilku językach. Facet miał wyjątkowe oczy. Pod krzaczastymi brwiami można było dostrzec czysty błękit źrenic, które widziały zapewne więcej niż niejeden superbohater filmowy. Ale najdziwniejsze były buty tego staruszka.

Jego ulubionym zajęciem były spacery w okolicach mostów, ukwieconych skwerów, szerokich pasaży, na których dokarmiał gołębie, kaczki i inne ptactwo. Bardzo patetyczne *hobby*, nieróżniące się zbyt od zajęć wielu samotnych mieszkańców miast w podeszłym wieku. Każdego dnia budził się wcześniej, niż zdążył zasnąć poprzedniej nocy, jak mawiał, komentując swoją permanentną bezsenność. Wstawał i zaczynał rozprostowywać kości, chodząc od ściany do ściany, robiąc rundy wokół dębowego stołu,

zagraconego podrzędną literaturą, spisaną w kilku językach i pustymi szklankami po mleku. Potem zakładał marynarkę i wychodził z domu, nie wiedząc dokładnie, gdzie zmierza. Nie miał jakiegoś ulubionego miejsca, a za każdym razem te wysłużone buty prowadziły go w inne, niczym obłąkany przewodnik wycieczek, który zapominał, co jest naprawdę godne pokazania. Te buty, które pamiętam tak dobrze, były naprawdę osobliwe na tyle, że gotów byłem uwierzyć w słowa starca, który twierdził, że to one są jego sterem, żeglarzem, okrętem.

Niemal każdego dnia, niezależnie od tego, czy padało czy nie, widywałem go wychodzącego z domu albo już do niego powracającego. Nie to, że go szpiegowaliśmy. Mieszkał w tym samym budynku, co ja i jakoś naturalnie spotykaliśmy się, skłaniając delikatnie głowy w serdecznym powitaniu, jednak nigdy nie rozmawiając dłużej niż minutę. Najczęściej mijaliśmy się tylko, teatralnie dygając. Trwało to całe lata.

Pewnego dnia musiałem się stamtąd wyprowadzić. Większość życia spędziłem w tamtej dzielnicy, ale dostałem bardziej intratną pozycję i przenieśliśmy się do lepszego sąsiedztwa. Specjalnie nie miałem czego żałować, gdyż kilku moich starych przyjaciół już dawno się przeniósł, wyjechało, albo coś się z nimi stało. Rozpoczynałem nowe życie, jak mi się wydawało, i wcale nie czułem się jakoś specjalnie przywiązany do tego miejsca.

I kiedy wyprowadzałem się na dobre, wczesnym rano, gdy wynoszono moje graty, spotkałem go na klatce schodowej i zrozumiałem, że to chyba jedyna osoba, której będzie mi brakować. Tak to już jest, że często nie zwracamy uwagi na ludzi, którzy towarzyszą nam milcząco przez lata, a w momencie gdy ich już nie ma wokół nas, odczuwamy ich brak. Nigdy wcześniej nie zadałem mu pytania o jego charakterystyczne, dziwne nieco, stare buty. Postanowiłem zapytać go wtedy:

– Przepraszam najmocniej, że o to pytam, ale czy może mi pan powiedzieć, dlaczego żółte? – i wzrokiem pokazałem mu, o co mi chodzi.

Nigdy nie zapomnę jego odpowiedzi. To nawet nie była odpowiedź. Przykniął oczy, jakby szukał czegoś w pamięci, po czym mrugnął i odparł:

– *It helps me think yellow, son. Think yellow! Always think yellow!*

Czyż można zapomnieć takie słowa? Objawił mi się wtedy, jako doświadczony szarlatan, skretyniały prestidigitator otuchy, nienarzucający się jednak wcale słowem, a obnoszący się tym swoim fetyszem, aby przekonywać, że można. Niejednokrotnie przypominałem sobie tę postać w tych chwilach, gdy modlitwa o *prozac* jest najłatwiejszą mantrą, gdy alkohol już nie

dawał rady, a z palenia szkła już wyrosłem. I choć nigdy nie wystarczyło mi to jego zakłęcie, to pobudzało mnie do tych działań, które utrzymywały moje odrętwiałe ciało na powierzchni, które nie pozwalały mu utonąć w morzu bólu, smutku i beznadziei. Trudno się nawet do takich chwil przyznać, ale któż ich nie doświadczył? Czarna wyspa na Morzu Żółtym wciąż tętni życiem.

I nawet wtedy gdy Sonia powiedziała nie, a ja dzięki temu skosztowałem hiszpańskojęzycznych dziewcząt, dzieląc je z Richardem, z którym cudem przeżyłem najdłuższe pijaństwo w swoim życiu, dzięki czemu do dziś jesteśmy przyjaciółmi, choć innego gatunku niż z Kamilem, i wtedy gdy wyrzucono mnie za wieczne spóźnienia i nicnierobienie z szanowanej betoniarki, i wtedy gdy już sądziłem, że nic się nie zdarzy takiego dech w piersiach zapierającego, i gdy żegnając się z każdą zruchaną owcą, wiedziałem, że jutro będzie kolejna nie lepsza, i kiedy odchodzili bliscy i bliscy moich bliskich, i wtedy gdy męczyłem się z ciężkim, zimnym i zeszywniałym ciałem Mary, aby je ulokować w dole z wapnem na anonimowej budowie, i gdy zostawałem bez grosza w kieszeni, zamawiając nieroztropnie kolejne drinki, i gdy zgubiłem dyskietki z jedyną kopią gotowego tłumaczenia, nad którym strawiłem prawie dwa lata, i wtedy gdy sam do siebie pisałem zaczarowane e-maile, udając starego przyjaciela, nową kochankę czy odnalezionego po latach brata, i gdy sam naprawdę miałem już dość, to wiedziałem, że może się zdarzyć, bo zdarzało się wielokrotnie, iż kilka minut życia, dzień czasami, albo niczym się od nich nieróżniący miesiąc lub rok, może zmienić tę sytuację, że przyjedzie ekspres, który daleko mnie zabrać stąd może.

Dlatego teraz wstałem i rezygnując z kolejnej szklanki piwa, które tylko męczyło mnie jeszcze bardziej i dla którego nie miałem już więcej wstępu, aby się nad nim dłużej pastwić, wolnym krokiem udałem się do domu. Nie pamiętam tej marszruty w ogóle. Wiem tylko, że za sprawą zupełnie nieoczekiwanych zdarzeń, podczas tego ostatniego spaceru w epoce wschodzącego dnia, pijanego już w sztok, postarzałem się o kilka lat, lat, których nie da się streścić w kilku słowach, jak nie da się streścić *Tractatus Logico-Philosophicus*, i noc, która mnie ponownie zaskoczyła, przeniosła mnie w okolicę piaszczystej morskiej plaży, gdzie ciepłe jeszcze nocne majowe powietrze próbowało wytrwale ocucić mnie po ostrej imprezie z *margeritą* w roli głównej. Poddawałem się tej reanimacji z przyjemnością, bo cóż jest przyjemniejszego niż powroty do świata żywych? Być może tylko ten ostatni moment w stanie agonalnym, gdy całym swoim jestestwem oddajemy

się zabawie z czatującą na nas śmiercią. Moment gdy już wiemy, iż zguba nasza jest nieunikniona, a jednak naciskamy z całej siły pedał przyspieszenia *nirvany*, nie będąc wcale pewnymi zmartwychwstania. A jednak!

Omijając grube konary starych drzew, doszedłem do brzegu gigantycznej wody, znikającej dopiero za linią horyzontu. Noc trwała jeszcze w najlepsze, ale już dało się wyczuć nadchodzącą poranną bryzę. Byłem sam. Maj nie lubi wczasowiczów.

Usiadłem na wilgotnym i zimnym piasku, częstując się kieszonkowym papierosem, aby spojrzeć na molo, które tu wchodzi w mrok i walczy tam uparcie co noc, aby przegrywać z nadciągającą mgłą, skracając ją metr po metrze z minuty na minutę i pochłaniającą w całości jego drewniane żebra. Operowe solo jutrzeńki przy akompaniamencie szumiących fanfar morskich fal. Za kilka godzin łodzie straconych godzin znowu staną do regat, w promieniach słońca podstarzała konstrukcja odzyska nadzieję wygranej walki, ale na razie, z cierpiącą na bezsenność ćmą, improwizuje świt na rajskiej plaży, w zatoce wyspy sensu, do której nikt nigdy nie wpływa. Molo dla nieobecnych. Oto moja przystań. To tu podpisałem pakt z absurdem, bo nigdy nie przemienię się w molo, które nie potrafi uczciwie przegrać z mgłą. Uczciwie oznacza tu jeden raz!

21. Kim on był?

W bujanym fotelu do umierania, który sprawilem sobie nie tak dawno, w posprzątanym jak nigdy dotąd mieszkaniu, relaksowałem się, popijając *black russian*. Trochę przesadziłem z likierem, o najpiękniejszej wśród likierów nazwie, ale i tak mi smakowało. Wspominałem ostatnią wizytę Igora, mojego rosyjskiego przyjaciela, jego konsternację, gdy odkryłem, że nosił pod spodniami damskie rajstopy, jego niesamowite poczucie humoru, które udzielało się zawsze wszystkim biesiadnikom i stalowoszare oczy, zawierające w sobie całą prawdę o nim samym. O szarym życiu, które pędził wśród szarych moskiewskich blokowisk i nierdzewnych postanowieniach.

Moi wszyscy znajomi go uwielbiali. Kamil, który z okazji jego wizyty zerwał się nawet na jakiś czas z elektronicznego łańcucha infostrady pędzących bitów, Leonardo, który obiecał, że coś mu nawet wyda, Margot, której Igor odmówił, a także Richard, nowo narodzony cynik. Gdybym nie zaszlachtował Mary, ona również kochałaby go.

Wykłady, które Igor dawał na zaproszenie *Collège de France*, a o które zabiegałem przeciw z całych moich sił, wykorzystując wszystkie możliwe znajomości, przyciągały rzesze studentów, gdyż miał niesamowity dar mowy. Francuskim władał tak dobrze, jak butelką wódki, i nigdy nie zrozumiałem, dlaczego konsekwentnie odmawiał przyjęcia stałej posady w Paryżu. Na pewno nie chodziło o jego rodzinę. Mógł przecież śmiało przeprowadzić się z żoną i synem. To był jakiś bezprecedensowy słowiański upór, pozbawiony zdroworozsądkowej racji. Jakaś tania duma. Jakaś nieuzasadniona bojaźń. Jakaś niemożność odrzucenia przyzwyczajęń. Niemoc jednym słowem, o którą ciężko byłoby go posądzić, znając jego śmiałe, nieprzewidywalne i spontaniczne posunięcia na innym polu. Ta postawa jest odbiciem jego podejścia do hazardu. Gra przeciw namiętnie, a nie ma najmniejszej nadziei na wygraną. Kiedyś nawet pokłóciliśmy się przeciw o to. Wydawać by się mogło, że wszystko, co tam ma poupychane na pięćdziesięciu dwóch metrach kwadratowych moskiewskiego apartamentu, mógłby zamknąć jednym zamaszystym ruchem ręki, odrobiną atramentu, długości pokręconej linii jego podpisu. Jednak nigdy do tego nie dojdzie. Choć mogę się mylić w tym względzie tak, jak ktoś uznający za prawdziwy przesąd, że północ wyznacza połowę nocy.

Zastanawiam się nad jego zagadką: kim był jednooki wśród ślepców?

Za oknem padał deszcz i gdybym tylko chciał, mógłbym go zamienić na krople krwi tak ciężkie, że wygładziłyby wszystkie ostre krawędzie chodników. Po kilku dniach znaleźliby w kłębach kurzu kilkaset zmiażdżonych głów z wyschniętymi włosami. Dzisiaj zaczaruję go jednak inaczej.

Najpierw czytanie po raz kolejny mojej ulubionej książki. Symfonia ogniw najdoskonalszego łańcucha zdań! Dobry tekst to właśnie łańcuch tak mocny, że utrzymuje całe rzesze czytelników, że można za jego pomocą pociągnąć najcięższą prawdę i największe kłamstwo. Łańcuch długi na tyle, aby dać swobodę interpretacji i krótki na tyle, aby nie pozwolić na pogryzienie będącego w pobliżu sensu. Czytelnik przykuty do niego na długie godziny nie odczuwa dyskomfortu. I najważniejsze! To łańcuch nierdzewny!

Ale nie wszystkie noce lubią teksty. Przestałem czytać po kilku drinkach. Mrok za oknem wślizgiwał się w rozświetlone latarniami, neonami i reflektorami samochodów arterie, jakby drwiąc z tych elektrycznych wynalazków. On jest nie do pokonania. One bez niego nie istnieją.

Zadzwoiłem do Katji, a następnie starannie dobrałem atlasową koszulę do nowej marynarki ze skóry węża, uszytej niedawno na zamówienie i za jej namową. Jestem ostatnio bardzo *trendy*, choć w gruncie rzeczy na co dzień nie przywiązuję specjalnej wagi do tego, jak się ubieram. Jedyne, z czego naprawdę nigdy nie zrezygnuję, to moje schodzone skórzane spodnie, barbarzyński fetysz odmienności i mocne buty. Też mi coś. Przypominają.

Mój pijany poemat *toyota land cruiser prado* przeczytały po kilkunastu minutach wszystkie znaki drogowe, którym go zaprezentowałem w wersji bardzo pośpiesznej. Ostatnia tablica z napisem *Rue Monet 29/29* była podkscytowana najbardziej. Spodobał jej się.

Dotarłem do celu, ale zastanawiałem się, czy nie jest aby za późno na bankiet, na który chciałem ją zabrać. Przecież to jest już pora, o której najwspanialej pachnie świeży, jeszcze gorący chleb z tej małej, słynnej w całej dzielnicy piekarni, prowadzonej przez stare dobre małżeństwo. On wypieka w nocy, a ona sprzedaje w dzień. Nic dziwnego, że przez trzydzieści lat nie udało im się spłodzić godnego następcy. Majątek tego, który prowadził trzydziestoletnie wojny, też bynajmniej nie był dziedziczony przez syna cesarza. Ale i tak do końca świata będą się rodzić ci, którzy będą walczyć, jak i ci, którzy będą wypiekać chleb. Reszta po nich posprząta.

Zdecydowałem jednak, że zaryzykuję. Zadzwoiłem, wszedłem, zapukałem, wszedłem. Przywitał mnie łagodny pies, grzeczny i uprzejmy jak

Koreańczyk. Przy okazji poznałem też, niestety, jej matkę. Pomimo że Katja miała jedno z najbardziej obłych mleczarni, jakie udało mi się w życiu ugniatać, to w pamięci pozostał mi również nędzny obraz jej rodzicielki. Aż trudno uwierzyć, że Katja też będzie kiedyś zahaczać sutkami o agatowe oczko pępkowego kolczyka, o ile nie będzie nosić swych zwiedłych warzyw na plecach. Prawdą jest, że ma jeszcze na to sporo czasu. Jej matka jest bowiem równie stara, co szpetna, i choć wydawać by się mogło, że takie osobniki noszą przy sobie starożytne dowody tożsamości w kształcie glinianej tabliczki, zapisanej wymyślnym pismem obrazkowym, to w tym przypadku było to niemożliwe. Nie ma takiej kreski, która potrafiłaby oddać brzydotę tego upióra. Nie ma takiej gliny, która by chciała do niej należeć. Nie zmienia to jednak faktu, że kiedyś wymiona Katji będą w tak samo oplakany stan, jak dla jej prawnuków, sfatygowane plastikowe ID. Chciałbym obejrzeć kiedyś na zwolnionych obrotach tę przemianę, która dokonuje się z powodu czasu szydery, gdyż ciężko mi sobie wyobrazić, że to wspaniałe *fuck body*, które zabieram dzisiaj na bankiet, kiedyś będzie takim samym workiem zgryzot i wyblakłych wspomnień. Denerwowałem się, gdy stara zaczęła swe opowieści, podczas gdy Katja podmywała cipę i opinała się cudowną suknią. Były długie, szare i beznamiętne, niczym przeterminowana rolka papieru toaletowego wyprodukowanego z surowców wtórnych. W końcu jednak udało mi się wyszarpać jej córkę z domu i sprawić, że przez kilka następnych chwil będzie moja! I chociaż zapamięta do końca życia tych kilka erupcji, które nią wstrząsną, to mnie uda się zapomnieć o niej tak szybko, jak zapomina się o matematyce dyskretnej. Zaraz po przestudiowaniu!

Przybyliśmy na bankiet mocno spóźnieni. Czasami jednak jest to nawet w dobrym tonie. Robisz wrażenie takiego, któremu bardzo zależało na spotkaniu z przybyłymi gośćmi, ale z powodu natłoku obowiązków, nawału pracy, nie byłeś w stanie przybyć na czas. Wypada nawet ponarzekać, że w sumie to się poświęcasz albo że aż tak bardzo cenisz tu obecnych, iż nie mogłeś nie wziąć udziału w imprezie. Ludzie po kilku głębszych drinkach zawsze są zadowoleni z napływu świeżej krwi. Grałem wedle tego założenia. Skutkowało.

Znowu woda, która zdążyła wcześniej zarzucić na siebie szronową sukienkę. Rozgrzewając się, powoli zsuwała ją ze swych obłych kształtów, aby wodzić mnie na pokuszenie, aby tym striptizem zaprosić mnie do figli, aby nie pozwolić mi jej nie użyć. Nie odmówiłem sobie. Nie odmówiłem jej.

Buszowaliśmy w wypełnionych po brzegi półmiskach i salaterkach, napelniając żołądki bankietową paszą. Katja kreowała chaotyczne kompozycje żarcia na moim talerzu, dokładając co chwilę jakiś kawał padliny, jakiś fragment spreparowanego ścierwa albo sałatkowy *miszmasz*. Piliśmy w szybkim tempie i to nie dlatego, że chcieliśmy nadrobić zaległości. Nigdy nie potrafię spokojnie dozować darmowego alkoholu. Poza tym zaczęto się do nas przymilać tak nachalnie, że nie zniósłbym tego na trzeźwo. Ona również. Jest trochę wyalienowana i często uwala się sporymi ilościami mocnych alkoholi albo, co gorsza, wcale częstym przypalaniem szkła. Jej świat jest w kolorze *brown*. Zna również herę i jej przyjaciółki, z powodu których musiała czasami zasłaniać długimi spodniami maleńkie blizny na tydce. Na całe szczęście nie jest jeszcze uzależniona od długich spodni. Nie ingeruję w jej upodobania, wychodząc z założenia, że samo życie będzie je weryfikować. Wszak to byt kształtuje świadomość, a nie *szuwaksik*.

Na imprezie był również Leonardo ze swoją wiecznie pijaną żoną, której nie używałem od dawna. W zasadzie to ona używała mnie czasami. Tokował jednak zawzięcie z kilkoma grubasami i wiedziałem, że muszę poczekać na stosowny moment, aby zamienić z nim kilka słów. Spojrzał na mnie przez chwilę, rozdziawił zdziwione usta, chyba z powodu tego, jak wyglądałem, a może z powodu ślicznej Katji, mrugnął porozumiewawczo i skinął głową, aby mnie przywitać i dać do zrozumienia, że w tym momencie był zajęty. Wiem, że bawił się świetnie, bo on przepada za takimi bankietami. Zarabia dzięki nim więcej niż na jakiegokolwiek akcji marketingowej. Zlecenia lubią się upijać.

Katja błyszczała w tym towarzystwie. Była chyba najmłodsza i rzeczywiście pięknie prezentowała się w ciemnogrnatowej sukni, uwodzicielsko odsłaniającej wszystko, co powinno być odsłonięte. Orientalny tatuaż na prawej łopacie, opalona i dobrze odżywiona skóra, smukłe wrzeciona elastycznych mięśni uczeponych kostnej konstrukcji. Bez przerwy dostrzegałem facetów, którzy zawieszali na niej wzrok o odrobinę za długo, niż wypadałoby. Sprawiało mi to nawet przyjemność. Pozwoliłem jej na samodzielne, swobodne pląsy wśród zebranego towarzystwa. Nie musiałem wysłuchiwać po raz kolejny tych naiwnych i opowiadanych z dziewczęcym jeszcze przejęciem historii o jej najnowszych projektach plastycznych. Mierzi mnie to, bo nie mam najmniejszego pojęcia o tych olejnych plamach, którymi zachwyca się snobistyczna elita. Katja właśnie wchodziła w to gówny z rozpędem, z jakim kiedyś wlaź w nie Froggy. Do tej pory się z tego nie wygrzebał.

Jej ciało jeszcze było świeże i jakby w ogóle nietknięte dekadentem stylem życia, które wiodła, tymi używkami najstarszych szamanów i wynalazkami domorosłych chemików, dzięki którym pokonywała nudę, samotność, odrzucenie, smutek, apatię, niepowodzenia, za pomocą których starała się pozyskiwać inspiracje i zajawkę głębszych doznań, przez które być może stała się tym, kim jest, intrygującą młodą kobietą z aurą autodestrukcyjnych doświadczeń, a które być może zamienia ją kiedyś w wysuszony worek nic niewartych, zakażonych kości, poniewierających się po najciemniejszych ulicach. Zaczęła z tym, gdy była nieletnia, jak deszczowe lato. W scenariuszu jest jednak miejsce zarówno na autozamazach, jak i na autoekspiację, z tym że on się na razie pisze i niełatwo jest przewidzieć zakończenie. Znosi się interesująco, ale nic nie jest przesądzone. Zleceniodawcą nie jest wszak *Hollywood*.

Uwolniony od jej balastu zauważyłem, że rzucam się bardzo w oczy w tej mojej marynarce. Goście, którzy spoglądali na mnie ukradkiem, nie potrafili jednak zdobyć się nawet na ironiczny uśmiech, którym ja na pewno poczęstowałbym kogoś przebranego tak, jak ja. Wybałuszali oczy ze zdziwienia, jak można nosić na grzbiecie coś takiego, i jedynym usprawiedliwieniem było to, że pokazałem się publicznie ze wschodzącą gwiazdą malarzy młodego pokolenia szkoły *Broc's Cabin*. Wiem, że Katja była zachwycona tym spektaklem, bo przecież to ona wskazała mi odpowiedniego krawca i wybrała drogą, jak Trzecia Rzesza dla nazisty, gadzią powłokę, którą własnoręcznie skroila w szykowne, aczkolwiek ekscentryczne odzienie. Już nie pamiętam, z jakiego gatunku gada pochodziła ta łuska, ale z pewnością wielkiego.

Wstąpiłem za potrzebą do kibla, w którym jakiś jegomość, zgięty nad sedesem z takim wdziękiem, jakby trenował nadstawianie dupy w szaletach przez lata, rzygał. Nie miał żadnych torsji, nie trzęsło nim jak opinią publiczną po premierze *Amoka*, a wiadro pomyj, którymi zalał wykafelkowaną ścianę, wykafelkowaną posadzkę i wypastowane buty, wyskoczyło z jego żołądka zgrabnie jak zwinna ryba z wody. Plusk. I po wszystkim.

– Ja bardzo prze... przepraszam, ale coś mi tak zaszkodziło, że nie... nie wiem już, kim i czym jestem – czkając, próbował mi coś wytłumaczyć.

– Ależ nie ma sprawy! Nikt tego nie wie – odrzekłem, bo przecież jestem w pełni świadomy tego, że właśnie na tym polega fenomen ludzkiego rozumu, że nikt nie wie do końca, kim i czym jest, ale też przynajmniej wie, że tego nie wie. Choćby i był pijany.

– Chyba ma... ma pan rację – odpowiedział.

– Może niech się pan napije ciepłej herbaty. Czasami pomaga – poradziłem, chociaż dobrze wiedziałem, że tak proste zabiegi nie są w stanie za bardzo pomóc, nie są w stanie zmienić przebiegu zdarzeń. Nadzieje Deweya też legły w gruzach, gdy okazało się, że piśmienny elektorat daje się w pewnych krajach, równie dobrze jak niepiśmienny, nabierać na sztuczki politycznego marketingu, ażeby pozwolić na wybranie takiego dzikusa jak Bush na tak zwaną głowę państwa, i to w Dzień Świra.

Gdy wróciłem na salony, ujrzałem Katję w towarzystwie dwóch zaszpacłowanych na gładko, podstarzałych kobiet, tak wystrojonych, że nie nadałyby się nawet na pucybuta i jego pomocnika. Uśmiechały się do siebie i dyskutowały zawzięcie, nieznacznie tylko gestykulując. I to nie z powodu kielichów pełnych szampana, które trzymały w dłoniach. Skądś musiały wiedzieć, że nie wypada. Przynajmniej takim, jak one.

Dałem ukradkiem znak Katji żeby wróciła do mnie, bo chciałem już stąd wyjść. Nie musiałem czekać na ostatni gwizdek, a zmęczyło mnie już to zebranie. Wystarczyło mi, że się pokazałem. Katja posłusznie dokończyła dość szybko prowadzoną rozmowę i zbliżyła się do mnie, całując mnie w policzki i niebezpiecznie się przytulając.

– Sprzedałam – powiedziała.

– Gratuluję! – odrzekłem, bo cieszyłem się szczerze.

Wszystko zatem, co było do zrobienia, już dokonaliśmy. Widziano nas, nażarliśmy się, upiliśmy i zamienili kilka przypadkowych zdań z przypadkowymi ludźmi. Z Leonardem nie musiałem dzisiaj rozmawiać, bo przecież mamy ku temu wiele lepszych okazji. I dobrze się stało, że te dwie podrasowane, jak silniki sportowych samochodów, kobiety zamówiły u Katji duże olejne płótna do salonów wyłożonych marmurowymi płytami. Nietanio sprzeda nadmetraż swojej wyobraźni.

W końcu zostaliśmy sami. Zamówiłem dwie taksówki, gdyż byłem tak pijany, że musiałem powierzyć mój wóz kierowcy jednej z nich. Odprawianie samochodów do garaży właścicieli to najnowsza usługa firmy, z której korzystam w chwili słabości. To znaczy w chwili za dużej mocy mojej nogi. Szybko znaleźliśmy się u mnie w domu, posprzątanym, jak nigdy. Dobrała się do mnie już w przedpokoju.

Masowała moją pałę przez spodnie, podczas gdy ja dotykałem jej ud. Faceci z odciętymi napletkami nie znają tego przyjemnego momentu, gdy nabrzmiewająca żołądz wysuwa się ze skózanego opakowania, a którego

właśnie doświadczałem. Katja miała delikatną dłoń. Ja też obrabiałem ją delikatnie. Muskalem tu i tam, trochę chaotycznie, niespodziewanie. Pochyliłem się. Masowałem to miejsce pod kolaniem, które przyzwyczajony jestem mocno ścisnąć, gdy napieram rozpedzonym chujem na uchylone wargi rozpalonej *gondy*. Pocałowałem ją. Jej język był doskonale wytresowany. Wolno, ale z niesamowitą pasją tańczyła nim w moich ustach, zaczarowując moją ślinę w energetyczny elektrolit, rozpalający już po chwili cudowne, sterczące sutki na jej brzoskwiniokształtnych piersiach. Pośpiesznie rozpiętą suknię wykorzystałem jako dodatkowe narzędzie. Sprawiało jej przyjemność pocieranie szorstkim materiałem o skórę jej pleców, ramion, karku. Rozpięła w końcu pas u moich skórzanych spodni i opadła na kolana, aby mi je ściągnąć. Zanurzyłem moją dłoń w obfitości kruczoczarnych włosów i przytuliłem jej głowę do moich ud. Jej wilgotny język wspinał się po ich wewnętrznej stronie. Potem otworzyła szeroko usta, a ja, trzymając w dłoni swoje jebadło, uderzałem, nim miarowo po wystawionym języku, przesuwalem go po nieskazitelnie równych zębach, zanurzałem go głęboko w objęciach warg, pozwalając jej ssać przez chwilę, po czym znowu wychodziłem i muskałem nim jej ucho. Mógłbym to robić bez końca. Nawet wtedy gdy objęła swoje okrągłe kluski dłońmi i przywarła nimi do mojej moszny, pochłaniając całą moją pałę w tym gorącym, zdublowanym cieście, wciąż miałem przed oczami stop-klatkę sprzed kilkadziesiątu sekund, gdy struga śliny zwisała pomiędzy czubkiem jej języka, a rozcięciem na szczycie mojego chuja, niczym linowy most nad podsuszoną rzeką w Veracruz z fotografii, która pozostała mi po Ewie.

Teraz jednak musiałem naoliwić czymś moje nabrzmiałe narzędzie, aby dać mu chociaż ten mizerny substytut cipego smaru i zapewnić komfort tłoka w cylindrze *toyoty land cruiser prado*. Dość zwinnym ruchem opadła na wznak, a ja splunąłem na dłoń i namaściłem jej cyce. Ślizgał się pomiędzy nimi, gdy posuwałem nim rytmicznie. Jej palce miętoszy sutki, podczas gdy dłonie ugniały zapamiętałe donice pełne ich nerwowych korzeni. Nachyliłem się nad nią i pod zadartą suknią ścisnąłem jej pizdę. Zatrzęsa się i rozchyliła uda, abym miał lepszy dostęp, abym mógł palcem wystukać kilka lędźwiowych spazmów. Otwartą dłonią przesuwalem po nastroszonych włosach, a opuszką palca, przyzwyczajonego do strzepywania papierosowego popiołu, wodziłem wokół jej kniei. Pomiedzy wargami jej sromu wyczuwałem twardy wałek, zakończony śluzorodną landryną. Podobało mi się. Ona zaczęła mocniej napierać na mojego kutasa, gniotąc mleczarnie

tak, jak gniecie się kartkę papieru z nieudanym opowiadaniem. Oczy szeroko otwarte wpatrywały się w purpurowe zwięźnienie mojego tłka, jakby chciały powiedzieć jej ustom, kiedy mają się otworzyć.

– Powiem ci kiedy, Katja. Chcesz ją połknąć? – zapytałem, ażeby przekonać ją, że wszystko mam pod kontrolą.

– Tak, Chris. A potem popieścisz mnie językiem. Dobrze?

– Zgoda.

Ścisnąłem swój zwieracz, jak przywykłem robić, ażeby skupić się nad szybszym wytryskiem, i waliłem ją trochę intensywniej, z kutasem pomiędzy jej cycami. Skończyłem swoją palcówkę, bo przecież za chwilę miałem zrobić jej gorącą patelnię. Złapałem jej głowę oburącz i nadstawiałem zamontowaną tam twarz, jak tarczę dla mojego lepkiego pocisku. W końcu poczułem ten prąd i wiedziałem, że za chwilę trysnę z impetem. Ten moment znam na tyle dobrze, że mógłbym zacząć odliczanie. Nie mogłem się jednak powstrzymać i bredziłem coś w jakiś nieartykułowanych dźwiękach.

– Już! Katja! Już! Dochodzę! Uhhh, O! Kurwa! Uhhh! Katjaaaa!

Zatopiłem eksplodującego *sexusa* w jej ustach, a ona niemal piszczała z powodu zaskoczenia, jakie wywołała ilość i smak mojej spermy. Miała szczęście! Przez trzy dni przed tym bankietem nie jadłem mięsa, więc musiała jej smakować!

Teraz przyszła kolej na mój popis. Chciałem wylizać jej muszlę z taką samą pasją, z jaką ssała mnie przed chwilą. Nie miałem jej jeszcze dość, chociaż zruchałem jej futro już z sześć razy w tym tygodniu. Ciągle mnie jednak pobudzała. Była kurewsko piękna!

Rozsunęła nogi, a ja wpatrywałem się w jej podniecone oczy. Doskonale wyklute atramentową igłą dwie kreski, w miejscu usuniętych brwi, były uniesione i wygięte sinusoidalnie. W kąciку jej warg dosychała kropla mojej spermy, którą dopiero co się ożłopała. Pierwszej maści plemniki wżerają się teraz zapewne w przeżute żarcie, którym nie pogardziliśmy na bankiecie pogardzenia godnym, a które zaczynało już gnić na dnie jej żołądka. Uczta siedmiu milionów niedoszłych geniuszy! A ludzkość już żałuje, że tylko stolec po nich będzie genialny!

Nachyliłem się, aby móc wciągnąć nozdrzami woń jej flakonu. Ta chwila jest po to, abym nie wytrzymał! Wpiłem się mocno w jej wzgórek, porośnięty kruczoczarnymi, nastroszonymi włosami, które namaściłem jej piździanym żelem. To cipsko, nie dość, że podobne, to i waleczne jest jak Mohikanin. Nie cierpię pokręconych kędziurów! Za to ta przyszczyżona grzy-

wa jest doskonała! Zebrałem w ustach ślinę i nawilżonym językiem rozpoznałem moje *varieté*. Najpierw wolno wodziłem po tym czułym mięsie, rysowałem wilgotną ścieżkę na wewnętrznej stronie ud, żeby dojść do szybkiej trzepanki po wystającym z fałdów skóry łbie jej lechtaczki. Podsysałem też, co jakiś czas, rozwarte wargi bezwstydnego sromu, a palcami ścisnąłem sutkowe zwięźnienie najbardziej kobiecych z kobiecych kształtów. Odlatywała przy tym jak ptaki jesienno nieba! Daleko, daleko, tam, gdzie jej przyjemnie, delikatnie przy tym kwiląc.

Drżące soki, którymi się raczyłem, były doskonałe i w smaku, i w konsystencji. Gdybym potrafił, rozmnożyłbym florę bakteryjną jej pizdy i aplikował każdej suce, z której pijam od czasu do czasu. Jednak nie potrafię, więc cieszę się tym, co mam pod nosem, i pieszczę ją nadal zawzięcie. Nie przeszkadza mi nawet, że jedyne, co widzę, gdy uniosę brwi, to podrygujący kolczyk w jej pępku i zaraz za nim dwie dziury w nosie, zwężające się i rozszerzające, bo nie oddychała ustami, aby nie rzezić. Skupiam się mocniej na błogim, pionowym uśmiechu jej cipśka, który ośmiela mnie jeszcze bardziej. Ręce, które obmacują ją zachłannie jak wzrok głodnego, bezdomnego dzieciaka porzucony kawałek *pizzy*, rozszarpywany przez równie głodne bezpańskie psy, w końcu włożyłem pod mięsiste pośladki. Nie wytrzymała! Jęknęła głośno i przeciągle. Odważyłem się włożyć jej jeden palec w odbyt, ale tylko na głębokość pierwszego stawu, gdyż nie byłem pewien, czy jej się to spodoba. Tylko dla takich chwil piluję paznokcie!

– Och! Oooch! – usłyszałem, gdy naparła mocno i wbiła się na niego głębiej.

Chwilę jeszcze ssałem jej ziarno, z którego dojrzeje za chwilę żniwo moich zabiegów, ale po niedługim czasie wyciągnąłem palec z jej dupy i zaprzestałem wszelkich czynności. Sięgnąłem po swoją koszulę. Rozdarłem ją i wyprułem długą nitkę. Obwiązałem nią opuszek wskazującego palca. Katja wyla się i masowała swoje biodra w tym czasie. Kiedy znowu językiem dotknąłem jej rozgrzanej *Leonory* lodygi spazmów wydłużyły się i zaczęły dojrzewać w błyskawicznym tempie. Zaczęła się zbliżać do pełnego oświecenia. Dochodziła jednak, jak światło z jarzeniówki z popsutym starterem. Już prawie, prawie. I nie! Już tuż, tuż. I znowu *error!* Oooo, oooO, Oooo, Oooo, oooO! O! O! O! Musiałem ją czymś zaskoczyć, ażeby okociła w końcu ten orgazm, oczekiwany przez dziewięć sześćdziesięciosiekundówek. Wpierdoliłem jej głęboko do dupy palec lewej ręki, podczas gdy *joker* z nitką z prawej klikał w pewien czuły punkt w przepelnionej śluzem głębi.

Zajarzyła w końcu, o co chodzi! Zawyla głośno i zaczęła się rzucać, jakby trenowała pizganie swoim ciałem przez długie lata. Dopadł ją pierwszy skurcz! I drugi! Trzeci! Czwarty! Czułem te skurcze w zanurzonych w jej trzewiach dłoniach. Nie mogłem już ich powstrzymać, tak jak nie mogę rękami powstrzymać wschodzącego słońca.

Potem odpiąłem złoty, drobny łańcuszek, zawieszony na kostce jej nogi. Zamknąłem go w dłoni i skinąłem głową. Spojrzała na mnie z wdzięcznością i smutkiem zarazem. Wdzięczna była za to, że już poświęciłem jej tyle czasu i zostawiam ją w swoich wspomnieniach, a smutna z powodu świadomości tego, że ta mała intrygująca ozdoba nie jest w stanie zatrzymać mnie przy niej na dłużej. Tak, to koniec. Wiedziała. Taksówka dla niej była już w drodze. Zagramy to jednak raz jeszcze, 10.10.2010! Obiecaliśmy sobie!

Rano zdałem sobie sprawę, że wpisałem się w życie wielu kobiet tak mocno, jak *Drosophilla melanogaster* w genetyce. Reszta ich odkryć to *appendix*, to posłowie do dzieła życia. Lecz gdybym tylko mógł z wody i gliny ulepić nową kobietę, uczyniłbym to ze szczerym oddaniem. Ulepiłbym całkiem różną od tych, które spotkałem w swoim życiu. One wszystkie były w gruncie rzeczy emocjonalnie podobne do siebie, niczym kopie odbite z tej samej matrycy, tyle że na różnych gatunkach papieru. Wierzyły z naiwnością pięciolatka, któremu wmówiono, że dzieci są przynoszone przez bociany, w to wszystko, co wciskałem im swoim zgrabnym słowotokiem, nie potrafiąc we mnie zwątpić, czegoś zakwestionować, nie potrafiąc niczego, czego nie mógłbym sam osiągnąć, wnieść w moje życie, nie potrafiąc zachwycić mnie czymś wyjątkowym, niematerialnym, niedotykalnym. Odgrywały swoje wymyślone nowoczesne role, narzucone przez kolorowe magazyny, czasami nawet bardzo dobrze je odgrywały, aby jednak poddać mi się bez walki, aby pozwolić mi demistyfikować tę ich tak zwaną mocną stronę, jako ich najsłabszy, bo udawany bądź wymuszony sytuacją bubel. Histeria, emocje, kompleksy, zazdrość, manie i lęki, brak logiki i nadzieje, często sumiennie skrywana potrzeba spełnienia danych przez naturę możliwości prokreacyjnych, a także skłonność do ulegania pod wpływem komplementów i nadgorliwej adoracji, choćby i tak fałszywej że aż kiczowatej, gordyjskim węzłem związane są z rdzeniem ich jaźni.

Gdyby samice *Drosophilla melanogaster* potrafiły czytać te bzdury, którymi faszeruje się od jakiegoś czasu samice *Homo sapiens*, postęp w genetyce byłby niemożliwy. Nie udało się szczegółowo zbadać mechanizmu dziedziczenia, gdyż wynaturzenia pojawiałyby się lawinowo, spontanicznie

i bez specjalnego racjonalnego uzasadnienia. Ktoś, kto zastanawia się nad tym, ile współczesne, zmutowane kobiety mają wspólnego ze swoimi babkami, zdaje sobie doskonale sprawę z rozterek po nieudanych doświadczeniach, a spowodowanych wyborem nieodpowiedniej rośliny do eksperymentów, jak Mendel pod koniec swojego życia.

Znałem wiele kobiet i z perspektywy czasu wiem, że różnice między nimi były tak nieznaczne, jak różnice gęstości fizycznej wody w różnych temperaturach. I gdybym próbował im to powiedzieć, to załazyły mnie masą argumentów, starając się udowodnić, że jestem w błędzie, jak wkurwiona woda zalewa czasami polacie ziemi, w gruncie rzeczy szkodząc bardziej sobie niż nam, bo szybko zostaje ujarzmiona. Są tacy, którzy decydują się na mieszkanie na terenach zalewowych. Ja do nich nie należę. Mieszkam na górze, bo woda pod górę sama nie potrafi... Mam zresztą lepszy widok.

Trzeba przyznać, że zawsze istnieją pewne wyjątki od reguły. Nie są one jednak aż tak drastyczne, ażeby pozwolić roślinie przeprowadzić fotosyntezę bez użycia chlorofilu albo człowiekowi oddychać po wycięciu płuc. Spotkałem wszak kilka wyjątkowych, wyróżniających się nieco w tej biomacie, kobiet, które sprawiały, że momentami wątpiłem w to, o czym teraz wiem na pewno, które sprawiały, że nie wierzyłem, iż one są w gruncie rzeczy tak do siebie podobne, jak struktura DNA w komórkach wszystkich przedstawicieli świata ożywionego. Teleologicznie zawieszałem taką możliwość, aby jednak przekonywać się po niedługim czasie, że te wyjątki tylko potwierdzają regułę, że kobiety to kobiety. Boli je wszystkie zawsze to samo, choć cieszą rzeczy różne, na szczęście. Boli je wszystkie zawsze to samo, choć różne terapie je leczą. I nie ma kobiety bóloodpornej. Chyba że jest zmelioryzowana.

Kobiety, którym dałem szansę, które testowałem z uporem hobbysty, nie potrafiły sprzeniewierzyć się zakładanej teorii. Nawet gdy w swej naiwności rozpaczliwie tego chciały. Wydawało im się, że w swej desperacji są w stanie przekonać o mylności niektórych praw, o pozorności niektórych zjawisk, nie tylko mnie, a samą matematykę, aby na przykład zmieniła swój pogląd, że dwa plus dwa równa się cztery, lub przyrodoznawstwo, że możliwe jest wstrzymanie Ziemi, a ruszenie Słońca. Bez chwili wahania, ufne, że znają mnie lepiej niż ja je, potrafiły powiedzieć: z tobą, Chris, można wszystko, nie zdając sobie sprawy, że można tylko wszystko zapomnieć. A każdej z nich wydawało się, że jest inna od reszty. Głina nie lubi jednak moich rąk, jak i one nie lubią gliny. Świat w dalszym ciągu będzie zaopa-

trzone tylko w jeden gatunek *femin*. Drobne mutacje są generatorem pozornej różnorodności. Błogosławieni, którzy nie wierzyli, a już wiedzą. Od dawna wiadomo, że nie da się matematycznie opisać świata, biorąc kobietę za element równania. Na całe szczęście matematyka zna również nierówności.

W gruncie rzeczy lubię kobiety tak, jak lubię pieniądze. Choć nie są one najważniejsze w moim życiu, to muszę przyznać, że nie potrafię się bez nich obejść. Gdy mi ich chwilowo brak, potrafię się bardzo zmobilizować aby je osiąść, a gdy już je mam, szybko je wykorzystuję. Na brak jednych i drugich raczej nie narzekam, choć jestem bardzo wymagający w tym względzie, a używając ich, dostrzegam pomiędzy nimi tak podobieństwa, jak i kontrasty. Różnice między kobietami są takie same, jak między kolorami banknotów różnych walut. Znamienne i najważniejsze jest to, że wszystkie służą do tego samego! Ich zdobywania i pozbywania się! W końcu takie ich przeznaczenie! Tyle że z pieniędzmi jest czasami większy problem. Po pierwsze, to trzeba się bardziej wysilić, aby je zdobyć. Nie mam tu oczywiście na myśli tych pieniędzy, które „leżą na ulicy”, albo tych pochodzących z darowizn i spadków, bo nie mam na myśli też takich kobiet. A po drugie, niektóre waluty trudniej wymienić na inne, w odróżnieniu od cipy. Kto podróżował tyle co ja, ten wie.

Nie to było dla mnie zresztą najważniejsze w tej chwili. Telefon od Kamila zaintrygował mnie bardzo, gdyż odniosłem wrażenie, że on znowu jest w dole. Powiedział, że właśnie wrócił z pogrzebu swojego bliskiego kolegi z dzieciństwa, co mnie zdziwiło, bo nie spodziewałem się, że utrzymywał takie kontakty. Świat jest jednak pełen zagadek, choć jest taki mały. Zgodziłem się na spotkanie w najbliższym czasie. Możliwe, że tego dnia było to jutro.

– Było nas pięcioro, Chris – zaczął wtedy. – Ty nie znałeś tych ludzi, oprócz Mary.

W tym momencie nastąpiła cisza, której przerwanie było nawet nie do pomyslenia. Cisza tak głęboka, że można było usłyszeć pająka zarzucającego sieć. Wiedziałem, że to jeden z tych momentów, gdy musiał opowiedzieć mi bez przerywania, całą historię, aby ją na zawsze zamknąć. Jak długo można dojadać jakieś resztki wspomnień? Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy na ten temat, więc byłem w stanie wysłuchać tego wszystkiego, co chciał mi przekazać, w skupieniu.

– Wróciłem z pogrzebu Philipa... przyjaciela z dawnych lat – kontynuował – ...żona wbiła mu w serce nóż czternaście razy. Jego druga żona... Tandetny nóż kupiony pewnie od schodzonego akwizytora..

– Miał trzydzieści jeden lat. Pierwsza żona skurwiła się wcześniej z jego kuzynem. Z tą drugą miał nawet dwuletniego dzieciaka. O pogrzebie dowiedziałem się trochę przypadkiem, od Jacka... byłego faceta Mary... On go znał. Wyjeżdżałem w nastroju apokaliptycznym, a teraz jest jeszcze gorzej...

Rzeczywiście, Kamil nie wyglądał najlepiej. Trzęsły mu się ręce, a z jego twarzy praktykującego alkoholika mogłem wyczytać, że znowu nie oszczędzał się przez co najmniej kilka dni. Nawet liście na drzewach poczerwieniały ze wstydu wywołanego jego wyglądem i jego kolejną depresją, choć niektórzy nawiedzeni idioci nazywają to zjawisko jesienną poezją natury. Plotkowały też między sobą, szumiąc donośnie, a wiatr, wyspecjalizowany tragarz usłyszanych wieści, roznosił je po wszystkich targowiskach próżności. Sprzedawały się dobrze.

– Właśnie zdałem sobie sprawę, że zostałem sam. Nie zrozum mnie źle, Chris. Chodzi mi o moją wczesną młodość. Nie ma z tego okresu już nikogo. A było nas pięcioro. Pierre prawie spłonął żywcem na naszych oczach, gdy podpalaliśmy ognisko za pomocą benzyny. Ogień buchnął tak, że w ciągu ułamka sekundy cały był nim ogarnięty. Do dziś słyszę ten krzyk... mammo... mammo... mammo... On miał wtedy jedenaście lat.

W tym momencie zapalamy papierosy. Nie musimy się spieszyć. Po chwili Kamil podjął wątek:

– Wiesz, że mój popieprzony ojciec nigdy nie pozwalał mi marnotrawić za dużo czasu na rzeczy inne niż nauka, ale z nimi zawsze mogłem go trochę roztrwonić. Pierre wylądował po tym zdarzeniu na dwa lata w szpitalu. Nawet nie mogliśmy go odwiedzać. Potem jego rodzina wyjechała do Szwajcarii. Wiem, że nigdy nie odzyskał zdrowia, że o wyglądzie już nie wspomnę. To było moje ognisko. To był, kurwa, mój pomysł z tą benzyną. Kiedyś przysłał kartkę na święta, a w Nowy Rok popełnił samobójstwo. Miał już wtedy chyba siedemnaście lat. Nie pamiętam dokładnie. Siedemnaście albo osiemnaście.

Byłem zaskoczony, że rozmawiamy na ten temat, ale z drugiej strony zdałem sobie sprawę, że w moim życiu pełnym przeprowadzek brak jest takich przyjaźni. Owszem, miałem je, ale wykończyły się z przyczyn naturalnych. Nie jestem dobry w podtrzymywaniu korespondencji z innymi ludźmi. Sam ze sobą też koresponduję coraz rzadziej.

– Gdy skończyłem szkołę średnią, z Philipem i Limo pojechaliśmy kiedyś do Maroka na krótkie wakacje – Kamil opowiadał dalej. – Wróciło nas tylko dwóch. Mieliśmy awanturę w Casablance z dealerami haszu, bo ubzdu-

rali sobie, że podkablowaliśmy ich. Kogoś tam aresztowano niedługo po naszych zakupach. Wpadli do naszego hotelu i doszło do jatki. Limo podczas tej bijatyki tak oberwał, że dostał wylewu i zmarł w taki sposób, że nie życzyłbym takiej śmierci nikomu – zaciągnął się papierosem bardzo głęboko. – W sumie na ostatni akt tego przedstawienia czekaliśmy prawie dwa dni. Byliśmy w jakiejś knajpie na kolacji, jeszcze poobijani, ale już prawie zapomnieliśmy o tym zdarzeniu, a on idąc do kibla, upadł, zlał się w spodnie, poczerwieniał, dostał konwulsji i tak dalej. Nie mogliśmy mu pomóc w żaden sposób. Za tym haszem też ja oczywiście najbardziej obstawałem.

Jakieś skupienie pojawiło się na jego twarzy, jednak nieporuszone zmarszczki czoła wskazywały na jakąś całkowitą obojętność mojego przyjaciela wobec tych rozdanych przez los kart. Być może to tylko złudzenie. Polujący gad leży w bezruchu. Wszystko widzi, będąc niewidzialnym.

– No i Mary. W sumie nie wiadomo, co się z nią stało, ale nawet jeśli gdzieś uciekła, to już nie wróci. Nie mogę w to uwierzyć i myślę, że przytrafiło jej się coś złego. W gruncie rzeczy to byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Poznaliśmy się wszyscy kiedyś na wakacjach. Mieliśmy może po piętnaście lat. Ona mieszkała w jakiejś małej wiosce. Nigdy tam nie byłem. Należała jednak do naszej paczki. Ojciec alkoholik wykorzystywał ją, od kiedy skończyła dziewięć lat. Wiedziałeś? Ja dowiedziałem się o tym o wiele później, gdy na stałe sprowadziła się do Paryża po ucieczce z domu. Zerwała kontakty z rodziną, a my jakoś naturalnie się polubiliśmy. Pomogłem jej wtedy, a ona później niejednokrotnie pomagała mi. Do dzisiaj jestem jej winny pieniądze. W ostatnich latach bardzo się nawet zbliżyliśmy do siebie. I wiesz co, Chris. Ona chciała umrzeć. Tak. Nie chciała popełnić samobójstwa, ale chciała zginąć. Najlepiej w jakiejś katastrofie, albo zasnąć i się nie obudzić. Miała na tym punkcie obsesję. Przyznam ci się, że nieraz miałem ochotę jej ulżyć i ją zabić. Żałuję nawet, że tego nie zrobiłem. Przynajmniej teraz wiedziałbym, co się z nią stało. Ta nieświadomość jest najgorsza. Mam nadzieję, że znalazła takie spełnienie, jakiego pragnęła.

Znowu milczeliśmy. Nastąpił taki moment, że już chciałem ściągnąć białą rękawiczkę milczenia i ucisnąć dłoń jego szczerości, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili. To byłoby beznadziejne, jak spóźniona o sekundy zaledwie pomoc dla kilkuletniego dzieciaka ocalałego z katastrofy samochodowej, w której zginęli oboje rodzice. Nie wiadomo, czy lepiej to czy gorzej.

– No i widzisz sam... Rodzina moja pomarła przedterminowo. Do tego już dawno się przyzwyczaiłem. Z kolei najstarsi kompani jakoś w taki absurdalny sposób skończyli życie... Ja już nie widzę żadnego sensu w świecie – zakończył swój monolog.

Nie pożegnałem się z nim wtedy. Wstaliśmy po prostu i bez słowa rozeszliśmy się. Następnego dnia wieczorem zadzwonił do mnie Froggy. Powiedział tylko, że Kamil nie żyje, a ja wiedziałem, że to sprawa jego *Kochanki*. Potem zadzwonił Ludwik, a ja odpowiedziałem, że już wiem. Pozostawało pytanie: dlaczego teraz, a nie wcześniej? Gdybym znał odpowiedź, nigdy by do tego nie doszło.

Nekropolia przyjęła Kamila, jakby go od dawna oczekiwała. Wszystko było dobrze zorganizowane. Ludzie przybyli na te uroczystości też sprawiali wrażenie, jakby od dawna wiedzieli, że muszą trzymać w pogotowiu odprasowane i wyczyszczone w chemicznych pralniach garnitury, i to specjalnie na tę okoliczność. Nie było ich wielu, ale i tak sprawiali wrażenie licznego tłumu, zawodzącego jakąś żalobną mantrę, której nie znałem:

Tabaryba ra Tabaryba na Tabaryba ra Nane rai mata.

Ja zjawiłem się bardzo pijany i jakby z łapanki. Zupełnie tak, jak chciałby Kamil. Z wiadomych względów wieko trumny było zamknięte, ale wyobrażałem sobie, że jest w niej samotny, ale jednak dumny, jak ostatni pokaleczony ząb starca. Wypada taki kiedy chce tego sam. Dopilnowałem, aby zakopano go głęboko, aby już nic złego mu się więcej nie przytrafiło, aby już się nie wygrzebał, nie wylazł, nie przeziębził. Sam dawno temu pogrzebałem w ziemi półżywcem nadzieję, ale zbyt płytko i trzeciego roku zmartwychwstała. Długo się męczyła powtórnie, zanim spopielilem ją w krematorium nowej świadomości. Dygnąłem w podzięce Matce Ziemi, po czym upiłem się jeszcze bardziej i nie pamiętam już niczego więcej. Wiem tylko, że cmentarny park eksplodował. Radioaktywna bomba wspomnień zabiła mnie pierwszego.

Po pewnym czasie dobrałem się do jego szuflady i zapisów na twardym dysku. Zamknięte szafy bywają puste, choć przed ich otwarciem trudno w to uwierzyć. Ale nie te. Było tego naprawdę sporo, tylko że wszystko rozrzucone w totalnym chaosie. Długo pracowałem nad tymi tekstami, dociekałem kamilologicznie, gdyż Leonardo postanowił je wydać. Uparł się i traktował je jak pośmiertny pomnik, nie zważając zupełnie na ich wartość. Sam nie wiem, co mam o nich sądzić. Kto tylko potrafi składać litery w sylaby, sylaby w wyrazy, wyrazy w teksty, przyzna, że istnieje wiele możli-

wych sposobów czytania. Gdyby złożył je Kamil, to być może udałoby się ta eutanazja języka, w którą wierzył jak prokurator w winę oskarżonego w procesie politycznym. Ja tymczasem adwokacilem mu pośmiertnie i nie potrafiłem chyba jednoznacznie zbudować z tych zdań porządnej gilotyny. Powiniennem kiedyś wrócić do Kamilowego *Hauptwerku*, z takim mozołem złożonego przecież przeze mnie z pozostawionych fragmentów, ale na razie przeszkadza mi za bardzo jego nieobecność. A może właśnie jego ciągła obecność.

Jest wiele rzeczy, do których powiniennem być może powrócić, którymi powiniennem się zająć od nowa, dotknąć ich jeszcze raz. Nie znajduję jednak odpowiednio silnej motywacji, nie są one w stanie obudzić żadnego imperatywu, skłaniającego mnie, wymuszającego na mnie, kolejne inwestycje czasu, energii, zaangażowania. Już dawno odkryłem, że wszelkie próby podejmować potrafię tylko raz jeden. Niektóre z nich o jeden raz za dużo.

Potem szybko kilka dni. Trochę wolniej parę miesięcy. Znowu musiałem wytrzeć ręce. Za zasłoniętymi żaluzjami oknami nie robiłem nic, co by. Nastąpiła zima. Noce, długie i zimne, jak szyny Kolei Transsyberyjskiej, przemierzałem zdewastowanym pociągami do kobiet. Zatrzymywałem się rzadko i na krótko. Na przystankach nie było nikogo, kto by. Pejzaże były raczej jednostajne. Rozległa biel skacowanej pościeli. To też minęło.

I teraz, najwierniejszą aromatyczną przyjaciółkę, którą spijałem, rozłożywszy się wygodnie w restauracji hotelu *Monopol*, chciałbym posłodzić poczuciem spełnienia, a jednak zadowolam się jak zwykle cukrem. Wszystko, co zdarzyło się naprawdę i na niby w moim życiu, znowu tańczy walca z tym, co się jeszcze nie wydarzyło w ogóle. Czterdzieści sześć pragnień atakuje mnie w podstępny, nagły i niespodziewany sposób, jak drobiny piasku i kurzu wznieconego przez wiatr atakują oczy. Zasłonięcie ich rękami jest zawsze spóźnione.

Jedno jest jednak pewne. Świat już zdobyłem! Pora zatem wyruszyć na podbój mojego prywatnego Wszechświata i biada temu, kto będzie chciał mi w tym przeszkodzić.

Zanim wyruszyłem, znalazłem rozwiązanie zagadki Igora. To był zabity na oslepek przez zazdrość.

Spis rozdziałów

1. Madame Melancholia	7
2. Niby to tak	11
3. Konsekwencja	23
4. On	24
5. Czekanie jest grzechem, bo obżarstwo jest grzechem	26
6. Froggy	35
7. Na pieprzeniu się świat nie kończy, Mary	47
8. Przedawkowana rzeczywistość	59
9. Gentleman Chaos	61
10. Prawo rozpadu	74
11. Wścieklizna słownika	83
12. Solniczka życia	89
13. Z gipsem się też napiję	96
14. To już czternasty	112
15. Śrubokręt	126
16. Przemoc milczenia	133
17. Moje ogłoszenia	142
18. W międzyczasie	149
19. Odpowiedź Agaty	159
20. Mieć siebie w mocy	162
21. Kim on był?	175